

**TOMASZ HOŁODZIECZAK**  
**WYBIERZ SWOJĄ**  
**ŚMIERĆ**

  
Przełom



**Tomasz Kołodziejczak**

**WYBIERZ SWOJĄ ŚMIERĆ**

## **Spis treści**

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

[CZEŚĆ DRUGA](#)

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Próba kolorów

– I rozumiecie, taka sprawa; facet dostał na Physie dwadzieścia lat pierdła. Phys to Phys – zbyt blisko Palmolloru. Ci z Frontu podłożyli w stolicy bomby, zrobiło się zamieszanie. Dość, że gościowi udało się zwiać. Te wraki, które nazywano flotą Physa, uganiały się za uciekającymi rebeliantami, lecz on dał nogę. Porwał małą wycieczkową łajbę, na dodatek potwornie zniszczoną. Wszedł w x-przestrzeń, ale wyrzuciło go po paru dniach lotu, idealnie w połowie drogi między Phys a Palmollore. Wyobrażacie sobie, piętnaście lat świetlnych do najbliższej zamieszkałej planety, statek na prędkościach podprogowych i żadnych szans na spotkanie innej jednostki. Mało kto lata na Palmollor. Facet w jednym miał szczęście, na statku była kupa żarcia. A poczekał sobie długo. Wiecie ile? Dwadzieścia lat. Wreszcie znaleźli go ci z Physa. Musiał odsiedzieć swoje dwadzieścia i drugie tyle za ucieczkę. Zgnił w pudle. Dobrze, co? Albo słyszeliście taką historię...

– Zamknij się Hunter – przerwał mu ktoś ochryłym głosem. – Daj spać!

– Nie musisz słuchać Trowler. Odwróć się i śpij, ja chcę, żeby opowiadał – mały, gruby technik o wiecznie spoconej twarzy przysunął się do Huntera.

"Niech ciągle ktoś coś mówi – pomyślał Piotr – niech opowiada kretyńskie historyjki, śpiewa świńskie piosenki. Byle tylko nie myśleć, jak najmniej myśleć... Ktoś tu przyleci, na pewno." Z trudem przewrócił się na drugi bok. Wyprawiona skóra alberta niewiele pomagała, gdyż posłanie rozłożono na twardej, zimnej skale. Ktoś zakasłał. Piotr usłyszał cichy szept mającego w gorączce Pustacza. Pustacz zachorował tydzień wcześniej. Przez pięć dni leżał nieprzytomny, jego rozpalone ciało pokryły ciemne plamy. Choć przedwczoraj gorączka spadła, cały czas ktoś przy nim siedział. Piotr, jak wielu innych, oddawał Pustaczowi część swego przydziału gorącej wody. Choroba Pustacza nie miała nazwy, ale zawsze do tej pory zabijała. Jednak ci, którzy na nią wcześniej chorowali, umierali po dwóch, trzech dniach. Pustacz trzymał się już tydzień i Kermid mówił, że jest jakaś szansa.

Kermida zatłukli wczoraj.

Futro alberta drapało skórę, twarde, sztywne włókna wbijały się w ciało. Wielki, wszystkożerny zwierzak. U każdego osobnika plamy na lewym boku układały się w einsteinowskie "mc<sup>2</sup>". Nazwali go więc albertom. Swojskie imię. Trochę śmieszne. Chcieli, żeby ten świat był im jak najbliższy. Więc nazwali góry Alpami, a ocean Atlantykiem. Dużego drapieżcę pijącego krew swych ofiar ochrztili komarem, a wodne stworzonko o kaczym dziobie – donaldem.

Ale ta planeta była obca. Była straszna.

– ...Rozumiecie, gość siedział w fotelu trzy doby i przez cały czas słuchał tego bzdurnego refrenu: "...koniec z nami kochankami o je je..."

Coś pieprznięło w wizjofonie, przez cały czas podawał więc ten sam fragment zapisu.

No, a faceta unieruchomiły automaty. Wiecie jak to wygląda na luksusowych pasażerach. Przypina się do fotela, kombajn ochronny robi wszystko, karmi i podmywa tyłek. I gościu musiał słuchać refrenu nowego przeboju Michelle'a. Wyciek usuwali trzy dni. Dopiero wtedy otworzyli grodzie. Kiedy facet, wraz z tłumem pasażerów, wychodził z kosmolotu, od razu obskoczyli ich reporterzy. Najbardziej przyczepili się do pewnego przystojniaczka w ciemnych okularach. To był Michelle.

Wyjęć leciał tym samym kosmolotem. I kiedy jeden z reporterów poprosił go, by coś zaśpiewał, Michelle zanucił:

"...koniec z nami kochankami..."

I wtedy ten facet, nie pamiętam jak się nazywał, podszedł do Michelle'a i dał mu w ryj.

– Też bym dał – ktoś mruknął.

– Ty, Hunter, skąd znasz te wszystkie historyjki?

– Robiłem kiedyś w serwisie informacyjnym na Miriam II. Ale to jeszcze nic, czekajcie no chwilę...

Nagle usłyszeli bicie bębna. Stłumione kamiennymi ścianami, załamujące się w skalnych korytarzach dudnienie zbliżało się.

– Idą! Idą! Ustawiać się! – Sergen i Momłot poderwali się ze swoich posłań. – Szybko! Szybko!

Kadeni wyznaczyli ich do pilnowania porządku. Ludzie wiedzieli, co się stanie, gdy tego porządku nie będzie.

Bęben umilkł. Szczęknął zamek, okute drzwi otworzyły się. Krata była stalowa, z grubych prętów służących normalnie za maszty hangarów.

"Ile czasu musieli je kraść, żeby zrobić te drzwi? Ile czasu kradli czarną folię na gogle? A my tego nie widzieliśmy. Mamy to, na co zasłużyliśmy. Banda pewnych swej siły durniów. Kim jesteśmy teraz, bez łazików i karabinów. Bezwolna masa. Paraliżuje nas strach i ciemność. Oni o tym wiedzą. Nawet przestali nas wiązać". Piotr uważnie obserwował wchodzących. Jeżeli był kapłan... Był! Rytualna maska zakrywała mu twarz. Towarzysze Piotra jeszcze go nie widzieli. Kadeni przyszli bez pochodni. Istoty zamieszkujące planetę mroku nie potrzebowały światła tu, w podziemiach.

"Jeszcze nie wiedzą, że przyszedł kapłan, jeszcze mają nadzieję – Piotr zacisnął pięści. – Ale zaraz im powie i znów będą drzeć ze strachu. Do zimna zdążyli się już przyzwyczaić".

Ośmiu kadenów stanęło naprzeciw szeregu ludzi. Jeden z wojowników zaczął mówić. Krótkie, suche zdania. Piotr rozumiał tylko niektóre wyrazy.

"więźniowie... jedzenie... ofiara..."

Wszyscy znali słowo: ofiara. Po aranejsku ark-or.

Nikt nie jęknął, tylko oddechy ludzi stały się cięższe.

Sergen złożył raport dowódcy strażników. Wskazał ręką na Pustacza. Kaden spytał o coś czarownika. Kiwnięcie głową. Pustacz może zostać.

Trzydziestu dwóch ludzi. Było ich wcześniej ponad pięćdziesięciu. Sześciu umarło z powodu choroby. Dziewięciu zginęło w czasie marszu na zachód. Pięciu zakatowali.

– Idziemy! – krzyknął Sergen. Dwóch mężczyzn wyszło z grotu. Chwila przerwy. Następna para. Następna. Znów ktoś uderzył głową w zbyt niską framugę drzwi. Piotr pochylił głowę i wyszedł na korytarz. Dwaj kadeni zapięli mu obrożę na szyi. Do sztywnej obręczy przywiązany był gruby rzemień, którego drugi koniec oplatał duży kamień. Te odłamki skalne musieli nieść zawsze, gdy wychodzili ze swego więzienia. Dość skutecznie krępowały ruchy. Obie potrzebne do odpięcia obroży ręce były zajęte, a uciekać z dwudziestoki-Iowym głazem...

Piotr dołączył do szeregu. Jeszcze chwila i cała kolumna pomaszerowała podziemnym tunelem. Wiódł prosto na Most. W absolutnej ciemności ludzie szli niepewnie, co chwila ktoś potykał się, tracił równowagę. Czasami się ktoś przewracał. Byle tylko nie upuścić kamienia. Gwałtowne szarpnięcie może uszkodzić kręgosłup. Tak zginął Folcouth.

Piotr starał się iść tak jak jego towarzysze, wolno i z uwagą. Czasem udawał potknięcie. Ale on widział.

Nagle strażnicy zniknęli w bocznych odnogach głównego korytarza, jednak zaraz pojawili się nowi, z pochodniami w rękach. Ludzie mrużyli przywykłe do ciemności oczy, lecz dzięki drżącym płomieniom łuczyw szło się wygodniej.

Wąski tunel rozszerzył się nagle, poczuli na twarzach powiew chłodniejszego powietrza. Wyszli na Most.

Dwa brzegi ogromnej skalnej studni łączyła wąska, bazaltowa kładka. Na jej środku stał ołtarz, który oświetlało kilkanaście pochodni. Ludzie zatrzymali się w kręgu drżącego światła.

Podtrzymywany przez dwóch młodych Urali kapłan stanął naprzeciw szeregu ludzi. Skinął na Padre. Zaczął mówić. I choć wiedzieli, o co mu chodzi, choć znali sens każdego jego zdania, bo powtarzał zawsze to samo, ksiądz musiał dokładnie tłumaczyć jego słowa.

– Tu umrzecie. Wszyscy tu umrzecie. I nie będzie to śmierć lekka. Nawet, jeśli kogoś z was oszczędzę, to zdechnie z głodu i zimna. Bez waszych magicznych przedmiotów nie jesteście wielcy ani potężni. Po co przybyliście do nas? By wytępić zwierzynę, ograbić nasze ołtarze? By nas oślepić albo zamienić w swych niewolników?

Zabiliśmy wielu z was. Zabijemy wszystkich. A ja chcę kod magazynu z bronią! Chcę kod magazynu z bronią! Mówcie!

Cisza.

Po raz kolejny trzeba rozważyć to samo.

Kadeni zdobyli i splądrowali Murray, lecz do magazynu z bronią nie weszli. Tylko ośmiu ludzi znało szyfr otwierający jego drzwi, pięciu z nich już nie żyje. Zostali Piotr, Sorgen i Rafał, ale nie wiadomo, ilu Aranei orientuje się, że to oni. A broń nie może się dostać w ręce Aranei. Nie może. Należało umierać i milczeć. Była jeszcze szansa na ocalenie. Każdy z uwięzionych, jeden mniej, drugi bardziej wierzył, że nie wszystkich zabili lub pojмали. Że oprócz nich i odciętych od świata, mieszkających na Madagaskarze górników, jacyś ludzie żyją jeszcze na Araneidzie. Być może krążą w pobliżu pilnowanego przez Kadenów Murray chcąc zdobyć broń i żywność, dostać się do "Plusów". Choćby jeden człowiek, który poleciałby potem na Madagaskar, gdzie znajdowały się kopalnie i osiedla górnicze. Gdzie żyło jeszcze osiemdziesięciu ludzi. A potem wymusiliby na Aranei oddanie jeńców. Była szansa. Właśnie dla tej szansy następny z nich musiał iść na śmierć.

Czarownik powoli szedł wzdłuż szeregu mężczyzn. Przy niektórych zatrzymywał się dłużej, niektórych dotykał sześciopalczałą dłonią. Wreszcie stanął i wskazał palcem.

– Oradah ali magher.

Hunter.

Nie jęknął. Ani nie krzyknął. Niektórzy wyli, zanim jeszcze spadł pierwszy cios. Nie umierali godnie, ale nie było nic godnego w tej okrutnej śmierci. Żaden nie powiedział.

Hunter spojrzał na swoich towarzyszy. Na moment jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Piotra. I nagle Piotr zrozumiał. Hunter wie, że może nie wytrzymać tortur. Ścisany w rękach kamień zaczął ważyć potwornie dużo, ściągać do ziemi. Hunter odwrócił głowę.

W tym samym momencie dwóch Urali chwyciło go za ramiona i poprowadziło w stronę ołtarza.

Znali na pamięć każdy szczegół ceremonii.

Najpierw odepną mu obrożę, z pleców zedną kurtkę, potem zwiążą ręce kawałkiem kabla. Później

nogi. Nagiego rozciągną na ziemi. Kapłan kamiennym ostrzem zacznie nacinać święte znaki. Płytkie, pokrywające się krwią rany naznaczą całe ciało. Strzaskają mu kolana, łokcie, palce. Albo będą biczować. Albo kłaść na tułów i twarz rozpalone do czerwoności kamienie.

Ludzie, zgięci pod ciężarem wiszących na ich szyjach głazów, nie będą mogli nic zrobić.

Hunter szarpnął się. W chwili, gdy odpinali mu obrożę, pchnął jednego ze strażników i rzucił się w stronę krawędzi Mostu. Jęk cięciw. Krzyk człowieka. Dostał w nogi. Upadł. Poderwał się jeszcze. Niezdarnie kuśtykał ku brzegowi Mostu. Ale strażnicy byli już obok niego. Chwycili za ręce, powlekli w stronę ołtarza.

Potem było tylko wycie. Bicze cięży powietrze i trafiały w poszarpane plecy człowieka.

Nikt nie mógł uciec przed śmiercią. Raz tylko jednemu z wybranych na kaźń udało się skoczyć. Hektor Hansley, przeбитý trzema strzałami, dotarł do krawędzi Mostu.

Hunter umilkł. Bezwładne ciało cisnęli na skałę. Upadł na plecy. Nawet nie jęknął. Jeden ze strażników wyjął z ognia rozżarzony do czerwoności pręt i trzymając go ostrożnie za gruby drewniany trzonek, podał kapłanowi. Urali podszedł do Huntera.

– Próbował uciekać – zaczął po aranejsku. Padre natychmiast tłumaczył jego słowa. – Za to spotka go kara. Tam, gdzie odejdzie, będzie ślepcem. Nigdy nie ujrzy już ognia.

Zbliżył pręt do twarzy człowieka.

Wycie. Dudniące echo odbijające się od ścian grotu.

Wycie. Dłonie zaciśnięte na chropawych głazach.

Bezsilny płacz. Wycie.

Padre padł na kolana, Krzysztof uklęknął tuż obok niego, zaczęli się modlić. Aranei nie przeszkadzali.

Czterech Urali chwyciło ciało Huntera i wniosło je na sam szczyt ołtarza. Kapłan wyjął ze zdobionego, wiszącego na szyi woreczka kamienny nóż. Powoli, z trudem stapał po wykutych w skalnym blok J stopniach. Stał nad ofiarą.

Nóż zagłębił się w ciele człowieka. Kapłan posoli wycinał w piersi Huntera znak Asdav-0-Rani, święty krzyż Aranei. Wyprostował się, podniósł ręce w górę, zaintonował wolną, płaczącą pieśń. Po chwili śpiewali wszyscy Aranei. Wreszcie pomocnicy kapłana znieśli martwe ciało, stanęli na brzegu Mostu i cisnęli je w dół. Ceremonia ofiarna była skończona.

"Czy on musiał umrzeć? – Piotr nie mógł nawet otrzeć łez spływających mu po twarzy. – Czy moje pieprzone życie warte jest ich cierpienia? Ale moje życie to także ich życie... A jeśli... jeśli trzeba zrobić inaczej. To my trzej musimy iść na rzeź pierwsi. Albo skoczyć. Aranei nie otworzą magazynu bez nas" – podniósł wzrok. Drżące światła pochodni oświetlały tylko Most, tak że ciemność wokół stawała się jeszcze bardziej gęsta. Gdzieś tam dziesiątki, a może setki metrów niżej, na skalnych półkach, żyli Wiecznie Czuwający, aranejscy mnisi-pustelnicy. Spędzali swe życie na medytacjach. Jedzenie spuszczano im za pomocą lin. Piotr widział zwoje sznurów, kołowroty i wielkie kosze pozostawione wokół krawędzi skalnej studni. "Dlaczego oni nas nienawidzą... Dlaczego?"

– Naprzód! – krzyknął Sorgen. Powoli schodzili z Mostu.

Kadeni złapali go, gdy wracał już do bazy po jasnej stronie. Odnalazł w grotach Gór Bramowych dwa stare ołtarze i szedł do Murray, by wezwać archeologów. Nie używał latarki, w tej pustej, skalistej okolicy nie musiał udawać, że jej potrzebuje.

Zaatakowali go, gdy maszerował wąską ścieżką ograniczoną z obu stron pionowymi prawie,

skalnymi ścianami. Na głowę cisnęli mu sieci. Miotał się bezradnie, zaplątując coraz bardziej. Słyszał okrzyki Kadenów, chrzęst zsuwających się po ścianach jaru kamieni. Aranei próbowali go chwycić, ale był znacznie silniejszy od każdego z nich, roztrącał ich kręcąc się na oślepie. Wreszcie unieruchomili go na chwilę. Poczł jeszcze uderzenie w głowę i stracił przytomność.

Ocknął się już w obozie. Straszliwie bolały go przeguby związanych rąk. Ramiona i łydki otarte miał do krwi. Widocznie musieli go nieść przytroczonego do kija, jak zabite zwierzę. Obok niego leżał Krzysztof. Spał, ale musiał to być koszmarny sen, bo mężczyzna co chwila przewracał się z boku na bok, z trudem układając się w jakiejś wygodniejszej pozycji. Miał skrępowane nogi i ręce.

Piotr obudził go i cicho, by nie zwrócić uwagi czuwających przy wejściu do groty Kadenów, zaczął wypytywać o Misję.

Misjonarze osiedlili się w Strefie Półcienia przed wielu laty. Budynek mieszkalny, kilka gospodarczych, w pobliżu mała osada Urali. To właśnie oni, jak mówił rozgoryczony Krzysztof, wydali ludzi Kadenom. Zaprosili mężczyzn do swej wioski, niby to w celu demonstracji jakiegoś obrzędu. Ludzie zawsze traktowali tych tubylców jako przyjaciół, mieszkali z nimi od lat. Poszli więc bez broni, zresztą nikt już nie nosi broni przebywając wśród Urali. Misję pozostawiono pustą. Wszystko stało się szybko. Aranei wprowadzili mężczyzn do jednego ze swych domów. A potem w drzwiach stanęło czterech Urali z łukami. Kazali wychodzić ludziom pojedynczo. Wkrótce wszyscy byli związani – trzech księży i dwóch archeologów. Przez kilka godzin trzymano ich w wiosce, następnie pognano na zachód.

Piotr i Krzysztof rozmawiali jeszcze przez chwilę rozważając, co mogło skłonić Aranei do zaatakowania ludzi. Zastanawiali się, kiedy przybędzie pomoc oraz czy w Murray wiedzą już o napadzie.

I wtedy do rozmowy wtrąciła się trzecia osoba. Najstarszy z księży, człowiek, który żył na Araneidzie już od dwudziestu lat. Piotr widywał go rzadko, ale wiele o nim słyszał. Ludzie nazywali go Padre, Urali "Ausseti", "Mądry Człowiek". Znał dobrze język kilku najbliższych szczepów Aranei, ich obyczaje, podobno rozmawiał kiedyś z jednym z Wiecznie Czuwających.

Padre leżał kilka metrów od Piotra, więc aby ten go usłyszał, musiał mówić głośniej.

– Widziałem we wsi Kadenów. Sami wojownicy... Na twarzach mieli gogle z czarnego plastyku...

Jeden ze strażników doskoczył do księdza, krzyknął coś, z całej siły kopnął go w brzuch. Człowiek cicho jęknął. Dwaj Kadeni weszli do groty i o rozmowie nie było już co marzyć.

A potem nastąpiły długie godziny wyczekiwania na jakąkolwiek wiadomość. Ciche rozmowy z księżmi, gdy Kadeni wychodzili na zewnątrz. Głód. Zimno. Pragnienie.

Araneidę zasiedlano w typowy dla Imperium Solarnego sposób. Ponieważ zamieszkiwała ją rasa inteligentna, na etapie rozwoju przedcywilizacyjnego, więc, zgodnie z postanowieniami Karty Hotlandzkiej, kolonizacja planety była zabroniona. Przepis zezwalał na zakładanie baz naukowych, placówek religijnych i ośrodków wydobywczych, lecz zakazywał sprowadzania kobiet. To ostatnie prawo praktycznie uniemożliwiało wszystkim rasom dwupłciowym obejście postanowień Karty.

Pierwsi przybyli na Araneidę badacze z Akademii. W cyklach trzyletnich pracowali bez przerwy od dobrych sześćdziesięciu lat. Kiedy ukończono wstępne badania, zezwolono na przyjazd kilku księży w celu utworzenia misji. Wtedy właśnie zjawił się Padre i był obecnie najdłużej mieszkającym na Araneidzie człowiekiem. Potem Rząd zbudował na wyspie kopalnię uranu oraz Murray – małą osadę z lądowiskiem dla wahadłowców, mającą stanowić centrum ludzkich osad na planecie. Obsługę bazy stanowiło kilkunastu techników. Połączenie z Madagaskarem to trzy



planetoidy wożące i urobek, i pasażerów. Na wyspie mieszkało osiemdziesięciu ludzi obsługujących przetwórnice oraz kopalnie rudy uranowej. Górnicy – bo tak ich nazywano – pracowali na planecie w cyklach dwuletnich.

Było jeszcze kilkanaście osób nie związanych z żadną z tych grup. Paru bogatych maniaków płacących Rządowi bająnskie sumy za roczny pobyt na globie tak dziwnym, jak Araneida. Oczywiście, pobyt swój i służby. Kilku obcych – trzech Ficiino z ciemnej Passane, ni to pomocnicy ludzi w czasie wypraw na Nocną Stronę, ni badacze, szukający u Kadenów cech swoich przodków, śladów przeszłości własnej rasy. Było też dwóch Taolów – strażników Karty Hotlandzkiej ze strony Moorów.

Razem około stu czterdziestu osób. No i jeszcze on. Oficjalnie socjolog Akademii na kontrakcie przedłużonym. Gubernator i jego dwaj zastępcy sądzili, że ochraniający przez Akademię, ukrywał się na Araneidzie z jakichś, bliżej nieokreślonych powodów. Mógł dzięki temu poruszać się po planecie zupełnie swobodnie. Ale oni też nie znali prawdy.

Po dwóch, zdawałoby się nie kończących się dniach, w czasie których raz tylko miał w ustach kubek gorącej wody, przybył goniec.

Murray było zdobyte.

Wreszcie nakarmili ich, napoili, dali ciepłe, zabrane z Misji ubrania, potem popędzili na zachód, do swych siedzib, w krainę zimną i nocy. Jeden z księży nie wytrzymał długiego marszu przez ciemność i mróz. Do osady Aranei w Górach Gagarina dotarło tylko pięciu ludzi.

Kadeni zrobili coś, co wydawało się niemożliwe – zaatakowali Murray. Przekroczyli linię terminatora w przemyślnie skonstruowanych goglach z czarnego plastyku, szczelnie osłaniających ich oczy od światła. Oddział dwustu wojowników olbrzymim łukiem obszedł bazę od południa, aby zaatakować ze wschodu. Z tej strony rosły lasy i Kadeni mogli podejść niezauważeni do Murray na odległość kilometra. Baza była prawie pusta, poprzedniego dnia wyruszyła na północ duża ekspedycja geologiczna. Gdy zegar umieszczony na najwyższym w osadzie, trzypiętrowym budynku wybił godzinę dwudziestą trzecią, Aranei zaatakowali.

Godzina jedenasta to sam środek nocy ustalonej przez ludzi na Araneidzie. W Murray w tym czasie nie spało tylko dwóch techników obsługujących nadajniki. Kadeni zaskoczyli ich w dyspozytorni. Potem zajęli wszystkie budynki mieszkalne. Równocześnie inny oddział Aranei zaatakował ekspedycję geologiczną.

To wszystko usłyszał Piotr dwa dni później, kiedy Kadeni przyprowadzili pojmanych ludzi. Prócz trzech dużych akcji – ataku na Misję, Murray i ekspedycję naukową, Kadeni złapali jeszcze kilku ludzi przebywających poza bazami. Obcych natychmiast oddzielili od grupy jeńców. I od tej pory nikt nie widział Taolów i Ficiino.

Piotr wciąż nie próbował dociekać, czy ktoś się uratował. Nie wiedział, ilu ludzi pojmano, ilu zginęło. Jedno było pewne – akcja Kadenów to nie przypadek, wybryk jakiegoś szczepu. Musiała być zaplanowana dawno i dokładnie, musiała połączyć siły wielu, często skłóconych, kadeńskich klanów. Wszystko to stanowiło zagadkę. Idealna synchronizacja czasu ataków. Informacja o wyprawie geologicznej i znany przez Aranei jej kierunek. Wiedza o położeniu Murray, o rozkładzie czasu w ludzkim osiedlu, o tym, że wszystkie "Plusy" są w mieście, więc wyspa jest odcięta. Zdobycie tych informacji i zaplanowanie ataku przekraczało, zdaniem Piotra, możliwości Aranei. A jednak stało się. I właśnie wtedy, gdy przyprowadzono ostatnią grupę jeńców, Piotr zrozumiał, że nie ma już żadnej szansy na pomoc.

A przecież na Araneidzie byli jeszcze ludzie. Górnicy. Mieszkali na Madagaskarze i Kadeni nie mogli do nich dotrzeć. Ale górnicy nie mieli możliwości przeprawienia się na kontynent, planetoloty stały wszak w Murray. Odciętych górników czekała śmierć głodowa, żywność bowiem na wyspę dowożono, a zapasy mogły wystarczyć na dwa, trzy miesiące. Kosmolot z kolejną zmianą miał przylecieć dopiero za rok. Jeśli więc nikt nie dostarczy górnikom jedzenie, będą musieli umrzeć.

Pustacz już nie miał gorączki. Wycieńczony długą chorobą leżał na swoim pośłaniu w bezruchu. Czasem tylko jego ciałem wstrząsały dreszcze.

Było cicho. Część ludzi spała, niektórzy rozmawiali szeptem, dwóch grało w warcaby. W ciemnościach nie widać było pionków ani planszy, grali kamykami – jeden płaskimi, drugi obłymi. Przed każdym ruchem sprawdzali dłońmi aktualne położenie pionów na szachownicy, której pola przez kilka dni mozolnie ryto w skale. Piotr patrzył na ich niepewne ruchy. Sytuacja na planszy była dość prosta i w normalnych warunkach płaskie na pewno by przegrały. Piotr przez chwilę analizował ruchy graczy, potem powoli przesunął się w stronę pośłania Pustacza. Dotknął czoła chorego.

– Temperatura normalna – Krzysztof stanął za plecami Piotra. – Padre mówi, że jeszcze trzy dni i Pustacz będzie zdrow.

– Gdzie jest Padre? – spytał Piotr, choć doskonale widział potężną sylwetkę w podartej sutannie.

– Właśnie, dobrze, że pytasz, chciał ci coś powiedzieć.

– Nie mógł krzyknąć?

– Niektórzy poszli spać, po co ich budzić? Kiedy z nim ostatni raz rozmawiałem, stał obok wejścia do Małej. Tam chyba miał na ciebie czekać.

– No to idę – Piotr kucnął i na czworaka zaczął przesuwać się w stronę Padre. Był to najlepszy sposób poruszania się w ciemnościach. Każdego dnia Aranei dawali ludziom pochodnie, które starczały na trzy, cztery godziny. W drżącym świetle mężczyźni łatali sobie ubrania, grali kamieniami w szachy. Myśląc o ucieczce, dziesiątki razy oglądali kraty i widoczny przez nie fragment korytarza.

Piotr dotarł do wejścia do Małej. Była to grota połączona z tą, w której mieszkali. W jednym z jej kątów znajdowała się ustawiona nad wąskim, głębokim kominem prymitywna latryna. Rozważali możliwość ucieczki przez tę studnię, ale bez lin i haków nie dawało się zejść niżej jak na dwa piętra. Kiedyś, próbując określić głębokość dziury, rzucili kamień i po czterech sekundach usłyszeli ciche pluśnięcie. Przyśpieszenie na Araneidzie było trochę mniejsze od ziemskiego, więc komin miał prawdopodobnie około trzydziestu pięciu metrów.

– Zaraz wrócę – szepnął Piotr do siedzącego tuż przy wejściu Padre. Ksiądz uśmiechnął się ze zrozumieniem. Piotr nie szedł jednak do latryny. W Małej miał doskonałą skrytkę na jedzenie, niemożliwą w zasadzie do odnalezienia dla kogoś, kto porusza się po omacku. Piotr chował tam suchary, suszone mięso, czekoladę, które udało mu się zaoszczędzić z dziennych racji żywnościowych. Aranei karmili ich całkiem nieźle i prawie codziennie Piotr dokładał coś nowego. Jasne już było dla niego, że są zdani na własne siły i wiedział też, że tylko on ma realne szansę na ucieczkę. Gdyby nawet udało mu się wydostać z podziemnego labiryntu kadeńskiej osady, czeka go długa droga, najpierw do linii terminatora, potem do Murray. Bez broni nie był w stanie polować, musiał więc mieć zapasy żywności.

Wyciągnął z kieszeni kurtki dwa suchary, kostkę czekolady i wspinając się na palce sięgnął do małej szczeliny w skale. Jeżeli wsadzić do niej dłoń, okazywała się całkiem dużą jamą. Wymacał stosik sucharów. Dodał dwa nowe, czekoladę położył obok. Panujące w jaskiniach zimno umożliwiało długie przechowywanie żywności.

Klęknął i na czworakach wyszedł z Małej. Padre czekał na niego.

– Piotrze, szykujesz się do ucieczki – raczej stwierdził niż spytał. Głos miał spokojny i miękki, ale twarz była zacięta i zdecydowana.

– Nie... – Piotr zawahał się, milczał chwilę. – Myślałem o tym, owszem, ale nic konkretnego.

– To dobrze... to bardzo dobrze, nie wolno uciekać – Padre obracał w dłoniach mały kamyczek.

– Co? Co powiedziałaś?

– Ciszej – szepnął Padre, przysuwając się do Piotra. – Posłuchaj mnie. Jesteśmy tu razem. Czekamy. Czekamy na to, co postanowił Bóg...

– Padre... – zachnął się Piotr – gadaliśmy już parę razy, tłumaczyłem ci, że nie wierzę. Nie zasuwasz mi tu więc takich tekstów, zostaw to dla tych tam... – odwrócił głowę w stronę śpiących ludzi. – Zresztą, nawet gdyby twój Bóg nas tu wtrącił, to nie znaczy, że zabroniłby nam szukać ratunku... ale to nie jest ważne. O co chodzi?

– Nie można uciekać. Każda próba skończy się odwetem, niezależnie od tego, czy się uda, czy nie. Rozumiesz? Kadeni będą się mścić, aby przestrzec tych, co zostali. Ktoś się urwie, może dotrze do Murray, ale pewnie padnie gdzieś po drodze, z głodu, z zimna. Lub wytropią go Aranei. A ci, tutaj będą cierpieć. Nie można uciekać. Trzeba czekać, tam, po jasnej stronie jest ktoś jeszcze, trzeba w to wierzyć, ufać...

– W opatrność boską – mruknął Piotr. – Bzdura! Tam już nikogo nie ma, wiesz przecież... Nasi ludzie są jeszcze, ale myślałem, że ty wiesz, jaka jest prawda. Nie musisz ze mnie robić dumia, Padre. Lubię z tobą gadać, szanuję cię, ale teraz pieprzysz, Padre. Nie można czekać, to nie ma sensu. Nie mów mi o tych, co zostaną. Każdy może uciekać, każdy, kto się nie boi, kto woli walkę niż powolne zdychanie. Uciec, by ratować siebie, resztę. Śmierć człowieka, dwóch... To straszne, okrutne. Ale to są koszty, koszty ratunku dla pozostałych. Nikt przecież nie wypchnie swego towarzysza przed szereg i nie powie: "On ma umrzeć". Wybiorą Urali. To rodzaj gry o życie, której boimy się wszyscy, lecz którą na pewno wszyscy podejmą. Więc mówię ci, Padre, gdy tylko się zdecyduję i gdy tylko będę gotowy, na pewno spróbuję. Zresztą, dlaczego rozmawiasz o tym ze mną?

– To parę zdań, którymi usiłujesz się tłumaczyć – Padre jakby nie słyszał Piotra. – Ucieczka jest wyrokiem na któregoś z twoich kolegów lub przyjaciół. Nie zasłaniaj się Kadenami. To ty, próbując stąd zwać, spowodujesz śmierć... albo kilka... Kto, powiedz, kto dał ci do tego prawo?

– Wiesz, co mi się przypomniało Padre? Jest taka planeta, Morritius. Życie oparte na amoniaku, parahumanoidalna cywilizacja dwukręgowców na poziomie ziemskiego średniowiecza. Czytałem o pewnym ich zwyczaju. Nazywa się to Próba Kolorów. Jeśli ktoś zostanie oskarżony o jakąś ciężką zbrodnię – morderstwo, zdradę, świętokradztwo – to jego sprawa rozpatrywana jest przez sąd, kapłański albo monarszy, nie pamiętam. Lecz może on, nie czekając na jakiś tam dobry albo zły wyrok, zażądać Próby Kolorów.

Przed każdą świątynią rośnie drzewo. Jego owoce, takie małe wisienki, mogą być czerwone lub żółte. To jedno. Od tego pochodzi nazwa próby. Poza tym mniej więcej połowa owoców na drzewie jest trująca, silnie trująca. Swoiste przystosowanie, podobno nawet nieźle zabezpiecza przed szkodnikami. Delikwent zrywa ze świętego drzewa jedną wisienkę – żółtą albo czerwoną. Połyka ją.

Jeśli zjadł owoc zatruty, umiera. W długich, potwornych męczarniach. Lecz jest oczyszczony, uznany za niewinnego, gdyż bogowie przyjęli jego duszę. A jeśli zje nieszkodliwy owoc, to znaczy, że jest winien, bo stwórca nie chciał go wziąć do siebie. Zostaje napiętnowany i w hańbie wygnany ze spoteczności...

– Nie bardzo rozumiem – Padre pytająco spojrzął na Piotra.

– Nie? To proste. Ten, kto poddaje się Próbie Kolorów jest, niezależnie od wyniku, skazany. Na śmierć lub hańbę. Oczywiście każdy wyrok przynosi mu jakiś zysk – oczyszczenie lub życie. Lecz żaden nie da mu pełnego szczęścia. W każdym zawarta jest wygrana oraz klęska.

My też jesteśmy w takiej sytuacji. Możemy działać, coś robić na wiele sposobów. I w każdym będzie dobro. Oraz zło. A ty mówisz o bierności.

– Tak, można czekać na wyrok sądu...

– Owszem. Ale czy zawsze człowiek potrafi udowodnić swą niewinność. A nawet gdy ją udowodni, nigdy nie będzie pewności, jakaś plama pozostanie na imieniu, honorze rodu. Próba Kolorów przynosiła wyrok jasny i ostateczny, bo pochodzący od bogów. Lecz zabierała życie.

My też możemy czekać. Tylko jak długo przeżyjemy w takich warunkach? Ktoś sypnie, albo skoczmy sobie do gardeł. Sami. Oni właśnie na to czekają. Jeszcze tydzień, dwa i stanie się coś złego, jestem tego pewien. Musimy zacząć działać, choć to działanie zapewne przyniesie ból i śmierć, rozumiesz Padre? Musimy zdecydować, poddać się naszej Próbie Kolorów.

To był znów dzień kaźni. Ludzie bali się. Piotr też nie mógł znaleźć sobie miejsca. Pół godziny rozmawiał z Pustaczem, który był już prawie zdrow, potem starał się namówić kogoś na partię warcabów. Bezskutecznie.

Po śniadaniu wszedł do Małej dołożyć nową porcję do swych zapasów. Wsunął rękę w szczelinę. Jego dłoń odnalazła tylko jednego suchara. Skrytka była pusta.

Przez chwilę stał osłupiały. Nie był zły, raczej zdziwiony, że w absolutnej ciemności ktoś mógł odnaleźć ten schowek. I zaraz przysła mu do głowy nowa myśl. Będą uciekać.

Leżał w bezruchu uważnie obserwując swoich towarzyszy. Szybko odszukał złodziei. Siedzieli we czterech w jednym z kątów groty i o czymś cicho rozmawiali. Kieszenie ich kurtek były wypchane. Piotrowi wydawało się przez chwilę, że w rękę jednego z nich widzi małą latarkę. Byli więc nieźle przygotowani. Ale i tak szansę mieli niewielkie. Zrobiło mu się ich szkoda, choć z drugiej strony za kradzież jedzenia chętnie dałby im po gębach. Mógł się do nich przyłączyć, zastanawiał się nad tym nawet, w końcu jednak zrezygnował. Przeszkadzałby mu tylko.

Potem była zbiórka, apel, mowa kapłana. Przy bramie stanęli Urali z pochodniami. Mężczyźni pojedynczo wychodzili z groty. Uzbrojeni w łuki strażnicy pilnowali porządku.

Stali we czwórkę, jeden za drugim. Powoli przesuwali się w stronę bramy. W zaciśniętych dłoniach małe kamienie. Wreszcie między nimi a Urali nie było już nikogo.

Barghi krzyknął. Runęli w bramę. Wrzaski zaskoczonych Urali. Uderzenia. Gasnące pochodnie. Ciemność. Oddalający się tupot. Krzyki.

I cisza. Tylko przez moment.

Zdezorientowani mężczyźni chwilę stali w bezruchu. Wreszcie kilku rzuciło się do bramy. Ale już za późno. Z bocznych korytarzy nadbiegali Aranei. Mrok rozjaśniały dziesiątki pochodni. Kilku mężczyzn pędziło już korytarzem. Na oślep, przed siebie. Byłe dalej od tego potwornego lochu. Jęk. Miękkie uderzenie padającego na ziemię ciała. I następne. I trzecie.

– Stójcie! Stójcie! – Padre doskoczył do kraty. – Wracajcie!

Już był przy nim Urali. Drzewce włóczni między kraty. Uderzyło prosto w twarz. Padre powoli osunął się na ziemię. Znów krzyki. Cisza.

Nie żyło trzech, w tym Leverkusen, jeden z czwórki planującej ucieczkę. Dwóch ciężko rannych, u

Padre tylko rozcięte czoło i niewielka opuchlizna.

Piotr poprawił zwiniętą skórę Alberta pod głową księdza i usiadł na skraju posłania. Mężczyźni wciąż rozmawiali o ucieczce, rozważali szansę tamtej trójki.

– Nie poszedłeś z nimi – Padre wyrwał Piotra z chwilowej zadumy. – Dlaczego?

– Nie mają szans. Bez planów, światła, zarcia też pewnie niewiele. Nie dadzą rady. Poza tym wybrali złe miejsce. Kadeni trzymają nas raczej w jakiejś bocznej odnodze tych lochów, do wyjścia na pewno jest daleko, a w tych ciemnościach... Nie dojdą. Trzeba wiać koło Mostu.

– Szykujesz...?

– Nawet gdyby – Piotr przerwał księdzu. – To co? Ktoś musi stąd spieprzyć. Nie zmieniłem zdania.

– Ktoś? – jakby uśmiech na twarzy Padre. – Czy ty? Konkretnie ty? Piotr nie odpowiedział. Padre nie po raz pierwszy sugerował, że wie sporo. Ale może to tylko przypadek. Piotr wiedział, że jest przewrażliwiony na tym punkcie. To wieczne udawanie, łażenie na czworakach, potykanie się, ciągle ukrywanie swoich możliwości. Musiał zachowywać się jak wszyscy i było to strasznie męczące.

– Chcesz, dziś ja opowiem ci pewną historię...

– Czy nie za bardzo się zmęczysz? Nie powinienesz jeszcze zbyt dużo mówić. Zmienię ci okład – powiedział Piotr wstając.

– Nie, nie, siadaj – ksiądz przytrzymał go za rękę. – Nie trzeba, czuję się nieźle. Swobodnie mogę mówić.

– No dobra, tylko staraj się jak najkrócej...

– W porządku – Padre podciągnął się na posłaniu. – Planeta leżała dość daleko od kosmicznych szlaków, w strefie wpływów Ziemi, jednak w tym czasie żaden człowiek nie postawił na niej jeszcze swej stopy. Glob zamieszkiwała rasa humanoidama, przedtechniczna.

Pewnego razu na powierzchni planety osiadł ładownik. Czwórka Palmo-Uorów wyładowała sprzęt, mnóstwo skrzyń i pudeł, potem ładownik odleciał. Czworo Palmollorów – trzech mężczyzn i jedna kobieta, zostało na planecie. Musieli ukryć się tam po jakiejś akcji, to były czasy straszego prześladowania Palmollorów. Statek miał przybyć po nich za rok. Mieli sprzęt, namioty, zapasy żywności. Bazę założyli niedaleko tubylczych wsi. Początkowo mieszkali razem, wkrótce jednak zaczęły się pierwsze spory. Dwóch mężczyzn co jakiś czas wyprawiało się do osiedli tubylców. Przynosili stamtąd posążki, jakieś rzeźby, ceramikę. Chcieli je, rzecz jasna, wywieźć i sprzedać. Mówili, iż kupują to wszystko, wkrótce jednak wydało się, że po prostu zabierają je tubylcom, kradną, najczęściej z ołtarzy. Doszło do kłótni między Palmollorami, wiesz co to znaczy – kłótnia między Palmollorami. Potem ci dwaj odkryli jakieś stare ołtarze albo świątynie...

Mijały tygodnie, miesiące. Minał rok, półtora. Nikt po nich nie przyleciał. Powoli do uwięzionej na planecie czwórki zaczęło docierać, że zostaną tu na zawsze.

I wtedy zaczęło się piekło. Ci dwaj, którzy przedtem zabawiali się czasem strzelaniem do tubylców, teraz przestali się hamować. Kradli, zabijali, gwałcili kobiety. Tubylcy nie mieli w starciu z nimi żadnych szans. Pomyśl sobie, ci sami Palmollorzy, którzy walczą z Ziemią, którzy mówią o wolności i równości, zachowywali się jak bandyci. Tamtych dwoje, kobieta właśnie spodziewała się dziecka, spakowało połowę sprzętu i przeniosło się kilkanaście kilometrów dalej. Żyli z tubylcami w dobrych stosunkach, pomagali im, leczyli.

I nagle, któregoś dnia, miejscowi przyszli do nich, błagając o pomoc. Dwaj bandyci napadli i dla

zabawy zamordowali mieszkańców jednej z osad. Mężczyzna przypasał broń, poszedł. Nie wrócił. Zabił tamtych dwóch, do niedawna jeszcze swoich towarzyszy i braci. Sam jednak otrzymał śmiertelny postrzał. Skonał.

Zaś samotna kobieta żyła wśród tubylców, otoczona przez nich czcią i poważaniem, wszak jej mąż zginął dla nich. Urodziła córkę. Po pięćdziesięciu latach umarła. A jej dziecko, już teraz kobieta, mieszka tam wciąż, samotna, choć otoczona tłumem przyjaciół. Palmollorzy żyją długo, teraz ma już około osiemdziesięciu lat.

Na planetę przylecieli ludzie. Założyliśmy misję. Tubylcy boją się i nienawidzą nas, a kobieta nigdy się nie ujawniła, bo matka zdążyła przekazać jej wszystko, co wie o nas, o naszej pysze i naszym władaniu. Zawsze też powtarzała, o tamtych dwóch, że tak długo walczyli z nami, aż stali się tacy jak my.

Tę historię zna dwóch ludzi, ty jesteś trzeci...

– Co to za planeta?

– Nieważne Piotrze, nieważne...

– Więc po co mi to opowiedziałeś?

– Ludzie mieszkają bardzo blisko miejsca, w którym ona żyje. Kontaktują się z tubylcami, którzy ją znają. Lecz nikt nic o niej nie wie.

Opowiedziałem to wszystko tobie, by zachwiać twą pewnością. Wydaje ci się, że jeśli możesz więcej niż my, to jesteś mądrzejszy, że masz prawo ferowania wyroków i podejmowania decyzji dotyczących nas wszystkich. Ta twoja pewność może zgubić ciebie i nas. Ja poruszam się po omacku po tych lochach, ty po całej planecie, choć wydaje ci się, że jest inaczej.

– Ja...

– Proszę cię, odejdz już – Padre uśmiechnął się – trochę mnie to jednak zmęczyło. Pomyśl.

A więc Padre wie. Piotr był już pewien. Nie doceniał przedtem możliwości księdza. Ale skąd, do diabła, Padre mógł się o tym dowiedzieć. To była tajemnica, ścisła tajemnica. Operacji dokonano w najlepszej klinice Akademii. Zmiana składu ciała szklistego, subtelny zabieg na nerwach wzrokowych, wprowadzenie do oka sztucznych elementów, specjalne szkła kontaktowe. Wszystko to czyniło z jego oczu urządzenia precyzyjne, zdolne do pracy w każdych warunkach. Obraz widziany przez niego nie był w żaden sposób zależny od natężenia padającego światła. Teraz, w absolutnej ciemności, widział wszystko bardzo dobrze, tak jak człowiek z normalnym wzrokiem w pochmurny dzień. Odpowiednie, wszczepione w oko mikroelementy analizowały i wzmacniały otrzymywany sygnał. Do tej pory uzyskanie takiego efektu wymagało noszenia specjalnych okularów i plecaka wypchanego elektroniką. Lub operacji bezpośrednio na mózgu, ale tych oficjalnie zakazano. Zadaniem Piotra było przetestowanie nowego wynalazku, jego przydatności i sprawności. Chodziło również o zbadanie ewentualnych zmian w organizmie i psychice na skutek podłączenia urządzenia i jego usunięcia po kilku latach. Badania oraz sprawdzian otoczono ścisłą tajemnicą. Chodziło o zabezpieczenie wynalazku przed Sahrem, oczywiście ze względów militarnych. Tak przynajmniej twierdził profesor Purow, szef eksperymentu. Jednak Piotr przypuszczał, że chodzi również o zabezpieczenie informacji przed Rządem.

Przystosowanie wzroku do ciemności dawało mu w tych warunkach wielką przewagę nad towarzyszami podczas ewentualnych prób ucieczki. Skąd jednak mógł wiedzieć o tym Padre, postać znacząca jeśli chodzi o Araneidę, ale bądź co bądź nie opuszczająca planety od przeszło dwudziestu lat?

Wiele pytań. Nieprawdopodobny, teoretycznie wręcz niemożliwy napad Kadenów. Świetnie poinformowany ksiądz. Niesłychane okrucieństwo Aranei.

Nagle usłyszał krzyk. Przy bramie stanęli Urali z pochodniami i inni, trzymający napięte łuki. Sergen i Momłot ustawili ludzi w szereg. Bicie bębna.

Piotr zrozumiał. Złapali Barghiego.

Most. Dwóch ludzi spętanych powrozami i oczekujących strasznej śmierci. Żuków i Olson, obok leżało skrwawione ciało Pankow'a.

I znów bicie. I krzyki. Kamienny nóż.

Kapłan mówił.

Kara za ucieczkę.

Macie szansę. Szyfry. Jak otworzyć zbrojownię? Kara. Patrzcie na nich. Kara. Zdechniecie, wszyscy zdechniecie. Nie macie szans uciec. Będziecie ukarani. Umrzecie. Szyfry otwierające zbrojownię. Kara.

Piotr stał patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Nie słuchał kapłana. Nie widział skrwawionych ciał ciskanych w przepaść. Zbiełałymi dłońmi ścisnął wiszący u szyi głaz.

Księża klęczeli pogrążeni w modlitwie.

– Zamknijcie się wreszcie! – Swelloj Drugali doskoczył do klęczących ludzi. – Kurwa mać! Zamknijcie się wreszcie!

Z ziemi poderwał się Henneson, potężnie zbudowany mężczyzna. Chwycił Drugaliego za ramiona.

– Zostaw go Pat! – Padre przeżegnał się kończąc modlitwę, podniósł się powoli. – Puść go.

– Ale on,..

– Weź te łapska skurwielu! – Swelloj cofnął się dwa kroki.

– Ty, Swelloj, opanuj się – ktoś starał się go uspokoić. Równocześnie dwaj mężczyźni powstrzymywali wciąż zaciskającego pięści Hennesona.

Piotr obserwował to wszystko spod półprzymkniętych powiek. Było coraz gorzej. Ludzie zaczęli się nienawidzić.

– Co się stało, Swell? – głos Padre był jak zwykle opanowany i spokojny.

– Co się stało? Zabili ich, zarżnęli, widzieliście przecież! I co, kurwa?! Modlicie się, zawodzicie, pieprzycie jakieś głupoty... a oni tam...

– Za nich my...

– Gównu za nich, co im pomoże wasze gadanie, co nam pomoże?!

– Bóg...

– Jaki Bóg?! Gdzie tu jest Bóg?! Zimno, głód i śmierć... Pieprzę waszego Boga, waszą modlitwę! Oszukujecie siebie, nas...

– Ty gnoju! – Henneson rzucił się w stronę Drugaliego. Zrobił po omacku dwa kroki, potknął się, przewrócił. Śmiech Swelloja. Henneson poderwał się i doskoczył do Drugaliego.

– Pat!

Uderzenie. Dwa walące się na ziemię ciała. Silniejszy Henneson docisnął Swelloja do posadzki. Bił na oślep. Jęk. Już było przy nich kilku mężczyzn, odciągali Hennesona, krzyczeli. Padre milczał.

Piotr przewrócił się na drugi bok. Im bardziej narastała w nich nienawiść i strach, tym prędzej

któryś mógł sypnąć. Jak najszybciej musiał uzupełnić zapasy żywności. I zwiać stąd.

Ciemność, choroby oraz strach wypełniły ich życie. Oczekiwanie na kapłana i drżenie dłoni, gdy przechodził wzdłuż szeregu. A potem ulga, że wskazał kogoś innego, radość, że to jeszcze nie dziś. Dopiero potem smutek i żal.

Religia Aranei nigdy nie była krwawa. Ofiary składano rzadko, prawie zawsze, jak twierdzili najlepsi znawcy kadeńskiej kultury, zabijano zwierzęta. Tymczasem teraz krwawy obrzęd odprawiany był co sześć, siedem dni i za każdym razem umierał człowiek. Nawet jeśli tłumaczyć to chęcią zastraszenia pozostałych, i tak było to dziwne. Równocześnie bowiem Aranei nie próbowali zmusić ludzi do mówienia innymi metodami – głodem czy długimi torturami. Jeśli ktoś zginął, to tylko podczas religijnego obrzędu. Piotr nie rozumiał tego, on na miejscu Aranei postępowałby zupełnie inaczej. Ale on był człowiekiem.

Sytuacja w jakiej się znaleźli – ciągły strach przed śmiercią, zimno i brak nadziei na ratunek – spowodowały, że ludzie zaczęli szukać kontaktu z księżmi. Słuchali ich kazań i opowieści, brali udział we wspólnych modlitwach. O ile przedtem było na Araneidzie może kilku wierzących, teraz wokół Padre i Krzysztofa skupiło się ponad dwudziestu mężczyzn.

Piotr raz nawet rozmawiał z Padre na temat wartości takich nawróceń w chwili zagrożenia. Ksiądz uważał, że to zupełnie normalne, wręcz wskazane. Dla Piotra sprawa nie była taka jasna. Jeśli działanie motywuje tylko strach przed śmiercią i karą, to czy jest ono właściwe? Dlatego też z pewną oschłością traktował najbardziej żarliwych nawróconych.

I pierwszy nie wytrzymał właśnie jeden z nich.

Piotr rozmawiał z Padre, gdy do Krzysztofa podszedł Harmer – pomocnik jednego z owych bogatych facetów, którzy na Araneidzie urządzili sobie wczasy. Obaj zresztą zginęli w czasie marszu na zachód.

Harmer bał się, prawie płacząc, mówił o swojej żonie, dzieciach. O swoim życiu. Nie chciał umierać. Dlaczego miał umierać za innych, tych, którzy nie chcieli podać jakichś tam głupich szyfrów?

Piotr słyszał tę prowadzoną szeptem rozmowę. Krzysztof próbował tłumaczyć, mówił, że gdy Kadeni zdobędą broń, zabiją ich, odetną drogę do górników. Że będą niebezpieczni dla ładownika, który za rok ma przywieźć nową zmianę. Ale Harmer nie chciał słuchać. Jęczał coraz głośniejsze. W końcu postanowił się wypowiedzieć.

Piotr już nie słuchał. Rozumiał jedno – Harmer sypnie.

Obudził się w środku nocy. Specjalnie położył się wcześniej, żeby teraz nie zaspać. Powoli i cicho, by nikogo nie zbudzić, zaczął skradać się w kierunku posłania Hannera. Musiał to zrobić. Zamordować. Był już gotowy do ucieczki, uzupełnił skradzione kiedyś zapasy. Nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek zdradził.

Ktoś z jękiem przewrócił się na swoim posłaniu. Piotr zatrzymał się na chwilę. Nikt co prawda nie mógł go zobaczyć, ale gdyby ktoś usłyszał kroki, potem szamotaninę...

Oczy Hannera były szeroko otwarte. I martwe. Ktoś zrobił to wcześniej.

W dwa dni później odbyła się pierwsza po ucieczce Barghiego egzekucja. Gdy kapłan szedł wzdłuż szeregu mężczyzn, Krzysztof wystąpił krok do przodu. Chciał umrzeć.

Padre przez kilka godzin modlił się klęcząc koło pustego posłania Krzysztofa. Nie rozmawiał z nikim.



Piotr rozumiał. Pojął też, czym musiał być ten czyn dla księdza, nauczającego Aranei, mówiącego o miłości i wybaczeniu. Widział Krzysztofa, gdy stawiali go przed ołtarzem, gdy go bili. Ksiądz nie płakał, nie krzyczał, nie jęczał o litość. Piotr czuł, że zbliżył się nagle do jakiejś tajemnicy, że rozumiał jej część, drobny tylko ułamek, jednak... Wiara, prawdziwa, głęboka wiara. Po to, by człowiek mógł iść na śmierć bez strachu. By nie cofnął się nagle, nie przeląkł. Po to jest wiara. I tym właśnie jest.

Piotr patrzył na modlącego się Padre, chciał podejść, coś powiedzieć. Ale gdy stanął przed księdzem, zobaczył oczy Padre bezskutecznie usiłujące spojrzeć przez mrok w twarz Piotra. Łzy. I cichy szept:

– Ja bym nie poszedł...

Niewielu zrozumiało to, co wydarzyło się tuż obok nich. Przewrzenie, gdy ujrzeli martwe ciało Harmera, potem zdziwienie i szok, gdy Krzysztof wybrał na śmierć.

Kilku tych, którzy najlepiej znali Harmera, domyśliło się jednak prawdy. Wkrótce znali ją wszyscy. Mężczyźni, do niedawna krążący wokół Padre, nagle się od niego odsunęli, jakby przestraszeni. Za to ci, którzy trzymali się do tej pory z boku, na przykład Pustacz czy Piotr, coraz częściej zaczęli przebywać w towarzystwie księdza. Jedno było pewne – gdy ktoś teraz zdecyduje się sypnąć, nie będzie o tym mówił nikomu.

Piotr był już gotów. Miał zapasy jedzenia. Mógł uciekać.

Sergen podnosił się już z posłania, aby dać rozkaz zbiórki. Piotr wychodził z Małej, kieszenie miał pełne żywności, resztę wcisnął pod kurtkę. Tuż po pobudce zakomunikował o swej decyzji Pustaczowi. Przyjaciel wręczył mu mały, składany nożyk z wbudowanym araneidzkim kompasem. Scyzoryk udało się Pustaczowi przemycić w trakcie rewizji.

Ruszyli na Most. Prowadzili ich Kadeni – rasa od milionów lat żyjąca w ciemności. Olbrzymie oczy, zajmujące prawie połowę twarzy, niezwykle rozwinięty słuch i węch. Niskie, owłosione sylwetki, sześciopalczaste dłonie, odstające, spiczaste uszy. Jakże inni byli Urali – wyżsi, silniej zbudowani. Przecież jedni i drudzy mieli tych samych przodków. Zdziwiająca była symbioza obu ras. Kadeni – przystosowani do życia w ciemności – mogli polować, walczyć, budować. Urali strzegli ognia. To było ich jedyne i podstawowe zadanie. Dbać o to, by nie zgasł, grzać wodę, piec mięso, odganiać dzikie zwierzęta. Oczy Kadenów były tak wyczulone, że spojrzenie w płomień oznaczało dla nich ślepotę. Lecz świat lodowego mroku nie był ojczyzną Urali, bez Kadenów wymarliby z głodu, ich oczy, przywykłe do światła ognisk, nie ujrzałyby w ciemnościach nic. Urali tworzyli elitę umysłową Aranei – byli nauczycielami, kapłanami, to oni pamiętali "Pieśń Wędrowni" i z nich wywodzili się Wiecznie Czuwający. To było wszystko, co pozostało po cywilizacji, jaką stworzyli przed tysiącami lat.

Urali jako pierwsi weszli w strefę półcienia, gdy po wielowiekowej wędrówce wzdłuż ogrzewanych ciepłym Prądem Teslinga wybrzeży Morza Południowego ludy Aranei dotarły do granicy mroku.

Eskortujący do tej pory ludzi Kadeni zniknęli i ich miejsce zajęli Urali. Pojawiło się kilka pochodni.

Światło sprawiało ból.

Ale kiedy oczy znów się do niego przyzwyczyły, można się było rozejrzeć, dostrzec swych towarzyszy. I zapragnąć, by światło zgasło. Żeby ich już nie widzieć.

Padre odwrócił się na chwilę do idącego za nim Piotra. Chciał coś powiedzieć, już otworzył usta,

nagle jego wzrok zatrzymał się na niewielkiej wypukłości na brzuchu Piotra.

– Ukryj to lepiej – szepnął. – Dlaczego nie powiedziałeś?

– Ja...

Uderzenie w kark. Nie gadać!

Znów przyśpieszyli.

Nagle Padre potknął się. Ciężko runął na ziemię, trzymany w rękach kamień stuknął o skałę. Padre jęknął. Już byli przy nim. Ci najwierniejsi, ci których nie przestraszyła nawet sprawa Harmera. Pochylili się nad księdzem, pomogli mu wstać. Urali doskoczyli do nich rozdzielając kopniaki i uderzenia. Ale w sumie nie przeszkadzali. Padre miał jednak pewne względy.

Trwało to chwilę. Piotr nie ruszył się, obserwował tylko to, co działo się dwa kroki od niego. Nie był pewien, niewiele było słychać prócz odbijających się od ścian krzyków Urali i odgłosów szamotaniny, ale wydawało mu się, że Padre coś szepcze do swoich przyjaciół.

"Czyżby chciał mi przeszkodzić? – Piotr patrzył na przygarbione plecy idącego przed nim księdza. – Nie, to chyba niemożliwe. Pomóc? Zawsze był przeciwny ucieczce..."

Byli już na Moście, ustawiali się w szeregu naprzeciw ołtarza. Padre na moment przysunął się do Piotra.

– Dam ci znak. Uciekaj w stronę legowisk Kadenów. Pamiętaj, najpierw w prawy korytarz, potem dwa razy w lewy, dalej do końca w prawo. Tam przyjdzie...

– Ustawiać się! Ustawiać! – Filip rozdzielił ich gwałtownie. "Co to ma znaczyć? W prawo, dwa w lewo... – Piotr spojrzał na księdza -

Czyżby znał drogę? Ale skąd? W prawo, dwa razy..."

Kapłan szedł wzdłuż szeregu. Zaczął mówić. Padre pochylił głowę, zamknął oczy, jakby się modlił. Piotr zacisnął zęby. Leżący na dłoni, przyciśnięty przez kamień nożyk boleśnie wgniał się w ciało. Nagle Padre wyprostował się.

Spojrzał na Piotra. Lekkie kiwnięcie głowy.

– Teraz!

W tej samej chwili Hen cson cisnął w kapłana odcięty w jakiś sposób głazem. Kilku ludzi rzuciło się w stronę napinających właśnie łuki Urali.

– Gasić pochodnie! Pochodnie! – krzyczał Padre. – Wszyscy! Piotr przeciął rzemień, skoczył do najbliższej stojącego Aranei. Chwycił drzewce nastawionej groźnie włóczni. Szarpnął. Aranei wypuścił broń. Wyciągając zza pasa kamienny nóż, rzucił się na człowieka. Piotr odskoczył, pchnął. Ciężar przebitego ciała omal nie wyrwał mu drzewca z rąk. Wyszarpnął włócznię i dopiero wówczas rozejrzał się wokół. Pustacz i kilku mężczyzn wyciągnęło pochodnie. Czterech Urali stało wspartych plecami o kamienny blok rozpaczliwie usiłując osłonić się przed ciosami. Trzech ludzi leżało bezwładnie na ziemi.

Wtem usłyszał krzyki z prowadzącego na Most korytarza. Nadchodzili. Piotr podbiegł do klęczącego nad ciałem Hennesona Padre. Ksiądz nie wstał nawet, odpędził go ruchem ręki.

– Uciekaj! Uciekaj, bo będzie za późno!

Piotr odwrócił się i popędził przed siebie. Usłyszał tylko jak Padre woła:

– W prawo, dwa razy w lewo, do końca w prawo...!

Zbiegł z Mostu, musiał oddalić się od niego jak najszybciej. Co chwila poprawiał wysuwające się

spod kurtki paczuszki z żywnością.

Nagle zatrzymał się. Z tyłu, jakby kroki. Zbliżający się tupot. Piotr przywarł do ściany. Po chwili zobaczył biegnącą postać. Człowiek. Piotr poznał Hoensa – pilota "Plusów". Hoens biegł niezbyt szybko, ze śmiesznie wyciągniętymi do przodu rękami. Wtem stanął, zdziwiony chyba, że nikt przed nim nie biegnie.

Krzyki na Moście, to ludzie walczyli z Kadenami. Trzeba się śpieszyć.

– Tutaj jestem – Piotr podszedł do Hoensa. Westchnienie ulgi.

– Zwiąłem...

– Widzę. Musimy się pośpieszyć. Masz żarcie?

– Nie.

– Broń?

Hoens wyciągnął z kieszeni kurtki kamienny nóż.

– Zabrałem...

– Dobra, idziemy. Tylko cicho.

– Nic nie widzę, ciemno jak...

– Trzymaj się cały czas tuż za mną.

– Ty widzisz?!

– Później ci wyjaśnię. Ruszamy!

Minęli już trzy rozwidlenia korytarzy. Piotr szedł według nakazów Padre. Dobiegające od strony Mostu krzyki cichły powoli. Czy tylko dlatego, że oddalali się od groty, czy walka już się kończyła?

– Przejdź na prawo – szepnął Piotr – po lewej dziura. Znow rozwidlenie. Głosy. Mężczyźni wskoczyli w drugą odnogę, nie za blisko, aby tamci ich nie zobaczyli, ani nie za daleko, aby nie czynić zbędnego hałasu. Kadeni zbliżali się. Pójdą w stronę Mostu, czy skręcą tutaj...?

Przeszli.

Piotr odczekał chwilę, potem trącił ręką Hoensa. Bez stów ruszyli w dalszą drogę. Było cicho. Ludzie stąpali ostrożnie, szmer ich kroków głuszyły ściany.

"...w prawo, teraz do końca w prawo" – powtarzał w myślach Piotr. Rada Padre wydawała mu się bezsensowna. Co ksiądz mógł wiedzieć o lochach kadeńskiej osady? Ale mimo to Piotr uczeplił się słów Padre i wiedział, że na następnym rozwidleniu znow skręci w prawo. Cóż pozostało w tej szaleńczej ucieczce, poza respektowaniem wskazówek? Miał niewielkie szanse. Jednak miałby je... gdyby był sam. Hoens tylko mu przeszkadzał, był ślepy i nieporadny oraz nie miał nic do jedzenia. Piotr bał się, czy zapasy wystarczą dla niego samego, a co dopiero dla dwóch. Razem nie byli w stanie dojść do Murray.

Kolejny zakręt. Jeszcze jeden. Droga cały czas wiodła w dół. Nagle Piotr zatrzymał się. Nikły blask. Kroki.

Sześciu Urali wyszło zza zakrętu. Zbyt późno na ucieczkę. Trzeba walczyć. Jak najkrócej i jak najciszej.

Mężczyźni, wyciągając noże, rzucili się w stronę Aranei. Pierwsi dwaj padli nie krzyknawszy nawet, zaskoczeni nagłym atakiem. Ludzie chwycili ich broń. Ale pozostali wystawili już włócznie.

– Wytrać im pochodnie! – krzyknął Piotr.

Przez chwilę odbijali ciosy, Aranei cofali się powoli. Korytarz był za wąski, by walczyć mogli

wszyscy, pojedynczo Urali nie potrafił stawić czoła człowiekowi.

Wtem jeden z Urali uniósł włócznię.

– Uważaj! – Piotr skoczył w jego kierunku. Drogę zastąpił mu drugi Aranei. Włócznia pchnięta błyskawicznie utkwiała w ramieniu Hoensa. Mężczyzna krzyknął, chciał wyrwać ją z ciała, ale złamał tylko drzewce. zaś grot pozostał w ranie.

Ostrze Aranei drasnęło Piotra w policzek. Urali odsłonił się jednak. Pchnięcie. Krew na dłoniach. Zostało trzech. Nagle jeden z Aranei odwrócił się i popędził korytarzem krzycząc głośno. Za nim chciał biec drugi. Piotr sięgnął go końcem włóczni. Ciemność. Odpychając ostatniego, dżgającego na osłep przeciwnika, Piotr rzucił się za uciekającym Aranei.

– Szybko! Musimy go dogonić!

Hoens pobiegł za nim. Oddychał ciężko. Każdy krok sprawiał ból. Błądził po omacku, wsłuchany w kroki Piotra. Nie mógł poruszać się szybko. Piotr nie mógł go zostawić.

Kiedy dobiegli do następnego rozgałęzienia, Piotr zrozumiał, że Aranei mu uciekł. Przez chwilę stali nasłuchując uważnie, ale ciszę przerywały tylko ich oddechy.

– Boli, Piotrze – szepnął Hoens. – Drzazga została w łapie.

– Nie wyciągnę ci jej teraz, musisz wytrzymać. Znajdziemy gdzieś miejsce, w którym przeczekamy to wszystko. Potem pójdziemy dalej. Musisz wytrzymać.

– Gdzie idziemy? Masz jakiś plan?

– Mam – przerwał Piotr ostro. – Pośpieszmy się.

Szli kilkanaście minut. Parę razy słyszeli czyjeś głosy, nawoływania, krzyki, ale były one dalekie i przytłumione. Korytarz, który cały czas stawał się węższy, nagle rozszerzył się gwałtownie. Piotr zobaczył duży, stojący pod ścianą kosz i leżący w nim zwój liny.

– Stój – szepnął do Hoensa i lekko popchnął go w stronę ściany. Sam, przyciskając się do zimnej skały zrobił kilka kroków. Korytarz zakręcał ostro, a potem.. urywał się. Piotr stał u jego wylotu z wściekłością zaciskając dłonie. Patrzył w górę. Jakies pięćdziesiąt metrów nad nimi płonęły zatknięte w rzędzie pochodnie. Czarny cień Mostu zlewał się z ciemnością. Byli znowu w Wielkiej Grocie.

– Cholera! To koniec – Hoens ciężko oparł się o ścianę.

– Może – Piotr podszedł do kosza. Lina była gruba, mocna. I nowa. Na samej krawędzi umocowano dziwną konstrukcję – kilka powiązanych ze sobą belek, na nich osadzony pionowo blok. Piotr słyszał o takich urządzeniach. Dwadzieścia, trzydzieści metrów niżej znajdowała się na pewno skalna półka – dom jednego z Wiecznie Czuwających, świętych pustelników. Wywodzili się oni z Urali, oddawali im cześć nawet kapłani. Obecnie żyło ich kilkunastu, ale kiedyś było ich podobno znacznie więcej. Większość swego życia spędzali na kontemplacji, mieszkając na skalnych półkach. Bardzo rzadko wychod/iili na powierzchnię, by leczyć i nauczać oraz po to, aby dokonać wyboru następcy. Żywność dostarczano im w koszach spuszcanych za pomocą lin. Żaden człowiek nie rozmawiał jeszcze z Czuwającym, skąpe też były informacje o ich wiedzy i umiejętnościach.

Piotr podniósł linę. Może... trzeba zjechać na dół... Chwycił kosz chcąc sprawdzić, jak jest ciężki i jaki ciężar wytrzyma. W tym samym momencie w oddali rozległy się krzyki. Nie było czasu, żeby się zastanawiać. Linę przywiązał do kołków, przerzucił przez blok, drugi jej koniec był już przymocowany do kosza.

– Wsiadaj – pomógł Hoensowi usadowić się w koszu. – Nie huśtaj się, a jak tylko staniesz na

półce, wylaź!

Przepasał się liną i usiadł zapierając lewą nogę o skalny występ. Prawą wypchnął kosz poza krawędź korytarza.

Okrzyki zbliżały się.

Lina się naprężyła, Piotr powoli popuszczał. Asekurował Hoensa w obawie, że kołki, przeznaczone wszak do transportu Aranei, nie wytrzymają ciężaru człowieka.

Tupot wielu nóg. Żadnego światła. Kadeni.

Metr, jeszcze metr. Szorstka lina trze skórę dłoni.

Cichy stuk. Ciężar zelżał gwałtownie. Szarpnięcie liny. Hoens jest już na miejscu.

Chrapliwe głosy coraz bliżej.

Piotr chwycił linę i ostrożnie zbliżył się do krawędzi. Kosz i Hoens jakieś dwadzieścia metrów pod nim. Zaczął zsuwać się w dół.

"Kadeni nie podejną do krawędzi, gdy na Moście płoną pochodnie – myślał. – Ci z wyższych poziomów też nas nie zobaczą. Tylko, do diabła, jak my stąd wyjdziemy?"

Półka miała może metr szerokości, dwa metry długości i była jak gdyby przedłużeniem wnęki skalnej o mniej więcej dwa razy większej powierzchni. Tam też przesunęli kosz i sami się skryli, by nikt, choćby przez przypadek, nie mógł ich zobaczyć.

– Pokaż ramię – Piotr pochylił się nad Hoensem. Pilot siedział oparty o ścianę, z głową opuszczoną na piersi, zranioną rękę trzymał sztywno przed sobą. Trochę ponad łokciem tkwiła w niej brunatna drzazga.

– Muszę ci to wyciągnąć – Piotr rozdarł rękaw kurtki Hoensa. Syk bólu, tkanina przylepiła się już do rany. Piotr oderwał kawałek swojej koszuli, zwioinał go w dłoniach, podał Hoensowi.

– Wsadź to w gębę. Zagryź. I staraj się nie krzyczeć – ostrożnie dotknął ułamanego grotu.

– Hoens, jesteś słaby, bardzo słaby. Nie wiem, czy rana się zablizni, nie wiem kiedy. Żarcia mamy mało – dla mnie starczy na półtora tygodnia, ale dla dwóch... – Piotr siedział przy Hoensie, który osłabiony wpływem krwi leżał w bezruchu na ziemi. Rana przestała krwawić, ale Piotr nie był pewien, czy nie pozostał w niej żaden odłamek. I tak, na szczęście, grot nie utkwiał zbyt głęboko. – Ja mogę poruszać się w ciemnościach szybko i sprawnie, jednak cały czas musiałbym uważać na ciebie.. We dwóch nie mamy najmniejszych szans.

Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał Hoens. Nie chodzi o to, że byłbyś ciężarem, bo gdybyśmy mieli choć cień szansy, że dojdziemy razem, poszedłbym. Ale nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Tylko ode mnie zależy życie tamtych wszystkich, życie górników i, w końcu, moje życie. Jeśli dojdę, jest nadzieja, że ktoś to wszystko przeżyje, nie wiem ilu – dwu, czy dwudziestu. Jeśli mnie zabiją, nie przetrwa nikt. Dlatego muszę iść sam.

Wyciągnę cię na górę i zostawię przy jakimś głównym szlaku. Znajdą cię, na pewno. Chorych nie zabijają, wiesz jak było z Pustaczem. Podasz im jakieś liczby, niby kod do zbrojowni, odwlekaj to oczywiście jak najdłużej, daj mi czas. Zanim oni dojdą do Murray i wrócą, ja będę tu planetolotem i z górnikami.

To jest jedyne wyjście Hoens. Uwierz mi.

Zrozumiałeś mnie Hoens, słyszałeś co mówiłem? Hoens obudź się!

Hoens!

Hoens...

Podszedł do zwisającej liny. Szarpnął ją, po raz kolejny sprawdzając, czy wytrzyma jego ciężar. Bał się tej wspinaczki, nie wiedział czy da radę.

Nie potrafił określić, jak długo tu siedzi. Dzień, dwa? W tym świecie tylko głód i sen wyznaczały upływ czasu. Czekał, by tam, na górze trochę się uspokoiło. Gdyby mógł wyruszyć od razu, starałby się wykorzystać zaskoczenie i rozgardiasz panujący wśród Aranei. Jednak rana Hoensa zmusiła go do kilkunastogodzinnego odpoczynku. Kadeni na pewno zdążyli już postawić w stan alarmu strażę. Chciał więc poczekać, aż przeszukają korytarze i nie znalazłszy nikogo uznają, że uciekinierzy zginęli lub są już na zewnątrz labiryntu jaskiń. Tam też na pewno posłali swych wojowników, pozostawiając przejścia i korytarze nie pilnowane. Dzięki temu mógłby wymknąć się na wolność.

Chciało mu się pić, lecz wody nie zabrał ze sobą. Pragnienie przyspieszyło jego wspinaczkę, poczekałby jeszcze trochę, gdyby nie ono.

Chwycił linę i zaczął się podciągać. Stopami szukał jakichś pęknięć, załamania skały, na których mógłby się choć chwilę wesprzeć. Wypchana kurtka utrudniała wspinaczkę. Był już prawie trzy metry nad półką. Wtem usłyszał skrzypnięcie, szelest. Trzask. Odruchowo chwycił mocniej linę. Runął w dół.

Przez chwilę leżał w bezruchu. Spadł na bok, lewa ręka i biodro bolały go straszliwie. Ostrożnie dotknął ramienia sprawdzając, czy nie ma złamania. Ścisnął mocno, aż syknął z bólu, ale kości były całe. Podnosił się powoli, oszołomiony upadkiem, jeszcze za bardzo nie wiedział, co się właściwie stało. Spojrzał na linę. Jeden jej koniec zaciskał się na złamanej, drewnianej belce. Konstrukcja jednak nie wytrzymała jego ciężaru.

Podniósł wzrok, wylot korytarza majaczył się w górze ciemną plamą. Piotr doskoczył do ściany. Trochę spękana, ale nie dająca wystarczającego oparcia stopom i dłoniom. Bez liny nie potrafił się na nią wspiąć.

Zmęczony i zrezygnowany usiadł na ziemi. Żadnego przejścia, żadnych bruzd, żadnych występów w skalnej ścianie. Nie mógł opuścić półki ani w górę, ani na boki. Miał trzy możliwości. Czekać tu, czyli zdechnąć z głodu i pragnienia, skoczyć od razu w przepaść, tam gdzie wcześniej spuścił ciało Hoensa albo krzyknąć.

Wtedy znajdą go na pewno. Może zostawią, by skonał tutaj, ale raczej wyciągną na górę. Potem Ołtarz... Ale zawsze była to jakaś szansa.

Na to miał jednak zawsze czas. Godzina, dwie nie sprawiały różnicy. Leżał z rękoma podłożonymi pod głowę, wpatrzony w ciemność. Głupio, głupio tu umrzeć. Tyle światów, tyle dziewczuch, i piwo starego Mc Farianda, i najlepszy w świecie sernik, który piekła jego matka. I kupa forsy, którą miał dostać za sześćioletni pobyt tutaj. Ustawiony do końca życia. Tak miało być; kupa forsy, dziewczyny, sernik i piwo. I jeszcze tysiąc innych rzeczy. Głupio...

A tutaj... Padre. Kim jest, do czorta, ten człowiek, który znał kadeńskie lochy? Misjonarzem? Dwadzieścia lat na Araneidzie. Ile musiał wiedzieć o tej zaszranej planecie i o Aranei? Jak duże musiały być wpływy księdza, skoro pomagali mu w przygotowaniu ucieczki Piotra. Bo tego był pewien. To nie przypadek sprowadził go z powrotem do Wielkiej Groty, w to, bezpieczne przecież, miejsce. Kosz i linę ktoś musiał zostawić na korytarzu. Kto? Żaden człowiek nie miał takiej możliwości. Może Ficiino... Ktoś też musiał odciągnąć kadeńskich wojowników od Mostu. Teraz dopiero Piotr zrozumiał, jak małe szansę miała jego ucieczka. Szybko powinni go złapać, od Groty odchodziło nie tak znowu wiele korytarzy, dopiero później zamieniały się one w labirynt. Słyszac

odgłosy walki na Moście, Aranei bez problemu powinni zablokować wszystkie przejścia. Coś musiało ich więc zająć w tym czasie. Co? I kto to przygotował?

Araneida wydawała się od dawna planetą poznaną. Historię, dzieje zamieszkujących ją ludów odtworzono przynajmniej w ogólnych zarysach. Rasa, która osiągnęła kiedyś stopień rozwoju ziemskich cywilizacji starożytnych, w wyniku kosmicznej katastrofy cofnęła się do poziomu żyjącej z łowiectwa i zbieractwa hordy. Pewne fragmenty dawnej wiedzy i umiejętności przetrwały. "Pieśń Wędrówki" – zbiór wierszy, legend i pieśni, w żadnym ze szczepów nie zachowany w całości, odtwarzany mozolnie przez ludzi. Nieliczne, pochodzące z wykopalisk elementy ceramiki, posążki bogów, naskalne malowidła, wszystko to świadczyło o kunszcie artystycznym dawnych Aranei. Ale te pozostałości dawnej kultury nie mogły zmienić obrazu mieszkańców Araneidy – prymitywnych humanoidów, nieustannie walczących z przyrodą, z wieczną nocą, ze sobą.

Czasem znajdowano wśród nich jakiś przedmiot, którego nie powinni mieć, naczynie z brązu, soczewkę wyszlifowaną z kryształu górskiego, albo teraz – Piotr odruchowo spojrzął w górę – blok przymocowany do palików. Aranei nie używali maszyn prostych z wyjątkiem dźwigni, koło zaś traktowali wyłącznie jako element zdobniczy. Można co prawda założyć, że zastosowanie bloku podpatrzyli u ludzi.

Nagle Piotr drgnął.

W górze jakiś ruch. Szmery, szelesty.

Chwila ciszy.

Drżące głosy.

Skryty w zagłębieniu skały obserwował koniec zsuwającej się liny. W kilku miejscach zaciągnięte były na niej grube węzły. I nagle...

– Pijootr – głos cichy, zachrypnięty. Imię wymawiane powoli, z trudem. – Pijootr, wchodź...

Stał osłupiały. A potem, nie zastanawiając się wcale, chwycił linę i zaczął posuwać się w górę. Węzły dawały oparcie stopom, sznur był szorstki, dłonie nie obślizgiwały się po nim. Ostatni metr, ostatni wysiłek, wyciągnięta pomocnie dłoń – chwycił ją mocno, przerzucił ciężar ciała przez krawędź korytarza. Podnosił się powoli.

Dwaj Kadeni. Uzbrojeni w długie dzidy, lekko pochyleni, przyczajeni.

Trzecia postać znacznie wyższa od Aranei, długie włosy okalają starą, zniszczoną twarz. Ta twarz... Prawie płaska, bez nosa, warg, wąskie oczy. To nie był człowiek.

– Pijootr – bezzębne usta otwierają się. – lidiemy, sziiibko...

– Kim jesteś?

– Cicho, musiisz iisć, sziiibko. Oni pokazo drogeę – starzec wskazał dłonią dwóch Kadenów.

Jego dłoń... Piotr zadrżał. Już wiedział. Płaska, beznosa twarz, dłonie o czterech palcach. Palmollor.

– Ty, ty jesteś... – głos uwiązł mu w gardle. Nagle przypomniał sobie opowieść Padre o tamtej kobiecie. I o jej córce.

– lidicie, sziiibko.

Jeden z Kadenów ruszył szybkim, sprężystym krokiem. Drugi wcisnął Piotrowi w rękę wypchany plecak. Mężczyzna postąpił odruchowo kilka kroków do przodu. Nagle odwrócił się. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Palmo-Uora.

– Dziękuję – szepnął Piotr. Popędził za Kadenami.

Szli już dość długo, Kadeni prowadzili go jakimiś bocznymi, rzadko używanymi korytarzami, tak niskimi, że często musiał iść na czworakach. Dwa razy przeciskali się przez wąskie tunele, raz musieli wspiąć się po niskiej, lecz stromej skale. Kadeni nie rozmawiali ze sobą, na rozwidleniach korytarzy nie zatrzymywali się nawet na chwilę, drogę znali bez wątpienia doskonale.

Piotr posuwał się za nimi pogrążony w zadumie. Palmollorka i Padre musieli porozumieć się, dokładnie ustalić trasę jego ucieczki. To oni ją – zorganizowali, bez nich nie miałby żadnych szans. Więc historia, którą słyszał od Padre, wydarzyła się naprawdę, tutaj, na Araneidzie. Jak wielkie poważanie musiała mieć ta kobieta wśród Aranei, skoro, pomagając jej, występowali przeciw swoim. Nie rozumiał.

Ale wiedział, że prowadzą go ku wyjściu i gdy zobaczył światło gwiazd, poczuł się znów wolny. Droga, którą miał przed sobą nie przerażała go, wydawała się łatwa do przebycia. Kadeni zniknęli, nie mówiąc ani słowa, a on stał jeszcze chwilę u wylotu korytarza wpatrzony w czerń wiecznej nocy.

Szedł cały czas na wschód. Musiał dotrzeć do Gór Bramowych, potem szukać przełęczy albo, jeszcze lepiej, posuwać się wzdłuż Rzeki Eskimosów i przejść Wyłomem Honsye'a. Ten drugi wariant był trochę niebezpieczniejszy, ze względu na możliwość spotkania Aranei. Piotr nie chciał jednak tracić czasu na poszukiwanie drogi w górach, które znał dość słabo. Zresztą, tam też mógł natknąć się na Kadenów. Po pewnym czasie skręcił z pierwotnego szlaku nieco na południe. Jak na razie szło się całkiem nieźle. Chociaż temperatura utrzymywała się w okolicach 270 stopni, nie było zimno. W plecaku, który dostał od swej wybawczynie, był śpiwór, ocieplana kurtka, buty, zapasy jedzenia, kostki paliwowe, zapalniczki, garnuszek. Musiała mieć więc dostęp do magazynu rzeczy zabranych przez Kadenów ludziom.

Spał już dwa razy. Zakładał wtedy ciepłe ubrania, a śpiwór z hoelenu doskonale izolował od zmrożonej skały. Największym problemem Piotra było określenie czasu i przebytej drogi. Musiał tu zawierzyć swemu organizmowi, zatrzymywał się, gdy czuł głód lub senność. Wody mu starczało, wśród skałek sporo było małych kałuż, czasem pokrytych cienką warstwą lodu.

Drugiego dnia obserwował walkę alberta z dentystą. Albert, drapieznik wielkości wilka atakował broniącą się wściekle samicę. Dentystą nazwali ludzie stworzenie przypominające skoczka pustynnego, nieco od niego większe, pokryte, jak zresztą wszystkie zwierzęta żyjące po ciemnej stronie, gęstym futerkiem. Na czole u każdego dorosłego osobnika wyrastała guzowata narośl, która służyła do obrony, a którą samce podczas walk godowych wybijały sobie zęby. Stąd wzięła się nazwa gatunku.

Pojedynek wyglądał dość śmiesznie. Albert powoli acz nieustępliwie posuwał się w stronę ukrytego pod skalnym załomem gniazda dentysty, usiłując sięgnąć łapą przeciwnika. Zdesperowana matka skakała dookoła, krzycząc skrzekliwie, co jakiś czas udawało jej się uderzyć głową w pysk alberta. Ciosy musiały być bolesne, bo zwierzak zatrzymywał się wtedy, wstrząsał, ale po chwili ruszał dalej: Stworzenia tak zajęte były walką, że nie zauważyły zbliżającego się człowieka. Dopiero gdy Piotr tupnął, znieruchomiały, a potem, jednakowo przerażone, prysnęły na boki, dentysta do swojego gniazda, albert między skałki. Piotr zbliżył się do nory ostrożnie stąpając po mchu. Gdy był od niej o dwa kroki, dentysta wychylił łebek i zaskrzeczał groźnie. Mężczyzna uśmiechnął się, odwrócił i spoglądając na kompas poszedł dalej. Gwiazdy znowu skryły się za chmurami.

W zamierzchłej przeszłości lądy zajmowały na Araneidzie olbrzymi obszar północnej półkuli. Dwa kontynenty – leżąca po dziennej stronie Atlantyda i zajmujący całą ciemną Tartar – połączone były wąskim pasem lądu. Życie, które powstało w morzach dziennej półkuli, rozprzestrzeniło się wkrótce na wszystkie kontynenty, przystosowując się nawet do polarnych warunków ciemnej strony.



Dwa miliony lat temu ocean zalał połączenie między Atlantydą a Tartarem. Od tej pory ewolucja prymitywnych humanoidów, zamieszkujących ziemie dziennej strony Araneidy zaczęła przebiegać odmiennie. U tych z Atlantydy – podobnie jak na Ziemi, co doprowadziło w końcu do powstania rozwiniętej cywilizacji przedtechnicznej. Inaczej rzecz się miała na ziemiach drugiego kontynentu. Te obszary Tartaru, które leżały po dziennej stronie, powoli i stopniowo – trwało to dziesiątki tysięcy lat – zalewał ocean. Wszystkie stworzenia zamieszkujące te tereny musiały wycofywać się coraz bardziej na wschód, najpierw w strefę półcienia, potem w mrok i zimno. Stopniowo też przystosowywały się do życia w ciemnościach. Prakadeni nigdy nie używali ognia. Mijały tysiąclecia.

Na Atlantydzie powstała cywilizacja, przodkowie Urali zaczęli budować okręty, pływać po morzach, kiedyś wreszcie odważyli się przekroczyć granicę terminatora. Odkryli nowy ląd, a na nim prymitywne, lecz inteligentne małpoludy – Kadenów. Przypuszczać należy, że zbudowali swe faktorie, osady kupieckie, po to, by łowić Kadenów i jako niewolników wywozić za morze.

Nie wiadomo jak potoczyłyby się dalej losy cywilizacji Araneidy. Być może, i jest to hipoteza bardzo prawdopodobna, cywilizacja ta osiągnęłaby poziom techniczny, a nawet kosmiczny.

Jednak trzy i pół tysiąca lat temu przyszła katastrofa. Potężny meteor uderzył w Atlantyde i zatopił ten niewielki, w porównaniu z Tartarem, kontynent. Olbrzymia fala zalała zachodnie wybrzeża Tartaru, zniszczyła ural-skie miasta. Niedobitki musiały szukać ratunku wśród Kadenów. I ci, do niedawna łowieni jak zwierzęta, przyjęli ich. Bynajmniej nie z dobrego serca. Urali mieli ogień, mogli się nim zajmować. A Kadeni poznali już błogosławieństwo ognia, choć sami nie byli w stanie go wykorzystywać. I tak powstała ta przedziwna, złożona struktura społeczeństwa Aranei. Przez trzy tysiące lat szczepy wędrowały w poszukiwaniu żywności wzdłuż wybrzeży Morza Południowego. Prąd Teslinga umożliwiał egzystowanie w krainie zimna. W morzu żyły ryby, na wybrzeżach wegetowały rośliny nocnej strony – od miliardów lat przystosowane do termosyntezy.

W końcu aranejskie hordy, po przejściu wszerek całego kontynentu, dotarły do wschodnich jego krańców. Tu pas lądu o szerokości dochodzącej do tysiąca kilometrów sięgał poza strefę półcienia, w głąb dziennej strony.

Kadeni nie mogli przekroczyć tej granicy, świat ciepła i światła nie był ich światem. Urali zaś nie stanowili już osobnego szczepu, od wieków żyli wśród Kadenów, czuli i myśleli tak jak oni. Nie mogli opuścić swych braci i samemu wyjść na ziemie oświetlane przez słońce Araneidy. Tak przynajmniej sądzili niektórzy badacze. Inni uważali, że Urali nie opuszczają nocnej strony w obawie przed klątwą i karą bogów, którzy przecież, przed trzema tysiącami laty wygnali ich przodków z krainy światła. Z kraju, gdzie zawsze jest ciepło, gdzie zawsze dużo zwierzyny. Z raj. Po tysiącach wegetowania na granicy śmierci, ciągłej walki o byt, Atlantyda musiała się wydawać potomkom tych ocalałych po wielkim kataklizmie, rajem.

Śpiwór rozłożył na świeżym mchu, w płytkiej szczelinie, której ściany chroniły posłanie przed wiatrami. Zmienił buty, założył kurtkę i ściągnął sznurki kaptura – do snu musiał ubierać się ciepło. Wsunął się w śpiwór. Skulił się, naciągnął śpiwór po czubek głowy, dopiął suwak. Usnął.

Chrapliwie wymawiane słowa, szmer zbliżających się kroków.

Słyszał, wiedział, że ktoś podchodzi do niego.

Ciemne postacie. Trzy kroki od posłania.

Zdążył tylko rozsunąć śpiwór.

Uderzenie w brzuch zgięło go w pół. Mocna pętla zacisnęła się na gardle. Poderwał się. Chwycił

sznur, szarpnął, przyciągając do siebie Kadena.

Uderzył z całej siły. Krzyk.

Zerwał pętlę z szyi. Dwaj Kadeni zbliżali się powoli. W dłoniach kamienne noże. Powoli, krok za krokiem. Zataczali krąg, krąg coraz węższy. Trzeci Aranei podnosił się z jękiem.

Był silniejszy od każdego z nich osobno. W walce ze wszystkimi nie miał szans. Chcieli go wziąć żywcem i to było jego szczęście.

Krok za krokiem. Coraz bliżej. Zalana krwią twarz trzeciego. Gniewny pomruk.

Zaatakować!

Runął w stronę najbliższego Aranei, powalił go na ziemię. Nie zatrzymując się nawet, popędził przed siebie.

"Jeśli pomyślą... zostaną przy plecaku – biegł uważnie wpatrując się w ziemię, jeden nieuważny krok, skręcenie nogi i byłoby po wszystkim – muszę tam wrócić, bo zdechnę z głodu". Ale takie rozumowanie było dla Aranei zbyt skomplikowane, może zresztą poniósł ich wojenny zapal – wszyscy rzucili się w pościg za Piotrem. Człowiek był szybszy, biegł jednak tak, by utrzymać nad najbliższym Kadenem tylko kilkumetrową przewagę, by nie zniechęcić go do dalszej pogoni. Po kilkuset metrach dwaj Aranei zostali nieco z tyłu.

Piotr zatrzymał się nagle i odwrócił ku nadbiegającemu Kadenowi. Pochylił się, podnosząc z ziemi kamień. Unik. Uderzenie. Martwe ciało walące się na ziemię.

Dwaj Kadeni zatrzymali się niezdecydowanie. Jeden coś krzyknął, drugi potakująco kiwnął głową. Znow ruszyli, rozdzielili się i, wyciągając zza pasów noże, zaczęli krążyć wokół człowieka. Dziesięć metrów, pięć. Trzy. Rzucili się na niego prawie równocześnie. Zdażył odskoczyć. Poczul jak nóż rozdziera mu rękaw kurtki i zahacza o ramię. Wbił włócznię w pierś Kadena. W tym samym momencie drugi skoczył na plecy Piotra. Impet uderzenia przewrócił człowieka. Piotr runął na ziemię, pociągając za sobą Aranei. Ostrze noża rozerwało kurtkę. Gorący oddech na twarzy. Oczy. Wielkie, lśniące oczy. Palce zaciśnięte na szyi. Ale to tylko chwila. Pchnął. Uderzył. Aranei nie miał szans. Już leżał na plecach, przygnieciony przez człowieka, z własnym nożem u gardła. Piotr zawahał się. Jego nacisk zelżał.

– Ai nonar, ja przyjaciel – powoli dobierał słowa z tych kilkudziesięciu jakie znał. – Oio semar, ty dom.

Twarz Aranei nie zmieniła się. Nie drgnął żaden mięsień. Piotr podniósł się, cały czas podtrzymując Kadena. Odskoczył na metr. Aranei wstawał ciężko.

– Oio semar, ai nonar – powtórzył Piotr.

– Ro! Nie! – Kaden nie zważając na to że jest bezbronny poderwał się z ziemi i rzucił w stronę człowieka. Pchnięcie, aż krew bluznęła na dłonie.

Kaden żył jeszcze, leżał oddychając ciężko. Lśnienie jego oczu gasło, przedśmiertny skurcz wstrząsnął ciałem.

– Oio clow... – wychrypiał – oio clowiek, hallera, hallera... kryme, grób, grób... chcę... Skonał.

Piotr stał nad jego ciałem, ściskając w dłoni skrwawiony nóż. Wiedział o co chodzi Kadenowi. Obyczaj nakazywał, aby zwłoki Aranei układano na lewym boku, a w dłonie włożono kamienie. Kryme – chcę, znaczyło również "proszę". Aranei prosił jego, swego wroga o pochowanie na tym pustkowiu zgodnie z zasadami swej religii. Prosił!

Zajęło to Piotrowi sporo czasu, trzy ciała ułożył w zagłębieniu gruntu, które wcześniej wybrał

sobie na nocleg. Potem zasypał je kamieniami, na szczęście sporo ich było wokół. Senność odeszła go całkowicie. Pakując plecak zastanawiał się, czego szukali trzej Aranei w tej okolicy. Nie był to raczej pościg za nim, szliby wtedy rozproszoną, ale liczną grupą, odgłosy walki już ściągnęłyby mu na kark pozostałych. Zapewne ci trzej to myśliwi, którzy trafili na niego przez przypadek. Całe szczęście, że nie zabili go podczas snu, a próbowali wziąć żywcem.

Szedł równym, miarowym krokiem. Po pewnym czasie wydało mu się, że na horyzoncie dostrzega zarysy góry. Był już blisko granicy mroku.

Czuł się bardzo źle, zimno i zmęczenie stawały się coraz dotkliwsze. Kaszlał często, bolała go głowa i gardło. Spał długo, a mimo to wciąż był senny i niewyspany.

Tego dnia, kiedy już zatrzymał się na postój, miał wysoką temperaturę. Potrzebował leków i dużo ciepłej wody. Lekarstw nie było w plecaku, musiał więc zadowolić się wrzątkiem. Przygotował już sobie posłanie na mchu i szukał teraz jakiegoś zbiornika czystej wody. Oddalił się od legowiska kilkadziesiąt metrów, lecz wreszcie zobaczył w jakimś zagłębieniu małą kałużę. Przykucnął przy niej, woda była klarowna, jej powierzchnia nie zmacona żadną falą. Nagle ogarnęła go słabość, poczuł, że traci równowagę. Zdążył jeszcze odstawić kubek, chciał się podeprzeć.

Jego dłonie zetknęły się z wodą, powinny oprzeć się o dno. Ale Piotr czuł wyraźnie, że zagłębiają się w coś lepkiego i zimnego. Stracił równowagę, całym ciałem upadł w kałużę wody. Gęsta maź oblepiała mu twarz, ręce, nogi. Zapadał się coraz głębiej, tonął w przezroczystym błocie.

Wróciła przytomność. Szamotał się, rozgarniał rękami zimną galaretę. Zaczynało mu brakować powietrza. Nagle dłoń dotknęła skały. Chwycił się jakiegoś występu, ostatkiem sił podciągnął do góry. Głęboko wciągnął w płuca powietrze, wsparł ramionami o brzeg kałuży i powoli się z niej wyczołgał. Przez chwilę leżał nieruchomo, ciężko oddychając. A potem ogarnęło go straszliwe zimno. Był cały mokry. Poderwał się z ziemi i choć w głowie huczało mu coraz bardziej, pobiegł w stronę legowiska. Szybko zrzucił z siebie ubranie, założył nową kurtkę, cieńszą ale suchą.

Rozpalił ognisko. To było ryzykowne, ogień mógł ściągnąć Aranei, lecz nie miał innego wyjścia. Musiał się ogrzać i wysuszyć ubranie. W głębokim na jakieś trzy metry zagłębieniu ułożył stos mchu, zdrewniałych kłaczy, korzeni. Poszedł drugi raz po wodę, w to samo miejsce, tym razem jednak brał ją ostrożnie. Wypadek orzeźwił go trochę, jednak gdy usiadł przy ognisku, zmęczenie i senność ogarnęły go ponownie. Ogień zabezpieczał przed zwierzętami i Kadenami, którzy nie podeszliby do płonącego jasnym światłem stosu. Nie podejrzewał zaś, aby w pobliżu byli jacyś Urali. Uspokoiwszy sam siebie, siedział wpatrzony w płomienie.

Był wściekły, że wlaź w tę przeklętą kałużę-pułapkę. Szklarz to zwierzątko wielkości dłoni, żyjące stadnie. Kolonia taka zastawia mnóstwo pułapek, wypełnia zagłębienia terenu lepkim, przezroczystym śluzem, na którym gromadzi się cienka warstwa wody. Zwierzęta, które chcą się napić, zapadają się w szklistej mazi, duszą się, opadają na dno zbiornika, aby stać się pokarmem dla kolonii szklarzy. Pułapka, w którą wpadł Piotr, była wyjątkowo duża, gdyby był zdrowy, na pewno dostrzegłby, że nie bierze wody ze zwykłej kałuży.

Ogień gaś powoli, zapas paliwa się skończył. Piotr głębiej wcisnął się w śpiwór. Zamknął oczy. Na chwilę zapomniał, o tym gdzie jest, zapomniał o mroku i zimnie, o Kadenach i górnikach, o kaźniach na Moście, o tajemniczym Palmollorze. Wreszcie było mu ciepło.

Usnął.

Musiał spać długo, bo gdy się obudził, popiół z ogniska był już zupełnie zimny. Piotr czuł się świeży i wypoczęty, nogi przestały go boleć, chłód stał się mniej dotkliwy. Śniadanie i

przygotowanie do wymarszu zajęło mu pół godziny. Ruszył w dalszą drogę.

Dochodził do Murray. Widział już z oddali budynki i obłe kształty planeto-lotów. Przyśpieszył kroku. Teraz, gdy był już u celu wędrówki, cały koszmar przebytej drogi wydał mu się czymś nieważnym, nieistotnym, momentem, mgnieniem zaledwie. Mróz, walka, choroba... Doszedł przecież, pamiętał te chwile cichej radości, gdy przemknął się przez Wyłom Honseye'a, gdy wszedł w strefę półcienia. Było coraz cieplej i bezpieczniej, pieniało się coraz więcej roślin, przechodził przez pierwsze zagajniki, lasy. Potem pięćdziesiąt kilometrów stepu, pokonał je bez żadnego, dłuższego postoju, choć był już potwornie zmęczony.

Minał pierwsze zabudowania Murray – magazyn artykułów przemysłowych i siłownię. Trawniki między ścieżkami zarosły zielskiem. Poniewierały się po nich wywleczone z budynków przedmioty, których Aranei w końcu nie zabrali ze sobą – zbyt ciężkie meble, płyty metalowe, rury. Piotr ruszył na lądowisko planetolotów. Wszystkie trzy stały na swoich miejscach. Sto metrów dalej znajdowały się wielkie budynki magazynów. W trzech składowano wydobyty i przerobiony surowiec, w czwartym przechowywano broń i większą część żywności. Znajdował się tam również garaż łazików. Piotr stanął przed drzwiami. Wokół poniewierały się jakieś łomy, drągi, krawędź drzwi była poobijana, wygięta w kilku miejscach – Aranei próbowali dostać się do środka bez pomocy kodu. Na szczęście tablicę rozdzielczą pozostawili nietkniętą, wiedzieli, że im też będzie potrzebna. Chwilę patrzył na nią uważnie, wreszcie wcisnął kilka guzików. Drzwi zaczęły się otwierać z głośnym zgrzytem.

– Mówi Piotr Carsten! Mówi Piotr Carsten! Baza II, odezwij się! Wzywam Madagaskar!

W słuchawkach tylko trzaski i szumy. Jeszcze raz sprawdził, czy dostroił się do odpowiedniej częstotliwości. Wszystko było w porządku.

– Mówi Piotr Carsten, wzywam Bazę II!

Znow nic. Nie ściągając z głowy słuchawek spojrzał na ekran. W oddali, prawie na linii horyzontu, widać już było ciemny, rosnący w oczach punkt – Madagaskar. Zostało jeszcze dziesięć minut lotu. Pojemniki z żywnością nie zajęły nawet połowy ładowni, a ponieważ nie zdołał ich niczym przymocować, więc przy każdym gwałtowniejszym manewrze słychać było, jak się przesuwają i przewracają. Pogodę do lotu miał wyśmienitą, lekki wiatr, słońce skryte za chmurami.

Dotknął dłonią leżące obok kabury, jakby chciał się upewnić, że ma pistolet przy sobie. Broni z magazynów w zasadzie nie ruszał. Karabiny w skrzynkach były zakonserwowane i zbyt wiele czasu zajęłoby mu ich czyszczenie. Zabrał więc tylko mały, sześciopistoletowy pistolet i garść naboju. Skrzynie z bronią zostawił w magazynie, którego zamek przekodował na wszelki wypadek. Wszystko to zajęło mu nie więcej niż godzinę. Gdy tylko załadował "Plusa", zjadł całą puszkę jakiejś konserwy i wystartował.

Niepokoilo go wszak, że baza górników nie odpowiadała na jego radiowe wezwania. Próbował się z nią skontaktować jeszcze z Murray, tak samo jak i teraz, bezskutecznie. Mogli mieć popsuty sprzęt. Mogli po prostu nie podłączyć radiostacji do baterii słonecznych, uważając to za zbędną stratę energii. Być może nikt nie słuchał radia. Tak starał się wyjaśnić sobie ich milczenie. Ale przecież równie dobrze w Bazie II mogło już nie być ludzi.

Sześćdziesięciu. Żywność, jaką mieli, starczyłaby na doczekanie kosmolotu ze zmiennikami dla trzech, może czterech, uzupełniona łowionymi rybami – nakarmiłaby sześciu. Ale ich było sześćdziesięciu. Du jeszcze żyło?

Wyspa stawała się już dużą, szarozieloną plamą na powierzchni oceanu. W jej centrum, między

bazaltowymi wyniesieniami wytopiono w skale niewielkie, prostokątne ładowisko, postawiono kilkanaście baraków. W sporej odległości kopalnie i przetwórnice rudy. Wszystko to otoczone górami i lasem.

Piotr włączył automatycznego pilota, ale, tak jak się spodziewał, brak było sygnałów naprowadzających. Powoli zaczął zniżać lot maszyny.

Nikt go nie witał. Gdy wyszedł z "Plusa", przez chwilę stał w bezruchu, jeszcze wierząc, jeszcze oczekując, że ktoś do niego podejdzie, wypowie słowa powitania. Przecież każdy, kto mieszkał na wyspie, musiał widzieć i słyszeć planetolot. Chyba, że nie było nikogo.

Ruszył w stronę najbliższego budynku. Wyłamane drzwi, w środku, na zakurzonych stołach leżały szmaty, pod ścianami stały zamknięte szafy. Drugi budynek, również otwarty, był dyspozytornią i równocześnie stacją nadawczą wyspy. Piotr schylił się, by nie uderzyć głową w zbyt niską futrynę. Jego wzrok zatrzymał się na przeciwległej ścianie, którą przecinała czarna bruzda. Podeszedł bliżej. Rysa biegła przez ścianę lekkim łukiem, jakby wyżłobiona jednym pociągnięciem ręki. Widział już kiedyś takie, wypalone laserowym miotaczem, ślady. Piotr odwrócił się, zbliżył do małego pulpitu z mnóstwem klawiszy, suwaków i martwych żarówek. I znowu ślady potwornego żaru. Dziura, przez którą człowiek mógł precyzyjnie przycisnąć dłoń, wypalona tuż obok zakurzonego mikrofonu.

Piotr widział go. Oszalałego z głodu i rozpacz, wpatrującego się w radiostację, przyciskającego do uszu słuchawki. A potem wściekłego, gdy nie odzywa się w nich żaden głos. Chwytającego górniczy miotacz do kruszenia skał. Z nienawiścią w oczach mierzącego w pulpit radiostacji. A potem, gdy szumy i trzaski urwały się, płakał czy przeklinał? Modlił się?

Piotr wyszedł na dwór. Musiał się otrząsnąć, musiał opracować plan ratunku dla tych, którzy, być może, jeszcze żyli w jaskiniach Gór Gagarina. Plan uwzględniający działanie tylko jednego człowieka.

Szedł wąską ścieżką, prowadzącą wzdłuż granitowej ściany w stronę baraków mieszkalnych. Morze z hukiem uderzało o podnóże skały, fale rozpryskiwały się w tysiące kropel. Powiew wilgotnego wiatru docierał nawet na górę. Piotr patrzył w czterdziestometrową przepaść bez lęku. Nie bał się wysokości, nie bał się zimna i nocy. Teraz bał się jedynie samotności.

Po paru minutach był już na szczycie wzgórza, ponad lasem, tu rósł tylko mech i karłowate krzaczki. Ścieżka wiodła wzdłuż grani, po obu stronach skała stromo opadała w dół. Dla bezpieczeństwa ustawiono tu metalowe barierki długości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów.

W kilku miejscach brakowało fragmentów poręczy, w kilku była ona nadtopiona. Piotr spojrzał w dół. Zatrzymał się gwałtownie, mocniej wychylił ponad sięgającą pasa barierkę. Dwadzieścia metrów pod nim, na poziomej, skalnej platformie, osłoniętej od wiatru otaczającymi ścianami leżały dwa ludzkie szkielety. Kości zszarzałe, rozrzucone bezładnie, gdy dało przestaje je spajać. Obok dostrzegł Piotr czarny, podłużny przedmiot. Miotacz.

"Dwaj ostatni... Może chcieli umrzeć bez cierpień... może..."

Wyciągnął pistolet. Odbezpieczył. Lufa w niebo. Powoli nacisnął spust.

Huk sześciu wystrzałów wdarł się w huk morza.

Chwilę jeszcze patrzył w dół, wreszcie odwrócił się chowając pistolet do kabury.

Szybkim krokiem ruszył ścieżką w dół, ku osiedlu małych, jednopiętrowych domków. Liczył, że odnajdzie jakiś dziennik, kromkę, luźne zapiski mówiące o tym, co tu się działo. I jeszcze nadzieja, bezsensowna. Może w tych domach leżą jeszcze chorzy, umierający, głodni. Niezdolni wyjść mu na spotkanie, ale żywi.

Schodził coraz szybciej, po chwili biegł już, nie zważając na ostry wiatr i zmęczenie.

Zatrzymał się raptownie, aż noga poślizgnęła się na ścieżce. Utrzymał jednak równowagę. Chwytał mocno za metalową poręcz.

Zza skalnego załomu wyszło trzech ludzi.

– Łodzie nie były duże. Jedna zatoneła tam – Albert palcem wskazał punkt, prawie na linii horyzontu. – O drugiej nic nie wiemy. Ale wypłynęli miesiąc temu, więc gdyby trafili do Murray...

– Nie trafili – Piotr kopnął mały kamyk. – Nikogo tam nie było.

– Wypłynęliśmy na ryby, do tej zatoczki po drugiej stronie wyspy. Jak tylko zobaczyliśmy planetolot, od razu zaczęliśmy wiosłować do brzegu, ale prąd nas znosił, tam jest silny prąd w morze.

– Kiedy skończyła się wam żywność?

– Tuż przed ich wyprawą, oni zabrali resztki. Dla nas trzech...

– Pięciu – wtrącił się Eiver, wielki, ponury, ciągle skrzywiony. – Jeszcze Max i Bernard.

– No tak, rzeczywiście – Albert poprawił się drżącym głosem.

– To tamci dwaj za barierką? – Piotr machnął ręką w stronę wzgórza, po którym biegła skalista ścieżka.

– Widziałeś już? – Eiver drgnął.

– Tak, co się stało? Chwila milczenia.

– Max zwariował – do rozmowy włączył się Boyle. – Cztery dni z rzędu tłukł sztorm, resztki zapasów zabrali tamci, a my nie mogliśmy łowić ryb. Zresztą i tak ryb było zawsze mało, niewiele gatunków nadaje się do jedzenia. Max zaczął krzyczeć, że to koniec, że lepiej zdechnąć od razu, bez bólu. Byliśmy wtedy w dyspozytorni, tam, na lądowisku. Max miał wachtę, wtedy jeszcze siedzieliśmy na zmianę po dwie godziny przy słuchawkach. Nie wiesz, co to znaczy, słuchasz pisków, szumów, co chwila wydaje ci się, że już, już masz jakiś sygnał, czyjś głos. I gówno. Żreć ci się chce, zaczynasz przeklinać wszystkich i wszystko. Max nie wytrzymał. Tam obok był magazyn. Wziął z niego laser górniczy i rozwalił nadajnik. Potem pognął na górę. Cisnął w dół miotacz, zaczął przełazić przez barierkę. Wichura nie ustawała, wiatr napieprzał tam, w górze, że strach. Bernard pobiegł za Maxem, dogonił go, przez chwilę mocowali się przy barierce.

Polecieli razem. Nawet krzyku nie było słychać...

Boyle umilkł. Przez chwilę trwali w milczeniu. Piotr patrzył na nich uważnie. Tak różni byli, gdy opowiadali o sobie. Boyle i Eiver spokojnie, powoli, za to Albert dygotał cały, nerwowy tik – skurcz mięśnia co chwilę zniekształcał mu twarz. Mężczyźni byli zmęczeni, brudni i obdarci. Ale, rzecz dziwna, nie wydawali się Piotrowi wygłodzeni. Widać ryby i małże służyły im wcale nieźle.

Kiedy sam opowiadał o tym, co się działo na kontynencie, słuchali go z zainteresowaniem, ale bez żadnego podniecenia. Przeszli tak wiele, że mało co mogło ich poruszyć. Tylko gdy zaczął mówić o Hunterze i Krzysztofie, o torturach, tik wykrzywił rysy Alberta.

Podzielili między siebie pracę i załadunek planetolotu przebiegał dość szybko. Boyle, Eiver i Albert pracowali przy lądowisku, pakując w wielkie skrzynie ciepłe ubrania, latarki, wszystko, co mogło przydać się po ciemnej stronie.

Piotr miał w tym czasie pospać trochę, został w osiedlu mieszkalnym. Nie mógł jednak usnąć. W końcu wstał z łóżka, żeby trochę pomyszkować w osadzie. Szukał dużych reflektorów, które chciał wykorzystać przy zajmowaniu kadeńskich lochów. Doszedł do końca rzędu baraków mieszkalnych i

miał już wracać, gdy zobaczył stojący na uboczu, mały budynek. Podeszedł bliżej. Wcisnął klawisz wyłączający zamek i pchnął drzwi. W środku było jasno, znajdujące się pod sufitem okna przepuszczały dużo światła. Liczne, stojące pod ścianami, półki były puste. W kątach poniewierały się papiery, połamane skrzynie. Zdziwił się trochę, że na półkach nie było ani śladu kurzu, tak jakby to, co na nich stało, zdjęto całkiem niedawno. Nie znalazłszy nic dla siebie, z rezygnacją machnął ręką i wyszedł z magazynu. Chwilę stał, niezdecydowany gdzie pójść. W końcu skierował się w stronę morza. Tamci i tak mieli po niego przyjść dopiero po skończeniu swojej roboty.

Ścieżka zaprowadziła go na trzymetrowej wysokości skarpe, w dole rozciągała się kamienna plaża. Piotr zszedł na nią po przymocowanej do skały drabince. Ruszył wzdłuż brzegu, ku małej, wyciągniętej na brzeg i przewróconej do góry dnem łodzi. Morze było spokojne, niewielkie fale rozbijały się o ławice kamieni, lekki, wiejący od wody wiatr mile chłodził twarz. W oddali, na powierzchni morza, dostrzegł Piotr jakiś ciemny, podłużny kształt. Pień drzewa to podnosił się, to opadał, zgodnie z ruchem fal.

Piotr podeszedł do łódki. Dno miała ciemnobrązowe, spękane. Silnik odczepili, nie był potrzebny, gdyż cały zapas paliwa zabraly tamte, płynące na kontynent łodzie. Wiosła stały oparte o pionową ścianę skarpy, obok leżały jakieś szmaty, stare worki, torby.

Znowu spojrział na morze. Kawał drewna znajdował się znacznie bliżej brzegu.

Między kamieniami coś błysnęło. Zaciekawiony podeszedł tam, pochylił się.

Okrągła puszka z koncentratem odżywczym. Podniósł ją, chwilę ważył w dłoni, wreszcie wsadził do kieszeni.

Powoli ruszył w stronę osiedla.

– Zobaczcie, co znalazłem! – Piotr szybkim krokiem wszedł do baraku, w dłoni trzymał puszkę koncentratu – Ciekawe co...

Urwał raptownie.

Szumy i trzaski. Boyle trzymał w ręku śrubokręt, Albert podawał właśnie Eiverowi jakieś kable. Zamarli na moment w bezruchu patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Miałeś spać – pierwszy odezwał się Eiver.

– Nie mogłem zasnąć. Co tu robicie? Mówiliście, że radiostacja awaryjna nie działa.

– Właśnie chcieliśmy zobaczyć dlaczego – Boyle podeszedł do Piotra. – Prawie skończyliśmy. To przecież koncentrat! Skąd to masz?

– Znalazłem nad morzem, leżała między kamieniami.

– Między kamieniami? Cholera jasna... – Boyle zamyślił się. – Pewnie przy załadunku tamtych łodzi wypadła i nikt jej nie zauważył.

– Pewnie tak – Albert kiwnął głową, powstrzymując wciąż powracający skurcz twarzy.

– Niemożliwe – Piotr obrócił puszkę w dłoniach – wygląda, jakby była niedawno wyjęta z magazynu.

– Wydaje ci się – mruknął Boyle.

– To zabezpieczony metal – wtrącił się Eiver, znów pochyłony nad radiostacją – do nas tylko takie wysyłali... Co za cholera! – zaklął uderzając pięścią w pokrywę urządzenia.

– Co tam nawaliło? – zainteresował się Piotr.

– Nie wiem. Chcieliśmy sprawdzić, ale na to, żeby ją dokładnie rozebrać, nie mamy czasu, a z

wierzchu wszystko wydaje się w porządku. Piotr ziewnął.

– Chyba jednak pójdę spać – uśmiechnął się. – Gdzie tu się można wałnąć?

– Po drugiej stronie ulicy jest mały pokoik na piętrze, ale tam pewnie pełno kurzu.

– Dobra, jakoś się umoszczę.

– Śpij dobrze – Eiver odprowadził go do drzwi.

– Acha, wiecie co – Piotr odwrócił się jeszcze. – Ten prąd, o którym mówiliście, jest chyba zmienny.

– Chyba nie – Eiver podrapał się w brodę. – Nie, na pewno, jest diabelnie silny.

– Dziwne... – mruknął Piotr – widziałem dziś kawał drewna popychany przez fale do brzegu.

– To pewnie w innym miejscu.

– Pewnie tak. Milczał przez chwilę.

– To skończcie ładować i nie babrajcie się już z tą radiostacją. Jak tylko będziecie gotowi, zbudźcie mnie.

– W porządku.

Piotr wszedł do sąsiedniego budynku. Na piętrze rzeczywiście znajdował się mały pokoik, a w nim łóżko przykryte straszliwie zakurzonym kocem. Zrzucił brudną szmatę na ziemię, odpiął kaburę i położył się.

Przez chwilę przewracał się z boku na bok, szukając wygodnej pozycji. Pomyślał jeszcze, że mógłby wyjąć z kieszeni kurtki scyzoryk, paczkę papierosów i naboje. Ale nie chciało mu już się ruszyć. Usnął.

Kroki na schodach.

To tylko sen. Jest spokojnie. Jest cicho. Zimna skała nie gniecie pleców. Nie słyhać ciężkich oddechów. Nikt się nie modli. Nikt nie płacze. Cisza.

I tylko te kroki na schodach.

Otworzył oczy.

Ktoś szedł na górę.

Pierwszy odruch – ukryć się jak najszybciej.

"Bez sensu" – Piotr uśmiechnął się. Podniósł się z łóżka. W tym momencie drzwi otworzyły się. W progu stał Eiver. W lewej dłoni latarka.

W prawej długi nóż.

Zdziwienie na twarzy Eivera. Oczy wpatrzone w Piotra. Oczy pełne nienawiści.

– Co ty...? – Piotr cofnął się krok.

– Boyle! Albert! – Eiver krzyknął nie odwracając głowy. – Chodźcie tu! On nie śpi!

I nagle zrozumiał.

Tupot nóg na schodach.

Znał to, pamiętał. Strach i ciemne korytarze. I bicie bębnow. I rozpacz. Tam...

Eiver zbliżył się do niego, mocno ściskając trzonek noża.

Piotr spojrział w stronę zasłoniętego kotarą okna. Pierwsze piętro.

Do pokoju wbiegł Boyle. Tuż za nim Albert. W rękach trzymali mocne drągi.

Piotr pochylił się. Podniósł z ziemi zrzucony przedtem koc. Owinął go sobie kilkakrotnie wokół



ręki.

Eiver zaatakował. Piotr odskoczył. Rzucił się w stronę okna. Uderzył barkiem. Trzask pękającego materiału. Rozpryskujący się plastik. Światło. Uderzenie. Poczłł potworny ból w lewej ręce. Poderwał się błyskawicznie. Już zbiegali po schodach. Rzucił się do ucieczki.

Pędził w las, między drzewa.

Ukryć się, ukryć jak najprędezej, nim tamci wybiegną na dwór. Prawą ręką rozgarniał bijące po twarzy gałęzie. Lewą przyciskał kurczowo do piersi... Jego stopy ryły śliski mech, szukając oparcia. Przed nim – zielony gąszcz, który zamknie się za plecami. To jego szansa. Wreszcie jakiś wykrot. Skoczył do niego, przywarł do ziemi, ale zaraz wychylił głowę. Nie zobaczył ich, może bali się zapuścić w zieloną gęstwinę, może naradzali...

Delikatnie dotknął lewego ramienia, potem krzywiąc się z bólu, przejechał dłonią wzdłuż całej ręki. Na szczęście nie była złamana tylko mocno stłuczona.

"Dlaczego? Dlaczego?!" – ukrył twarz w dłoniach. Tak długo uciekał, tak długo bał się, tak długo był sam. Wreszcie odnalazł ludzi. I oni chcą go zabić.

– Dlaczego...?

Drżący szept.

I nagle przed oczami stanęła mu twarz Padre. I twarz Huntera.

Dłonie Piotra zacisnęły się. Nienawidził.

Ogień pożerał las, płomienie czepiały się gałęzi drzew, igliwie płonęło, w powietrze buchały kłęby dymu. Huk walących się drzew, trzask pękających pni, skowyt i pisk przerażonych zwierząt. Piotr leżał rozplaszczony na skalnej skarpie, łysej, nie porosłej nawet trawą. Miał nadzieję, że ogień go tu nie dosięgnie. Podpalili las. Chcieli go zabić, wykorzystać jak zwierzę i zabić. Mogli odlecieć, zdechłby tu z głodu. Ale nie byli tego pewni, nie chcieli ryzykować. I nienawidzili go. Morderca zawsze nienawidzi tego, kto zna prawdę o jego zbrodni. A Piotr już wiedział. Być może oni to tylko przeczuwali, a może byli pewni. Jemu wydawało się, że już zrozumiał. Zbyt dużo tych niewyjaśnionych faktów, tych sprzeczności w ich relacjach. Nie zorientował się od raz po przylocie, nie przypuszczał, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

Kiedy Murray umilkło, czekali. Liczyli na pomoc, na to, że ktoś przyleci, dostarczy im żywność. Ale czas mijał. Zaczłł grozić głód. Żywności w magazynach było zbyt mało, by wszyscy mogli doczekać kosmolotu ze zmiennikami. Większość gatunków miejscowych roślin i zwierząt nie nadawała się do jedzenia. Postanowili wysłać wyprawę na kontynent. Ale ta nie wracała.

Zabili więc swoich towarzyszy. Żywności dla trzech już starczało. Żyli. Czekali. Mieli rok na zatarcie śladów swej zbrodni, zresztą czas działał na ich korzyść. I nagle zjawia się on. Pośpiesznie usiłują uprawdopodobnić swoją opowieść. Topią zapasy żywności, bo przecież miało jej nie być. Stąd te niezakurzone półki w magazynie, zgubiona na plaży przez nieuwagę puszka. I ta bujda o znoszącym prądzie. Zaskoczył ich, nie zdążyli się przygotować. Kiedy przyleciał, byli jeszcze na morzu, topili jedzenie. Potem chcieli popsuć radiostację, żeby zgadzało się z ich wersją wypadków na wyspie. Wtedy jeszcze nie miał wątpliwości, przyjmował ich wyjaśnienia za dobrą monetę. Ale oni o tym nie wiedzieli, myśleli, że coś zaczyna podejrzewać. I zdecydowali się go zabić.

Gdyby miał przy sobie pistolet... Zostawił go na stole w baraku. Na szczęście nie załadowany.

Nagły podmuch wiatru przydusił dym do ziemi. Piotra otoczyła piekąca oczy mgła. Zakaszał, przywarł do ziemi. Na próżno. Brak mu było powietrza. Zaczłł się dusić. Poderwał się i popędził przed siebie, na wpół ślepy, kaszląc głośno, przecierając rękoma załzawione oczy. Potknął się,

przewrócił. Wstał, zrobił chwiejnie kilka kroków, znów runął na ziemię. Tłący się mech parzył mu dłonie.

Dym rozwiął się nagle. Piotr głęboko wciągnął powietrze. Otworzył zaciśnięte oczy.

Powietrze było gorące i duszne. Wiatr pchał ogień coraz głębiej i głębiej. Ściana żaru zbliżała się do Piotra.

Nagle usłyszał krzyk. Cień między drzewami. Ktoś biegł w jego stronę. Potężna sylwetka, w rękach gruba pałka. Eiver.

– Mam go!

– Gówno nie masz... – warknął Piotr. Nie chciał uciekać. Dopadliby go we trzech. Schylił się, podniósł z ziemi drąg, tłący się jeszcze na jednym końcu. Ruszył na Eivera.

Biegli ku sobie, groźnie wznosząc sękate pałki. Pierwszy uderzył Piotr. Potem Eiver. Piotr jęknął. Kij o mało nie wyleciał mu z dłoni. Eiver wznosił swój drąg. Unik. Uderzenie od dołu. Sparowane. Znów cios. Teraz Eiver. Krok za krokiem, powoli, do tyłu. Cios. Byle się nie przewrócić. Ktoś biegnie, krzyczy, wymachuje toporkiem. Eiver bije coraz mocniej. Znów dym. Oczy łzawią. Ogień wokół stóp. Uderzenie. Na oślep. Mocno. Eiver odchyła się do ciosu. Na moment odsłania głowę. Pchnięcie. Miętkość na końcu kija. Eiver stoi w bezruchu, ramiona uniesione, oczy, usta szeroko otwarte w grymasie zdumienia. Czarna smuga popiołu na policzku. Krew. Piotr uderza jeszcze raz. Odwraca się, bo Boyle jest już o kilka kroków.

Albert też jest tuż, tuż.

Boyle zatrzymuje się zmęczony biegiem.

– Ty skurwielu...! – Piotr doskakuje do niego. Uderza. Drąg pęka. W dłoniach dwie, krótkie szczapy. Piotr cofa się. Boyle następuje na niego. Palce kurczowo zaciśnięte na rękojeści topora. Uśmiech zwycięstwa na twarzy. Albert stoi obok. Nerwowy skurcz policzka. Niepewny – pomóc Boyle'mu czy nie.

Krok do tyłu. Jeszcze jeden.

Nagle Piotr potknął się o jakąś gałąź. Runął na ziemię.

Boyle doskoczył do niego. Topór wzniesiony do ciosu.

– Nie...! – Albert jęknął głośno.

Chwila wahania. Wystarczy.

Pół metra w bok. Gorący popiół na twarzy. Topór opadł, zaryty w ziemię. Piotr poderwał się. Uderzył. Boyle bezwładnie zatoczył się do tyłu. Drugi cios. Aż mrowie przeszło zaciśniętą pięść. Boyle zgięty wpół. I znowu, w twarz.

Boyle padł na ziemię, Piotr doskoczył do niego, ale już było po wszystkim. Sterczący z ziemi korzeń przebił ciało człowieka. Boyle nie żył.

Albert patrzył na Piotra, gdy ten, z toporkiem w ręku, zbliżał się do niego. I nagle, odrzucając gruby pręt, który trzymał w ręku, odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Piotr popędził za nim. Albert biegł w kierunku lądowiska, gdzie stał gotowy już do startu planetolot. Tchórz. Bał się walczyć z Piotrem, chciał uciec.

Płonący las pozostawili za sobą, biegli między czarnymi, osmalonymi pniami. Pod nogami pękały suche gałęzie, stopy grzęzły w szarym popiele.

Piotr doganiał Alberta. Jeszcze metr, pół...

Albert popędził w dół, po stromym zboczu. Piotr już sięgał ręką jego ramienia. Rzucił się do przodu, pchnął Alberta w plecy. Zbyt słabo. Za to jemu samemu ziemia uciekła spod stóp. Runął w dół turlając się, koziołkując. Albert nie obejrząwszy się nawet za siebie, pędził dalej. Zbiegł już z góry, minął pierwszy rząd baraków, przebiegł ulicę.

Piotr, oszołomiony upadkiem, podnosił się z trudem. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się wokół.

Albert wbiegł już na plac lądowiska.

Piotr podniósł z ziemi wypuszczony w czasie upadku toporek. Rzucił się w stronę planetolotu.

Albert był już strasznie zmęczony. Szedł prawie, gdy Piotr wybiegł zza budynków. Albert obejrzał się za siebie, przyspieszył kroku. Wreszcie dopadł do drabinki, zaczął się wspinać. Właz znajdował się więcej niż dwa metry nad ziemią. Piotr był już o parę kroków od drabinki. Zrozumiał, że nie zdąży. Albert już wchodzi do kabiny.

Plecy w srebrzystej ramie włazu.

Zamach. Topór leci dużym łukiem. Miękkie plaśnięcie. Krzyk bólu.

Bezwładne ciało uderza w ziemię. Piotr już jest przy nim.

– Gadaj! – ręka wzniesiona do ciosu.

– Nie... nie bij! – Albert kuli się, jakby chciał się ukryć. Nie może się schować, mocna linka oplata mu nadgarstki i kostki nóg. Drugi jej koniec przywiązany jest to wmurowanego w ścianę półkolistego pręta.

Piotr opuszcza ramię.

– Mów, jak było!

– Nie bij – Albert jęknął cicho – bolą mnie plecy, straszny ból...

– Gównu mnie to obchodzi – warknął Piotr. – Chcę wiedzieć, jak oni umarli.

– Oni... oni... to Eiver! To wszystko jego wina! – głos mu się załamał. – Jego... I Boyla. Ja nie chciałem... przecież... dlaczego miałbym ich zabijać? No, powiedz, po co?... Ale kazali mi...

– Dlaczego?!

– Eiver kazał – Albert patrzył na Piotra, jakby nie rozumiał sensu pytania. – On kierował...

– Ale dlaczego go słuchałeś?!

– Bo on był szefem, przecież...

– Cholerny bydlaku! – Piotr nie wytrzymał. Z całej siły uderzył Alberta w brzuch.

Skowyt. Szeroko otwarte oczy, usta chrapliwie łapiące powietrze. Piotr nie czuł litości. Przez chwilę wydawało mu się, że Albert nie jest winien, że tamci zmusili go w jakiś sposób, zastraszyli. Ale on był tępym wykonawcą rozkazów. Głupcem. Chybu, że tylko udawał takiego. I w obu przypadkach równie odrażający tchórz.

– Gadaj!

– Nie bij... proszę... – Albert mówił szeptem – powiem, wszystko powiem.

– ...Dostaliśmy komunikat z łodzi. A wtedy Bernard kapnął się, że ktoś popsuł silniki. Dość szybko zorientował się, że to był Eiver. Nic jednak nie wiedział o Boylem i o mnie. Wieczorem, w czasie kolacji publicznie sformułował oskarżenie. Eiver nawet nie zaprzeczał, przewrócił stół, wybiegł z budynku. Trochę to było głupie z jego strony. Bernard zabrał miotacz i pognał za nim, razem z Maxem. Wtedy Boyle wziął drugi miotacz. Sprawdził, czy jest załadowany. Aryski rzucił się na

niego, zrozumiał prawdopodobnie, co chce zrobić Boyle. Boyle zabił go. To wtedy pociągnął po radiostacji... widziałeś to.

Następnie wyszedł przed barak i pobiegł za tamtymi. Ja biegłem tuż za nim, zobaczyliśmy ich, gdy stali na moście. Miotacz górniczy, a mieliśmy trzy takie, to nie zwykła laserowa broń. Strzela dwa, trzy razy, ale za to sporymi ładunkami. Boyle walnął w nich dwa razy, nie trafił, ale stopił barierkę. Magazynek wyładował się całkowicie. Nie było innego wyjścia, musieliśmy ich zabić. Oni też mieli już bezużyteczną broń, strzelali wcześniej do Eivera. Boyle był cwany... nie dał się im kapnąć, że nasz miotacz nadaje się tylko na złom, biegł w ich stronę mierząc nim groźnie. Ja za nim, wołając Eivera.

Wiedzieli, że nie mają po co uciekać. Widziałeś to przejście wzdłuż grani, stali po jej środku, a Boyle miał ich jak na dłoni.

I wtedy Max skoczył. Chciał przelecieć nad tą skalną półką prosto w morze. Dobrze pływał, pewnie chciał zaszyć się w jakimś krańcu wyspy. Nie sięgnął wody. Bernard patrzył przez chwilę na nas, a potem rzucił się przez most, w stronę lasu. Ale tam już czekał na niego Eiver. Był silniejszy, chwilę tylko mocowali się na kładce. Bernard stracił równowagę i runął w dół...

"To niemożliwe – Piotr uderzył pięścią w ścianę – to niemożliwe, zabili ich wszystkich..."

– Dlaczego?!

– Co...?

– Zabiliście ich, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego im pomagałeś?

– Byłem winien Eiverowi dużo pieniędzy... Tu nie ma nic do roboty, graliśmy często, bardzo często i bardzo wysoko. Kiedy zamilkła radiostacja, on przyszedł do mnie i powiedział, że może mi darować dług, jeśli mu pomogę...

– Mordować! – Piotr chwycił Alberta za włosy.

– Nie! Nie! – jęk. – Nie! Mieliśmy nie dopuścić do tego, żeby ktoś odpłynął na kontynent. I powiedział, że daruje mi dług i że będę miał jeszcze kupę forsy. Nic nie mówił o zabijaniu. Tylko nie gozwolić nikomu odpłynąć. Popsuliśmy łodzie, ale je naprawili, zniszczyliśmy radiostację, też jakoś dali sobie radę. Musieliśmy przestać działać, bo stałoby się to podejrzane. Eiver powiedział mi, że zanieczyścił paliwo dopiero, gdy tamci odpłynęli. Ja... ja nie wiedziałem... nie mogłem się już przyznać... Przecież współpracowałem z Eive-rem i Boylem, nie mogłem.

– Skąd mieliście dostać pieniądze?

– Nie wiem, nie wiem... Wszystko załatwiał Eiver, ale mówił coś o Tao-lach.

– O Taolach? – Piotr zamknął oczy. Taole. Słudzy Morrów... Ci, o których nikt z więzionych w kadeńskich lochach nic nie wiedział. Czyżby więc wszystko, co wydarzyło się na Madagaskarze i na kontynencie było ich dziełem...?

– Co ze mną zrobisz? – znów nerwowo tik wykrzywił twarz Alberta. Piotr spojrzał na niego zimno. Splunął i wyszedł z baraku.

Wcisnął klawisz notera, magnetyczna kostka powoli wysunęła się i spadła mu na dłoń. Mały plastikowy sześcian z dwoma wystającymi końcówkami. Patrzył na niego przez chwilę, wreszcie wsadził z powrotem do notera. Włączył zapis, wygodnie usiadł na krześle. Westchnął głęboko i zaczął mówić:

– To wszystko, co nagrałem do tej pory, przeznaczone jest dla was, dla tych, którzy to odnajdą, by znali prawdę jeśli zginę. Teraz chcę powiedzieć parę słów przeznaczonych tylko dla jednej osoby.

Może się zdarzyć tak, że ja zginę, a on ocaleje. Ze wszystkich ludzi, których uwięzili Aranei, on ma największe szansę przeżycia... Chcę coś powiedzieć tylko Padre...

Piotr wstał, z założonymi do tyłu rękami zaczął krążyć wokół stołu, na którym stał noter.

– Nie wierzę w Boga, Padre, nie wierzę, bo chciałbym mieć dowód jego istnienia, bo chciałbym dostać świadectwo tego, że on jest. A równocześnie pragnę go, chciałbym, żeby był, dobry i mądry, sprawiedliwy i kochający. Gdy ktoś czyni zło, chciałbym, aby istniała najwyższa i ostateczna instancja – Bóg, który ukarze zbrodniarza. Potrzebuję jego istnienia, gdy otacza mnie cierpienie, bo pragnę, by ktoś wynagrodził ból i mękę. I chcę też Boga dla siebie, bo przecież śmierć nie może być kresem wszystkiego.

Tak Padre, gdyby ludzie byli w stanie zapewnić mi to wszystko – sprawiedliwy świat, miłość, nadzieję na wieczność – nie potrzebowałbym Boga.

Ci sami ludzie... jak daleko Padre. Mordują dla pieniędzy, dla zysku. Dla tych nie mam litości, to jest moja sprawiedliwość tu, na tym świecie, gdy nie wiesz, czy coś poza nim istnieje. Harmer nie wytrzymał, chciał zdradzić, bał się bólu i cierpienia. Chciałem go zabić, na pewno bym to zrobił, ale równocześnie nie czuję do niego nienawiści. Był słabszy od innych i mogę tą słabością gardzić, ale rozumiem ją. To jest moja sprawiedliwość – ukarać srogo i bezwzględnie tych, co sprzedali swych towarzyszy. Bez litości i przebaczenia. Ukarać, lecz zrozumieć tych, którzy byli słabi.

Powiesz, okrucieństwo, spytasz, kto dał mi prawo do oceny i wydawania wyroków. Wy często osłaniacie swą bierność Bogiem.

Nikt nie dał mi prawa sądenia. Tak jak i nikomu innemu, ale każdy z nas podlega osądowi ludzi, każdy wydaje wyroki. I każdy z nas stanie kiedyś przed Bogiem i zda sprawę ze swych czynów.

Jeśli Bóg istnieje...

Bo jeśli nie, to wszelkie działanie ma w sobie tyle sensu, ile korzyści ma przynosić. Co tam sprawiedliwość, co tam pamięć potomnych, co tam prawda! Jeżeli Boga nie ma, to Boyle i Eiver słusznie zrobili, że kierowali się zyskiem, bo przecież jeśli nie ma wieczności, to liczy się tylko to jedno życie i z niego wyciągnąć musimy jak najwięcej.

Powiesz, sprawiedliwość ludzka nie może mierzyć się z boską. Lecz czymże wyraża się wola niebios? Dekalogiem? Tysiącem kodeksów układanych na wielu planetach przez wodzów, mesjaszy, przez rasy tak różne od siebie, tak odmienne? Pamiętaj o Krzysztofie – on dokonał wyboru, zabił człowieka, potem siebie. Mógł nic nie robić, mógł czekać, aż Harmer sypnie Pustacza, mnie i innych. Wybrał, popełnił zbrodnię, złamał prawo, które uważał za najświętsze. Ale znalazł się w sytuacji, w której każda decyzja łamała to prawo. Każda. Pamiętaj o Próbie Kolorów? Bierność i czyn, rodzaj działania, wszystko było sprzeczne z Dekalogiem, oznaczało kłamstwo lub mord. Jeśli twój Bóg ustanawia prawo i stawia człowieka w sytuacji, w której każdy wybór to prawo łamie, to jest to po prostu okrutne. Okrutne. I dlatego, choć pragnę istnienia Boga, równocześnie się go boję.

Chciałbym, Padre, powiedzieć ci to wszystko sam. Chciałbym bardzo.

Dziękuję Ci za wszystko. Żegnaj.

Wyspa oddalała się coraz szybciej. Planetolot mknął ku kontynentowi, w dali rysowała się już ciemna linia lądu.

Piotr siedział w kabinie prawie bez ruchu. Zbielałe dłonie zaciśnięte na drążkach sterowniczych. Jeszcze słyszał krzyk Alberta, jego wycie.

Zostawił go przykutego do stalowego drążka. Bez szans na ucieczkę. Żywność i bańki z wodą postawił obok, wystarczyć mogły na jakieś dwa, trzy tygodnie. Potem Albert zdechnie z głodu.

Oczywiście, jeśli Piotr nie wróci. To jest właśnie prawo do kary. Nie byłoby sprawiedliwie, gdyby pozostawiony na wolności Albert był jedynym na Araneidzie człowiekiem, który doczekałby pomocy.

– Wróć! – krzyczał, gdy Piotr odchodził. – Morderco! Jesteś taki sam jak my, taki sam!

Czy można przejmować się tym, co mówił taki człowiek jak Albert? To śmieszne w ogóle go słuchać, śmieszne...

Tak trzeba było postąpić, to była jego sprawiedliwość, tu, na tym <wiecie. Sprawiedliwość nic nie znacząca, jeśli On istnieje. Za Huntera, Barghiego, Krzysztofa. Za wszystkich. Kara za zbrodnię.

Planetolot naleciał nad ląd. Jeszcze trzy minuty i będzie Murray. Piotr rozluźnił się trochę, przestał myśleć o Albercie. Teraz liczyły się tylko dwie rzeczy.

Uwolnić ludzi.

Dopaść Taolów.

Zniżył lot. Zza horyzontu wyskoczyły pierwsze budynki Murray, zbliżały się błyskawicznie.

Zatoczył kilka kręgów w powietrzu, ale nie dostrzec w mieście nikogo. "Plus" zaczął schodzić do lądowania.

# CZEŚĆ DRUGA

## Ogień w ciemności

Pochylił się nad ekranem i przez chwilę uważnie czytał wydruk. W czasie, gdy był na wyspie, nikt nie wszedł do Murray. A więc w dalszym ciągu miał szczęście. Bo dopiero po powrocie do bazy dotarło do niego jak wiele błędów popełnił, jak wiele faktów zlekceważył, ilu rzeczy nie wiedział. Śmierci wywijał się dotąd tylko dzięki szczęściu, dzięki tylu fuksom, że wyczerpały one chyba cały jego życiowy zasób. Bo i wydostanie się z podziemi, i marsz na wschód, i potem, wypadki na wyspie... W którymś miejscu tej kolorowej historii powinien dostać w łeb raz, a skutecznie, i jeśli nie stało się to do tej pory, był to cud. Popełnił dwa podstawowe błędy. Po pierwsze, zlekceważył Padre. Jego długie przemowy i przypowieści brał za kolejne kazania, przeznaczone dla bardziej opornych nawróceniu. Nawet w chwili, gdy zrozumiał, że Padre wie bardzo dużo, nie zdobył się wobec niego na szczerłość, na odkrycie się, na zaufanie księdzu. Stracił zapewne przez to mnóstwo cennych informacji i naraził niepotrzebnie na wiele niebezpieczeństw. Po drugie, gdy nie trzeba było, okazał się zbytnią szczerotką. Na dodatek szczerotką ślepą i głuchą. Uwierzył we wszystko, co mówili ci trzej, choć ich opowieści były przecież tak bardzo niespójne i nieskładne, choć na miłą śmierdziały kłamstwem. A on słuchał ich, zacierał łapki i cieszył się jak pijany borsuk. Co prawda miał, sam dla siebie, całkiem niezłe wytłumaczenie. Po długiej niewoli, po potwornie długim etapie samotnej ucieczki zobaczył znów ludzi. Ludzi, którzy mieli mu pomóc. I to go ogłupiło. No, ale głupota nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Piotr zrozumiał, że jeśli popełni jeszcze jeden błąd, będzie to ostatnia pomyłka w jego życiu.

Siedział więc w Murray drugi dzień. Siedział, tłumacząc brutalnie swoje myśli, tłumacząc sobie, że tak właśnie trzeba. Niewiele to pomagało. Dwa dni i w perspektywie jeszcze kilka. A tymczasem tam mogli prowadzić do ołtarza kogoś następnego, ktoś następny mógł umierać z zimna.

Ale musiał czekać, nie mógł ruszyć się z Murray ani na krok. Potrzebował informacji.

Dopóki sądził, że cała akcja jest dziełem li tylko Aranei, zamierzał od razu ich zaatakować. Lecz teraz wydawało się oczywiste, że prócz dzikich, strzelających z łuków tubylców, miał przeciw sobie uzbrojonych Taolów. Nie mógł na wariata lecieć "Plusem" na ciemną stronę, nie mógł wyjść z niego licząc tylko na oślepiający Aranei blask reflektorów. Taolowie użyliby swej broni, choć sprzeczne to by było z ich dotychczasowym postępowaniem.

Bo całą akcję pomyślano tak, by nie było wątpliwości, że tylko Aranei biorą w niej udział. Tak, by samemu nie zostawiać żadnych śladów mogących wskazać prawdziwych sprawców i cel operacji.

Po co ją przygotowano, tego Piotr nawet się nie domyślał. Miał kilka koncepcji, ale każda z nich była jednakowo prawdopodobna, no i na potwierdzenie każdej miał tyle samo – to znaczy zero dowodów.

Udało mu się jednak zdobyć pewną przewagę nad swymi przeciwnikami. Wynikała ona z dwóch faktów i była, jak mu się zdawało, niebagatelna. Licząc na tę przewagę i, wykorzystując ją, mógł wygrać.

Po pierwsze przeciwnicy nic nie wiedzieli o jego istnieniu. Nie chodzili do Murray, co sprawdził przed chwilą. Nie przypuszczali więc, że mają jeszcze jakiegoś przeciwnika.

Po drugie zaś działali oni poprzez Aranei, więc choć to utrudniało, ba!, uniemożliwiała Piotrowi ich identyfikację, to jednocześnie znacznie ułatwiała zadanie. Aranei nie mogli przeprogramować

komputera, nie mogli latać "Plusami", nie mogli zlikwidować wiszącego nad Murray satelity. Powyrywali w dyspozytorni mnóstwo kabli, porozwalali klawiatury i monitory, ale nie dostali się do magazynów i wszystkie zepsute elementy można było wymienić lub naprawić. I teraz właśnie, po piętnastu godzinach wytężonej pracy, Piotr dostał to, co chciał. Ponownie uruchomił centralny mózg Murray oraz łączność z satelitą.

Uzyskał w ten sposób dostęp do pamięci maszyny. Stała się jego nader cennym pomocnikiem. A sputnik jego szpiegiem – wszystkowiedzącymi oczami.

Satelita wisiał na stacjonarnej nad Murray i dysponował wystarczającym oprogramowaniem do realizowania różnorodnych operacji. W warunkach normalnych był boją naprowadzającą dla wychodzących z x-przestrzeni kos-molotów. Wykorzystywano go także do prognozowania pogody. Ale równocześnie, w sytuacjach awaryjnych mógł pełnić wiele innych funkcji. Pracował jako przekaźnik planetarny, po zmianie orbity można było dzięki niemu poszukiwać złóż, prowadzić obserwację powierzchni globu i kosmosu. W sześćdziesiątym piątym, gdy zaginęła wyprawa Baffa, wykorzystano go do poszukiwań.

Piotr przede wszystkim ubezpieczył Murray. W razie gdyby ktokolwiek zbliżał się do osady, sputnik natychmiast miał dać znać. Drugą rzeczą było odszukanie przeciwników. Używali prawdopodobnie pojazdów mechanicznych i Piotr przypuszczał, że były to "Kraby" z Murray. To miało pomóc w lokalizacji wrogów. Z grubsza ograniczył teren, po którym mogli się poruszać. W grę wchodził tylko jeden obszar – Góry Bramowe i Pasma Eurydyki. W tym rejonie prowadzili liczne badania ludzie, Taole i Ficiino i tam najczęściej dochodziło do kontaktów z Aranei. Ludzie działali na terenach położonych na południe od Murray oraz w okolicach misji. Taole nieco dalej, obejmując swoją penetracją pomocne pasma Gór Bramowych i południowy fragment Pasma Eurydyki. Ficiino wyprawiali się jeszcze bardziej na północ i przyznać trzeba, że w ostatnich latach właśnie ich działania w tamtym rejonie były najintensywniejsze.

Z satelitą, tak jak i z komputerem, Piotr zapewnił sobie ciągłą łączność, przekazał również na orbitę treść notkostki nagranej uprzednio. Miała być wyemitowana w razie jego śmierci. Chodziło o to, by informacja o wszystkim, co zdarzyło się na planecie, dotarła do ludzi nawet, gdyby on zginął. Nawet gdyby notkostki, które zostawił na wyspie, zostały zniszczone.

W nogę wszczepił sobie znaleziony w szpitalu biorejestrator. Jego sygnały, poprzez Murray, wciąż wędrowały na orbitę. W wypadku śmierci Piotra zawartość kostki, wraz z wołaniem o pomoc, sputnik miał wysłać w kierunku Fiołka Akwariusza. Na pewno ktoś by je przejął, choćby i za parę lat.

Z magazynu wyciągnął kombinezon ratowniczy, strój niezbyt wygodny co prawda, lecz nadzwyczaj funkcjonalny. Zapewniał ciągłą łączność z bazą, wmontowane weń czujniki i fotoreceptory rejestrowały i na bieżąco przekazywały do centrum wszelkie informacje o stanie Piotra, o tym co robi, co widzi i słyszy. Te informacje także wysyłał na orbitę. Choć z początku mocno mu przeszkadzała świadomość, że wszystko co robi, ktoś kiedyś będzie oglądał, równocześnie wiedział, że tak trzeba. Mógł co prawda układać codzienne raporty i je dopiero rejestrować, ale było oczywiste, że może nadejść taki dzień, w którym nie zdąży ułożyć raportu. A nie wolno przecież wykluczać, że wiadomości z tego dnia okażą się najważniejsze.

Ponieważ sputnik musiał zejść ze swej dotychczasowej orbity i przesunąć się znacznie na zachód. Piotr rozmieścił wokół Murray system kamer i czujników, tak że nikt nie mógł podejść do miasta niezauważony.

Piotr cały czas trenował latanie "Plusem". Kędyś był niezłym pilotem. Dawno jednak tego nie robił i, żeby wrócić do dawnej formy, musiał dużo ćwiczyć. Nie wątpił, że nie jest to czas stracony, tym



bardziej, że ważne też było opanowanie kierowania modułem bojowym.

Nawyki do sterowania ręcznego wróciły dość szybko, znacznie gorzej rzecz się miała z czepek. Piotr nigdy nie lubił bezpośredniego prowadzenia, na kursie reakcje obronne jego organizmu należały do przeciętnych. Wtedy jednak udawało mu się w pełni panować nad swym ciałem, może dlatego, że trenował regularnie, a może dlatego, że był młodszy... Teraz, po każdorazowym użyciu czepka, dochodził do siebie przez blisko pół godziny. Potwornie bolała go głowa, miał mdłości, dłonie mu drżały. Z uporem maniaka jednak cztery razy dziennie siadał za sterami "Plusa", nakładał czepek...

I zawsze, gdy włączał silniki, e myślał tylko o jednym. Cisnąć to wszystko precz, przestać się czaić, polecieć tam, na ciemną stronę. I za każdym razem kierował maszynę na zachód, przelatując dziesięć, może dwadzieścia kilometrów, a potem, zagryzając do bólu wargi, zawracał ją do Murray.

Byli tam. Każdy dzień niósł śmierć i cierpienie, każdy dzień zabijał. A on musiał tkwić na miejscu, czekać, choć przecież wszystko miał gotowe, choć wystarczyło poderwać maszynę z ziemi i skierować ją na zachód.

Nie mógł i ta bezsilność dręczyła go straszliwie, odbierała spokój, sen, apetyt. Tkwił na miejscu, godzinami gapiąc się w puste ekrany, słuchając wciąż takich samych komunikatów z orbity:

– Żadnych pojazdów mechanicznych nie zaobserwowano.

I im większy był ten niepokój, połączony z uczuciem bezsilności, świadomość, że każdy dzień, to czyjaś śmierć, tym silniejsza rosła w nim nienawiść. Ślepa i głucha nienawiść do tych, co zgotowali ten los jemu, jego przyjaciółom i innym, obcym mu kiedyś ludziom. Kiedyś... Teraz jednak tęsknił za wszystkimi.

Nie czuł nienawiści do Aranei, dziwił się temu nawet, ale, choć traktował ich jak wrogów, nie na nich chciał się zemścić.

Myślał tylko o Taolach.

Cały dzień zszedł Piotrowi na uzbrajaniu planetolotu. W magazynie broni znajdował się specjalny moduł bojowy, przeznaczony do montażu na transporterach. Planetoloty na kolonizowanych globach spełniały wiele funkcji – były środkiem transportu dla ludzi, towarów, żywności i kopalin. Zapewniały łączność, były przystosowane do lotów orbitalnych, mogły pływać pod wodą. Ten uniwersalizm był konieczny na globach, które groziły ludziom dziesiątkami niespodzianek.

Moduł bojowy należał do standardowego wyposażenia planetolotów. Cztery gniazda sterowanych elektronicznie działek i karabinów maszynowych, trzy gniazda miotaczy laserowych, przydatnych jednak raczej w otwartym kosmosie, pola ochronne. Na Araneidzie raz tylko wykorzystane były lasery. W czasie prac inżynierskich na Madagaskarze z ich pomocą niwelowano teren pod przyszłe lądowisko.

Teraz miały być użyte zgodnie ze swym przeznaczeniem.

Kończył jeść śniadanie, gdy rozległo się buczenie. Odsunął gwałtownie talerz, potrącił kubek, resztką kawy wylała się na obrus. W ogóle na to nie zważając popędził do dyspozytorni.

Dopadł do ekranu, przez chwilę wpatrywał się w migoczący na jego krawędzi punkt. Całą dłonią wdusił klawisz, obraz zniknął, w jego miejsce pojawił się komentarz.

"Obiekt wielkości trzeciej. Siódmy stopień długości zachodniej, dwudziesty czwarty stopień szerokości północnej. Prędkość dwieście dziesięć kilometrów na godzinę, z odchyłką pięciuset metrów na godzinę. Kierunek północno-wschodni. Złe warunki atmosferyczne uniemożliwiają ciągłą obserwację. Obiekt wyjdzie z obszaru penetracji za siedem minut".

– Nie daj mu uciec! – krzyknął Piotr lecz w tym momencie ekran zgasł. Po chwili pojawił się nowy napis. "Brak kontaktu".

– Włączył pole?

..Nie zaobserwowano anomalii grawitacyjnych".

– Dobrze. Ciągła obserwacja terenu. Podać interpretację. "Wszystkie cechy obserwowanego obiektu zgodne są z charakterystykami łazika terenowego typu »Krab«. Pojazdów takich używała ekspedycja doktora

Honellera".

– Jesteście, robaczki! – Piotr uśmiechnął się, zaciskając równocześnie dłonie. Wywołał kartotekę. Nakazał wyszukanie wszelkich wydarzeń związanych z rejonem, w którym zaobserwowano pojazd. Na ekranie pojawiały się kolejne napisy.

Miał kilka hipotez dotyczących wydarzeń na Araneidzie. Każda, wyjaśniając część wątpliwości, mnożyła kolejne pytania. Koncepcję samodzielnego ataku Aranei można było odrzucić od razu. Kadeni nie byli w stanie nic zdziałać bez informacji i bez łączności. Zresztą Albert wyraźnie mówił o Taolach. Ale co chcieli osiągnąć słudzy Moorów?

Prowokacja polityczna. Zamęt na Araneidzie mógł być początkiem wielu wydarzeń – krwawego odwetu ludzi, przejęcia nad globem władzy przez wojsko, rozpoczęcia normalnej jego kolonizacji. Krzyk, jaki podniósłby się w Wolnych Światach, nie byłby przychylny Ziemi. Małe cywilizacje, zbyt odległe od Solar i Sahrem, by dostać się pod ich kontrolę, były czułe na punkcie przestrzegania Karty Hotlandzkiej. Jakakolwiek większa akcja na Araneidzie sprawiłaby, że ci krzykacze natychmiast zbliżyliby się do Sahrem. Ale przecież Rząd świadom był tego wszystkiego. Nie popełniłby więc na Araneidzie błędu, na pewno. Cała ta przemyślna intryga nie mogła przynieść spodziewanych efektów.

Być może w całej tej aferze Taole stanowią tylko jeden z elementów. Ta kobieta... Może Palmollorzy są prawdziwymi sprawcami tragedii. Ale jak, po co i dlaczego? Zresztą kobieta pomogła mu. To by nie miało sensu. Chyba, że Taole szukają czegoś, co zostawili tamci Palmollorzy. Diabli wiedzą.

Mogli bowiem też szukać czegoś zupełnie innego. Czego? Piotr nie potrafił dać żadnej sensownej odpowiedzi. Dzięki uwięzieniu ludzi zyskiwali pole do działania, mogli bez przeszkód zająć się tym, co było dla nich istotne. A wina spadała na Aranei. No, ale w jaki sposób Taole doszli do porozumienia z kadeńskimi wodzami? Dlaczego ich autorytet okazał się silniejszy, niż, niewątpliwie przecież istniejący strach przed potęgą ludzi, sympatia do wielu z nich, szczególnie do księży z misji? Mnożyło się wiele pytań.

Ostatni pomysł, jaki nasunął się Piotrowi, był tak głupi, że odrzucił go natychmiast, ale myśl jednak wróciła i nie dawała mu spokoju. Może to wszystko było wybrykiem szaleńców, jakiejś sekty, bojowników nikomu nie znanej organizacji pragnącej zdobyć rozgłos i popularność. Może...

Kółko się zamknęło. Odpowiedź rozjaśniająca wątpliwości zmuszała do postawienia kilku kolejnych pytań. Spekulowanie nie miało więc na razie sensu.

Czytał ukazujące się po kolei na ekranie napisy. Data, a potem jedno, dwa zdania komentarza.

"6 VI 2357 – wyprawa piesza Koczarenki i Wardena.

13 VIII 2357 – obchody Dnia Poległych.

26 X 2357 – postawienie radioboi na Cyplu Misseli..."

Data za datą. Miesiąc za miesiącem. Drobne wydarzenia związane z codziennym życiem ludzi na

planecie – wyprawy naukowe, obchody przeróżnych świąt, zdobycie kolejnych szczytów. Nic, co mogłoby zainteresować. No, może z jednym wyjątkiem. Peter Sulig, jeden z obsługi kopalni, wybrał się raz w rejon Pierścieni Howena na wycieczkę, razem z paroma kolegami. Popili trochę i zaczęli szukać rozrywki. Nie wiadomo, skąd wytrzasnęli ładunki wybuchowe. Porozmieszczała je na stoku Smutnego Wierchu i zdetonowali. Wyłupali w skale napis wielki na sto pięćdziesiąt metrów. Napis konstatawał:

"Dupa" i nie spodobał się kapitanowi Hornickowi, ówczesnemu Gubernatorowi Araneidy. Petera Suliga, głównego pomysłodawcę zabawy, odesłano dyscyplinarnie.

W pewnym momencie Piotr poczuł, że wybrał zły trop. Jeśli nawet w tym obszarze wydarzyło się coś, co jest istotne dla całej sprawy, to i tak nie będzie o tym w Kartotekach żadnej wzmianki. Zawahał się, czy nie przerwać na chwilę procedury, ale ponieważ pozostało mu niecałe jedenaście lat, postanowił skończyć.

Zmęczenie i zdenerwowanie sprawiły, że prawie przegapił kolejną datę.

"12 XII 2363 – speleologiczna wyprawa Szkoły Ramasoo. Skład; Org-dah-Noor, Ord-hons-Darbu, geolodzy ze Szkoły oraz Org-hain-Darbu, aktualny przedstawiciel Monarchii Passane na Anareidzie. Po zbadaniu systemu grot w Niece Hoffmana, ekipa rozbiła obóz na zboczu Góry Edwardsa. Org-dah-Noor wyruszył samotnie na szczyt. Zginął, odpadając od ściany na północnym zboczu".

Piotr jeszcze raz przeczytał notkę. Przez moment trwał w bezruchu, zbierając myśli. Wreszcie wdusił klawisz, żądając dokładniejszych informacji.

Ciężko opadł na fotel, podłożył ramiona pod głowę, przez kilkanaście sekund wpatrywał się w ekran.

Tak, słyszał kiedyś o tym wypadku. Całą sprawę, zgodnie z Kartą, badały służby bezpieczeństwa Monarchii. Aktualnie przebywający na planecie Ficiino zostali odesłani w trybie natychmiastowym, zastąpiono ich kolejną ekipą. Od tego czasu Ficiino rozpoczęli intensywne badania tamtego rejonu i obszarów, aż po północne krańce Pasma Eurydyki. Dzięki temu tereny owe były jednymi z najlepiej opisanych obszarów planety. Najwyższy szczyt w Paśmie nazwano Górą Dah. Ale nie to było istotne.

A więc Ficiino. Piotr podświadomie czuł, że znalazł właściwy ślad. Tak, Ficiino mogli współpracować z Taolami, ale bardziej prawdopodobne było, że Albert został po prostu oszukany przez Eivera. Jeśli bowiem oni, a nie Taole zorganizowali całą sprawę, to łatwo dawało się wytłumaczyć nie tylko precyzję działania Aranei. Również i to, że Kadeni w ogóle zgodzili się na współpracę.

Ficiino. Pierwsi odkrywcy Passane nazwali ich Oktantisami. Bo też ósemka była ich magiczną liczbą. Zamieszkiwali ósmą planetę swego układu, wokół niej zaś krążyło osiem księżyców. Mieli po osiem nogorąk i, rzecz jasna, posługiwali się systemem ósemkowym.

Ich cywilizacja powstała w ciemnościach nocy, rozjaśnianej tylko przez gwiazdy oraz odległe słońce. Prawdopodobnie fakt, że byli istotami mroku, pomógł im przed wielu laty nawiązać dobre stosunki z Aranei, zdobyć ich sympatię i pozyskać zaufanie. Ficiino podejmowali częste wyprawy na ciemną stronę i wiele czasu spędzili w kadeńskich obozowiskach.

Oczywiście znaczny, jeśli nie decydujący, wpływ na życzliwość Aranei wobec poddanych Monarchii miały telepsychiczne możliwości Ficiino – czynne i bierne zdolności sugestii. Nie były one silne, nie działały na ludzki ani też na inne wysoko zorganizowane systemy nerwowe. Mózgi Aranei, szczególnie zaś Kadenów nie były jednak tak obciążone i przypuszczać należy, że Ficiino z jakimś skutkiem mogli podejmować próby telesugestii. Zdolności te wystarczały na pewno do tego,

by ułatwić sobie kontakty z tubylcami.

Hipoteza, że to Ficiino odpowiedzialni byli za wszystkie wydarzenia na planecie, miała wiele zalet, wiele wymagało jeszcze wyjaśnienia. Szczególnie wszystkie poprzednie koncepcje Piotra co do przyczyn zorganizowania napadu musiały upaść, pozostawała tylko ta jedna.

No, a o co grać mogli poddani Monarchii?

Pięć godzin po pierwszym, nadszedł drugi sygnał. Tym razem satelita uchwycił dokładne namiary. Łazik sunął poprzednią trasą, tyle, że w przeciwnym kierunku. Wracał.

Piotr wdusił klawisz łączności. Miał być w każdej chwili informowany, o aktualnym położeniu "Kraba".

Wspiął się do kabiny planetolotu. Szybкими, sprawnymi ruchami ściągnął pasy oraz nałożył, nie podłączając go jeszcze, czepek bezpośredniego sterowania. Połknął dwie tabletki normalu i rozpoczął procedurę startową. Kiedy "Plus" wzniósł się nad Murray, włączył autopilota. Prowadzony przez sputnik planetolot miał iść stałym kursem, prosto na łazik.

Równocześnie komputer cały czas analizował trasę "Kraba". Wreszcie podał obszar, w którym – z największym prawdopodobieństwem – mógł znajdować się cel podróży łazika. Satelita wyrzucił "oko".

Światłoczuła mgła powoli opadała na ziemię. Każdy z tysięcy jej elementów przekazywał rejestrowany przez siebie obraz na orbitę, stamtąd wędrowały one do Murray. Komputer tworzył z tych wszystkich obserwacji jeden, przestrzenny obraz terenu.

Początkowo były to góry widziane z wysokości dwustu kilometrów. Równoległe linie grzbietów wyznaczone przez stoki jasno oświetlone po prawej i zacienione po lewej stronie. Wąwozy i przełomy, niebieskie ściegi rzek, lśniące bielą śniegów szczyty.

"Oko" opadało coraz niżej, góry uciekały poza krawędź ekranu, za to szczyty, które na nim pozostawały, były coraz bliższe, coraz wyraźniejsze. Teraz

"oko" pokazywało kolisty obszar o promieniu pięćdziesięciu kilometrów, obejmujący swym zasięgiem południowy i centralny fragment Pasma Eurydyki.

– Zaznacz miejsca, do których może jechać "Krab".

"Nanoszę na mapę orientacyjny obszar docelowy. Zielone Unie wyznaczają najbardziej prawdopodobny rejon".

Centralny fragment ekranu lekko poczerwieniał. Wciąż wyraźnie widać było dotychczasowy obraz, jednak pokrywała go jakby lekka, różowa mgła. W jej centrum zielona linia rysowała niewielki, owalny obszar.

– Pokaż Górę Edwardsa.

Zielony, pulsujący krzyżyk zaświecił w samym środku wyróżnionego terenu.

– Dobra, skieruj tam "oko". Chyba już coś widać? "Jeśli obiekty są ukryte, to nie."

– Zawieś "oko" tak, żeby cały ten teren był na podglądzie. "Przypominam, że po opuszczeniu »oka« nie można go podnieść wyżej bez straty elementów światłoczułych."

– Pamiętam. Ile czasu zostało do spotkania z "Krabem"? "Dwadzieścia trzy minuty." Piotr zastanowił się chwilę.

– W porządku, opuszczaj "oko" w dotychczasowym tempie.

"Przyjąłem."

W pierwszej fazie lotu elementy "oka" prowadzone były przez zespół ośmiu automatów jako zwarta grupa. Z dala wyglądały niczym rój czarnych owadów. W miarę opadania rój musiał rozpełzać się we wszystkich kierunkach, stawał się coraz mniej zwarty i automaty prowadzące traciły kontrolę nad większością elementów, które powoli opadały na ziemię. Pozostawała niewielka część dalej sprzężona z zespołem prowadzącym która miała pewne możliwości manewrowe, ale za to obserwować mogła tylko niewielki wycinek rejestrowanego przez całe "oko" obszaru.

"»Oko« na wysokości dwóch kilometrów".

Piotr spojrział na ekran. Nadal nie mógł się dopatrzeć na nim niczego oprócz skały, traw i drzew. Podniósł wzrok na zegar. Osiem minut.

– Kontrola sprawności – zadysponował. Ekran wypełniły dziesiątki cyfr:

wskaźników, liczników, parametrów stanu. Zniknęły po chwili tak krótkiej, że nie sposób ich było nawet przeczytać, a ich miejsce zajął napis: "Sprawny".

I zaraz obok niego drugi:

"Zarejestrowano poszukiwane obiekty. Trzy namioty standart przykryte siecią maskującą typu VH-13. Rejestracja możliwa tylko w widmie promieniowania podczerwonego. Niebieska barwa wskazuje obiekty".

W tym samym momencie na monitorze główny fragment szarej dotąd skały nabrał błękitnego odcienia. Piotr dostrzegł trzy wąskie, prostokątne kształty – namioty widziane z góry. Stały równoległe do siebie, obok nich widać było jeszcze owalną tarczę nadajnika łączności satelitarnej.

– Zlikwiduj kontrolę "oka" – powiedział Piotr. – Sygnalizuj każdy, sztuczny obiekt.

"Przyjąłem".

Zapaliła się czerwona lampka sygnalizacyjna. Piotr przerzucił obraz namiotów na podgląd. Teraz na ekranie głównym miał obserwowaną kamerami "Plusa" równinę stepu. W prawym, górnym rogu monitora, tuż przy samej granicy, w której zieleń stepu, łączyła się z błękitem nieba. Piotr dostrzegł czarny punkt.

Ten punkt rósł na ekranie z każdą chwilą.

Planetolot doganiał łazik.

Dopadł go na trawiastej równinie.

Próbowali uciekać. Łazik przyśpieszył gwałtownie, pomknął przed siebie z szybkością pięciuset kilometrów na godzinę. Ale "Plusowi" nie był w stanie się wymknąć.

Piotr wziął na cel generatory pola. Uderzyły w nie lasery, tnąc powietrze białymi smugami. Łazik gwałtownie zakołysał się, przechylił na bok. Zniknęła poduszka powietrzna i "Krab" zarył w ziemię.

Planetolot zawisł nad nim w bezruchu.

– Wywołuję "Kraba"! "Krab" potwierdzić odbiór! Cisza. Piotr odruchowo poprawił na głowie czepek, jakby liczył, że dzięki temu gestowi szybciej otrzyma odpowiedź.

– "Krab", na najmniejszy ruch biję pełną mocą! Czekam na potwierdzenie odbioru.

Być może ich radio uległo uszkodzeniu. Być może upadek tak ich poharatał, że nie są w stanie odpowiedzieć. Ale wielce prawdopodobne było również i to, że nic się im nie stało, że siedzą tam w środku i kombinują, jak mu dołożyć.

– Na najmniejszy ruch – powtórzył. W tym momencie usłyszał męski głos.

– Potwierdzam odbiór. Kim jesteś? Piotr odetchnął z ulgą.

– Wyłazić wszyscy. Macie na to trzydzieści sekund. Odliczanie ruszyło.

– Ale...

– Dwadzieścia trzy sekundy.

Usłyszał przekleństwo. Łazik leżał na boku, więc nie mogli wyjść drzwiami. Rozsunął się właz na dachu, w otworze pojawiła się głowa. Mężczyzna spojrzał na wiszący dwadzieścia metrów nad nim planetolot, zawahał się.

– Piętnaście.

Mężczyzna wyskoczył z łazika. Podparł się przy upadku rękami, wstał szybko, znów patrząc na "Plusa".

A potem z włazu wygramolił się Ficiino. Za nim drugi. Czas minął.

Laserowy snop uderzył w dach łazika. Piotr dostrzegł, iż człowiek wraz z Ficiino odskakują od "Kraba". Równocześnie usłyszał w słuchawkach przeraźliwy krzyk, który zgasł nagle tak, jak się i pojawił.

Trzydzieści sekund. Dość czasu, by wysiedli wszyscy.

Piotr zerknął na podgląd, ale w obozowisku wciąż panował niezmacony niczym spokój.

Po chwili znów spojrzał na trzy postacie. Miał już personalia człowieka. David Pokact, w chwili napadu wchodził w skład wyprawy na północ. W lochu uznano, że zginął podczas ataku Aranei.

I Ficiino. Piotr znał ich, często spotykał w Murray. Byli przedstawicielami Szkoły Ramasoo. Ich wielkie oczy, jak zawsze gdy przebywali po jasnej stronie, osłaniały filtracyjne gogle. Niższy, Ord-peon-Alko, stał nieruchomo, większy, Org-osso-Noor nerwowo poruszał dwiema parami nogorąk.

Planetolot zaczął się obniżać, gdy znalazł się na wysokości czterech metrów, znów zawisł w bezruchu.

– Czy jest jeszcze ktoś od was na Araneidzie? – Piotr włączył zewnętrzny głośnik. Nie przypuszczał, żeby mu odpowiedzieli na grzecznie postawione pytanie. Ale dał im szansę, odczekał pół minuty. Pokact patrzył na planetolot obojętnie, peon zakołysał się na boki, nogoręce osso wciąż zataczały niewielkie kręgi.

– Czekam na odpowiedź.

Po następnych trzydziestu sekundach uznał, że nie może mieć do siebie żadnych pretensji.

Zawarczały karabiny maszynowe. Pociski zryły trawę wokół Ficiino, uderzyły tuż obok stóp człowieka. Pokact skulił się, pochylił do tyłu, jakby chciał odskoczyć. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili, gdyby tego nie zrobił, pociski przecięłyby go na pół.

W tym samym momencie osso wyprężył się. Sięgnął do kieszeni brzusznej, ale nie zdążył nic z niej wyciągnąć.

Lufy karabinów zmieniły kierunek rażenia w ciągu ułamka sekundy. Pociski zmasakrowały głowę Ficiino, rozdarły jego brzuch, odstrzeliły dwie nogoręce.

Stojący obok niego Pokact padł na ziemię. Peon rzucił się do ucieczki.

– Stój!

Ale Ficiino pędził przed siebie poddając się przerażeniu, choć przecież nie mógł uciec, nie miał gdzie się skryć. Wokół nich, po horyzont nie było nic oprócz trawy.

Lufy karabinów znów plunęły ogniem. Tym razem Piotr celował w nogoręce biegnącego Ficiino. Peon zrobił jeszcze kilka kroków, przewrócił się koziółkując, ciężko legł w trawie. Nie ruszał się.

Piotr wylądował. Przełączył sterowanie na komputer w centrum, dopiął skafander i wyszedł z kabiny. W trzech skokach był przy leżącym Ficiino.

Tułów peona nie poruszał się, tylko nogoręce drgały lekko. Piotr jednym szarpnięciem zerwał gogle z wielkich oczu Ficiino. Trzy fałdy błoniastych powiek pozostały szeroko otwarte, a źrenice nie zwężyły się nawet o milimetr. Patrząc w te dwie wielkie, przepastne jamy, Piotr zrozumiał, że Ficiino umiera i że nie wydobędzie z niego żadnych informacji. Cofnął się krok, spojrział na zalany szarą krwią tułów peona. Kula przebić musiała puszczę piersiową i trafiła w mózg.

Piotr zaklął cicho. Odwrócił się, poszedł do tamtych dwóch. Osso nie żył na pewno, ale Pokact mógł być tylko ranny.

Niestety, dosięgły go trzy pociski. Jeden trafił w rękę dwa pozostałe w tułów, wskaźniki medbransolety nie zalsniły najlżejszym choćby blaskiem.

Piotr przeszukał kieszenie obu Ficiino i skafander Pokacta, ale nic nie znalazł.

Spojrzał na wypaloną skorupę "Kraba". Tam też nie było już czego szukać.

Góry stawały się coraz wyższe, rosły, piętrzyły się, z każdą sekundą coraz bardziej wypełniały ekran. W prawym, dolnym rogu ekranu obramowany świetlistą linią znajdował się podgląd obrazu rejestrowanego przez "oko". Ale pozostawał niezmienny. Skryte pod siatką maskującą namioty i nadajnik, otaczające je skały i trawa. To wszystko.

Piotr siedział wciśnięty w fotel, z rękami podłożonymi pod głowę. Włączył autopilota i teraz nie był potrzebny "Plusowi" do niczego.

Znowu popełnił błąd. Tak bardzo chciał go uniknąć, zrobić wreszcie coś do końca dobrze.

Być może znajdzie coś, co wytłumaczy mu kolejne wydarzenia na planecie. Być może...

Miał w rękach trzech facetów, z których każdy udzieliłby mu wielu cennych informacji. Bo Piotr nie wątpił, że potrafiłby te informacje z nich wyciągnąć. Oni nie mogli, tak jak Albert, nie wiedzieć, jaka gra toczy się na Araneidzie, mieli wszak swój udział w jej finale. A jednak stracił ich, pozostawała więc tylko nadzieja, że skutki nie okażą się tragiczne.

Nie przerwał swoich rozmyślań nawet gdy namioty pojawiły się na ekranie głównym. Planetolot zawisł nad bazą Ficiino.

Piotr znów przeszedł na sterowanie ręczne. Skontaktował się z komputerem w Murray, chcąc jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Na ziemię opadła już prawie połowa światłoczułych elementów "oka", pozostałe mogły dawać obraz jeszcze przez kolejne trzy godziny.

Wciąż pozwalały jeszcze obserwować teren w promieniu dwóch kilometrów od obozu Ficiino. Dalej nie rejestrowano obecności żadnych istot żywych, czy to psychozoików, czy zwierząt, ani tu, ani w Murray. Według komputera wyjście na zewnątrz nie było zbyt ryzykowne.

Poprawił pas z pistoletami, otworzył właz planetolotu. Spojrzał w dół, potem podniósł głowę. Niebo było szare. Tu zawsze niebo było szare i zawsze góry haratały je swoją własną szarością, tą brudną szarością przechodzącą w biel śniegów na szczytach, w zieleń lasów u podnóży. Pięćdziesiąt kilometrów stąd przebiegała umownie przyjęta granica strefy półcienia.

Obóz leżał u podnóża Góry Edwardsa. Frank Edwards był pilotem, w dwudziestym trzecim zginął pilotując transportowiec towarowy. Jego maszyna nie wyksowała się we właściwym momencie i weszła w pierścień Armstronga – trzeciej planety układu. Nie było nawet czego zbierać.

Stok był porośnięty lasem. Nie było tu jednak wysokich, smukłych drzew, takich jak na wschodnich równinach. Przeważały niskie, krępe, o dużych kielichach. Rosło też wiele innych

gatunków, tworzących zwarty gąszcz krzaków i palet.

Spomiędzy drzew łyślały nagie, skalne ściany, wychylały się ostre bryły głazów, bieliły się smugi jasnego żwiru.

Piotr jeszcze raz omiół wzrokiem teren, choć wiedział, że gdyby pojawił się ktokolwiek, komputer natychmiast by mu o tym dał znać.

Powoli zaczął schodzić po drabinie. Z przedostatniego szczebla zeskoczył, trawa pod jego stopami prysnęła z trzaskiem. Ruszył w stronę namiotów. Wylądował jakieś pięćset metrów od nich, bliżej posadzić maszyny nie był w stanie. Teren przecinały różnej szerokości jary, koleiny wryte w wapiennej skale przez deszcz, wiatr i lawiny. Niektóre z nich wydawały się tak wielkie, że można by w nich zmieścić i dwa planetoloty. Większość zasypana była kamiennym miałem, żwirem, piaskiem, niektóre nawet do połowy swej głębokości.

Las zaczynał się trochę dalej, tu rosła sucha, pękająca pod stopami trawa, gęste krzewy, szerokie płaty palet i zwarta, miękka warstwa mchów.

Namioty stały u podnóża pionowej niemal ściany, w odległości pięciu może metrów od niej, tak by sypiące się z góry kamienie nie mogły ich uszkodzić. W ścianę wbite były trzy haki, do których przymocowano sieć maskującą. Zwisała miękko ponad namiotami, tworząc niskie, szarzielone sklepienie, z drugiej strony wsparte na dwóch aluminiowych masztach. Obok jednego z nich stała antena. Jej owalna czasza miała blisko metrową średnicę, za podstawę zaś służył jej elektryczny wózek. Teraz stał pod siatką, ale w czasie transmisji trzeba było go spod niej wysuwać.

Piotr obejrzał antenę i stwierdziwszy, że służyć mogła jedynie do łączności satelitarnej, skierował się do pierwszego namiotu. W tym momencie usłyszał jednak w słuchawkach ciche pyknięcie, znak, że włączył się komputer z Murray.

– Melduj.

"Zarejestrowano jeszcze jeden sztuczny obiekt."

– Gdzie?

"Oznaczam miejsce."

Smuga ostrego światła wystrzeliła ze szperacza "Plusa" i wskazała punkt odległy od Piotra o jakieś trzysta metrów. Piotr nie dostrzegł tam nic oprócz kilku palet. Westchnął ciężko i poszedł w ich stronę.

Palety nie były duże. Ustawiające się ku słońcu płaskie, owalne tarcze dygotały poruszone wiatrem, ale ich zdrewniały otok był sztywny i nieruchomy. Z daleka przypominały membranę, z bliska – obręcz, na której rozpięta jest drgająca błona. Średnica tych palet nie była większa niż jakieś pół metra, rosło ich jednak tak dużo, że zupełnie skryły pod sobą resztki dawnych konstrukcji.

Cztery metalowe, wystające z ziemi rury rozstawione były w rogach kwadratu o boku niecałych trzech metrów. Dokładnie, jak podał komputer, dwóch metrów, osiemdziesięciu pięciu centymetrów. Przycięto je tuż nad ziemią,

prawdopodobnie laserową piłką. To były podpory nośne małego hangaru. Ich końce tak mocno wczepiono w ziemię, że tym, którzy chcieli zniszczyć budynek, szkoda było czasu i roboty na ich wyrywanie. Po prostu ucięli je tuż nad powierzchnią ziemi.

W Murray nigdy nie było hangarów mieszkalnych, Ficiino i ich pomagierzy mieli namioty. Zresztą to oni zapewne rozebrali hangary.

Pozostawała jedyna możliwość. Tu mieszkali kiedyś Palmollorzy. Ficiino rozbili obóz dokładnie



w tym samym miejscu, co tamci kilkadziesiąt lat wcześniej i nie mógł to być przypadek. Palmollorzy mieli więc coś wspólnego z tą sprawą. Tylko co, na Boga?

Piotr trącił nogą jedną z palet, zadygotała gwałtownie, jednak bardzo szybko drzenie to ustało. Piotr obszedł wokół miejsce, w którym kiedyś stał hangar, ale nie znalazł nic nowego. Zawrócił więc w stronę namiotów. Jeszcze raz poprawił pas z bronią. Gdy poczuł w dłoni chłód kolby pistoletu, podniósł głowę, a jego krok stał się bardziej sprężysty.

– Obserwacje z Murray – zadysponował.

"Bez zmian."

Piotr wszedł do pierwszego namiotu.

Tu mieszkali ludzie. Dwa tekstiowe materace i dwa składane stoliki stanowiły całe jego wyposażenie. Pierwszy zaśmiecony był okruchami sucharów, stały na nim dwa puste kubki. Na drugim leżał noter, dwie pary okularów noktowizyjnych i latarka.

Najciekawszą rzecz znalazł Piotr pod stołem – kasetkę prawie do połowy wypełnioną kolorowymi notkostkami. Mogło być na nich wiele cennych informacji.

Jeszcze raz przeszukał namiot, kieszenie wiszących przy wejściu kurtek i spodni, ale prócz pudełka pastylek odżywczych, jednej medbransolety i kawałka sznurka nie znalazł niczego.

"Zwykle w takich miejscach poniewierają się pamiętniki, notesy pełne adresów, jakieś zdjęcia, plany. A tu nic. Z kieszeni kombinezonu wyciągnął torbę i wsadziwszy do niej kasetkę z notkostkami, przewiesił ją sobie przez ramię.

W drugim namiocie mieszkać musieli Ficiino. Z sufitu zwisały dwa passeńskie hamaki, dziwnie ukształtowane naczynia leżały w kącie, na podłodze na półeczkach pod ścianą poniewierało się mnóstwo drobnych przedmiotów – czujniki, słuchawki, notkostki. Część mieszkalna w tym namiocie była znacznie mniejsza niż w poprzednim, w głębi, za przepierzeniem znajdowało się stanowisko łączności. Na niskim stoliku stała niewielka konsola i dwie pary słuchawek. Aparatura była wyłączona, tylko zielone światełko gotowości do pracy pulsowało łagodnym blaskiem. Piotr włączył wskaźnik kierunkowy, ale nie zapaliła się ani jedna dioda, znak, że anteny nie używano od dwóch miesięcy. A więc prawdopodobnie nikt z niej na Araneidzie jeszcze nie korzystał. Wszystkie oznaczenia aparatury były passeńskie, ale suwaki i klawisze miały kształt uniwersalny, tak by mogli z nich korzystać również ludzie.

W trzecim namiocie znajdował się magazyn żywności. Pudła z koncentratami i sucharami ustawione zostały jedno na drugim, równo i porządnie. Od razu można było zauważyć, że brakuje przynajmniej połowy. To zaś w dużym przybliżeniu umożliwiałoby określenie czasu, po jakim powinien przylecieć po nich statek. Trzeba tu było wziąć pod uwagę dwie rzeczy. Po pierwsze, Ficiino i współpracujący z nimi ludzie przez długi czas wykorzystywali zapasy żywności północnej wyprawy, być może również przejęli część jedzenia zrabowanego z Murray przez Aranei. Po drugie, sami przygotowali sobie zapasy z pewnym naddatkiem. Piotr sądził, że kosmolotu nie należało się spodziewać prędzej niż za jakieś trzydzieści dni. To oznaczało dość czasu, żeby się przygotować.

Uwagę Piotra zwróciły jeszcze dwa stojące w kącie namiotu wiadra. W jednym bełtała się jakaś szarozielona maź, w drugim klarowny, bezbarwny płyn o drażniącym nozdrza zapachu. Piotr doszedł do wniosku, że to pewnie jakiś passeński przysmak, ale wolał nie próbować tych specjałów.

Po wyjściu z magazynu obszedł znowu cały teren, szukając jakichś śladów działalności tamtych, ale nie znalazł niczego. Bezradnie stanął obok anteny.

Był w bazieswoich wrogów, rozgryzł ich, załatwił i dalej nie wiedział, o co toczyła się gra.

Jedynie, co zyskał przylatując tutaj, to potwierdzenie, że na planecie nie ma żadnych przeciwników władających bronią lepszą niż łuk. W obozie mieszkały cztery osoby, a tyłu, licząc faceta w łaziku, zabił wcześniej. No, chyba że w "Krabie" siedział jakiś Urali czy Kaden. Możliwość mało prawdopodobna, ale należało ją wziąć pod uwagę. Piotr ostatnio ostrożnie podchodził do wyciąganych przez siebie wniosków. Mimo, że do tej pory zrobił w zasadzie wszystko, co powinien i mógł zrobić, to równocześnie stracił całą pewność siebie i zaufanie do własnych pomysłów.

Teraz znów musiał im zawierzyć. Plan uwolnienia ludzi, wykombinowany jeszcze w Murray, był niezły. Ale jeśli pojawiłyby się nagle jakieś zmieniające układ sił okoliczności, to mógł okazać się nader planem kiepskim. To właśnie niepokoiło Piotra najbardziej.

Kasetkę z kostkami wyjął z torby i położył na siedzeniu za sobą, sam usiadł za sterami. Ostatnie elementy "oka" utrzymujące się jeszcze w powietrzu dalej nie ujawniły nic ciekawego. Piotr włączył silniki i planetolot wystartował.

Teraz zmierzał wprost do celu. Wszystkie obozowiska Aranei zaznaczone były na mapach. To, do którego leciał, nazywano Wielkim.

Większość osiedli była do siebie podobna. Kadeni i Urali żyli w skalnych grotach, w niewielkich, najczęściej kilkudziesięcioosobowych grupach. O liczebności szczepu decydowała zawsze możliwość zdobycia odpowiedniej ilości jedzenia. Podstawowym sposobem gromadzenia żywności przez Aranei było zbieractwo. Jedli prawie wszystkie gatunki mchów i porostów wegetujących po ciemnej stronie. Roślinność ta rozwijała się bardzo powoli i łatwo ją było wytrzebić, na przykład usiłując wykarmić zbyt liczne szczepy. Stąd Aranei bardzo pilnowali, by liczba mieszkańców danej osady nie przekraczała ilości,

jaką mogły wyżywić okoliczne tereny. Mimo to głód był cały czas obecny w ich życiu, stawał się podstawową, jeśli nie jedyną przyczyną wojen między szczepami. Przetrwać bowiem mógł tylko ten, kto zdobył największą powierzchnia bogatego w żywność terenu.

Ogólną liczbę Aranei na planecie oceniano na jakieś dwadzieścia tysięcy, Chodziło rzecz jasna o cywilizowanych Aranei, czyli o szczepy żyjących w symbiozie Urali i Kadenów, zamieszkujące obszar zwany Żywnym Trójkątem. Rejon ten rzeczywiście przypominał swym kształtem trójkąt, zwrócony ku zachodowi jednym ze swych wierzchołków. Jego dwa boki wyznaczały Góry Pieca i Pasma Holendrów. Góry te broniły rejon Trójkąta przed zimnymi wiatrami nadciągającymi z głębi ciemnego kontynentu. Trzeci bok trójkąta tworzyła linia terminatora i Góry Bramowe. Ze wschodu napływały weń ciepłe masy powietrza znad morza, tak że klimat był tu, wyjątkowo jak na ciemną stronę, łagodny. Temperatura utrzymywała się w okolicach dwustu osiemdziesięciu stopni.

W obszarze Trójkąta występowało ponadto wiele aktywnych ciepłych źródeł i gejzerów.

Czynniki te zapewniały wielką obfitość flory, w tym także termosyntezującej, to zaś przyciągało zwierzęta. Warunki klimatyczne i bogactwo pokarmu sprawiały, że Żywny Trójkąt, w porównaniu z resztą nocnego kontynentu, wydawał się niemal rajem. Nic więc dziwnego, że po latach wędrówki tu właśnie osiedli Aranei.

A przecież gdzieś tam, w głębi lodowej pustyni, żyli jeszcze współziomkowie Kadenów, istoty toczące zwierzęcą walkę o przetrwanie, nie znające ognia ani mowy.

Wielkie Obozowisko zajmowało pośród aranejskich osiedli miejsce szczególne. Jego okolica, dzięki licznym gorącym źródłom, obfitowała w termosyn-tezującą roślinność. Dzięki temu łatwiej było o zwierzynę, a mięso stanowiło w diecie Aranei cenny dodatek. Zdobycie żywności nie było tu więc problemem tak wielkim, jak gdzie indziej.

Prawdopodobnie dlatego właśnie owo miejsce wybrali przed wiekami na swoją siedzibę Wiecznie Czuwający. Byli, jak powszechnie przypuszczano ostatnimi spadkobiercami aranejskiej cywilizacji, strażnikami i odtwórcami ustnie przekazywanych opowieści, legend i pieśni.

Wielkie Obozowisko leżało na pomocnym skraju Uskoku Teringa i zalicza no doń dziesiątki zamieszkałych przez liczne rodziny grot oraz naturalna płataninę podziemnych jaskiń i korytarzy, których centrum stanowiła Wielb Grota. Szczep zamieszkujący Obozowisko był najliczniejszym ze wszystkie! aranejskich plemion. Sądono, że należy doń około tysiąca Kadenów i dwi< setki Urali.

Piotr leciał prosto ku uskokowi Teringa. Na podglądzie miał Murray -obraz rejestrowany przez jedną z kamer ustawioną obok !qdc"', 'is!^ Piot zadysponował drugi podgląd. W lewym dolnym rogu ekranu pojawił się czarna prostokąt, a potem obraz. To zaczęła pracować kamera umieszczona n;

drugim, stojącym obok hangaru planetolocie. W chwilę potem "Plus" drgnął, uniósł się ponad dachy magazynów. Prowadzony przez autopilota, wciąż nabierając szybkości, ruszył kursem na północny-zachód. Miał spotkać się z Piotrem na jedenastym południku. Ten drugi planetolot wiózł wszystko, co było potrzebne do przeprowadzenia akcji, a także to, co przydać się mogło uwolnionym ludziom – leki, opatrunki, zestawy automatyczne, jedzenie, ciepłe ubrania.

Piotr odwrócił się od ekranu i włączył odtwarzacz. Do spotkania z drugim "Plusem" pozostało jeszcze około pół godziny i mógł przez ten czas przejrzeć przynajmniej jedną ze znalezionych notkosteek.

Na pierwszej zarejestrowany był krajobraz – jakieś góry, lasy, stepowe równiny. Ktoś z tamtych musiał być miłośnikiem przyrody i wcale niezłym kamerzystą, bo parę ujęć było bardzo przyjemnych dla oka.

– Pieprzony esteta – mruknął Piotr. Ostatnio coraz częściej zaczynał mówić na głos. Była to niewątpliwie reakcja obronna na samotność, ale walczył z tym nawykiem uparcie. Chwilami zaczynał bać się o swoją psychikę. Kiedy już nie mógł wytrzymać, gadał do komputera.

Pomyślał o Albercie. Tamten żywności miał jeszcze na trzy, cztery dni. To mnóstwo czasu, jeśli wszystko się uda. A jeżeli...

Nie, nie żałował. Gdyby drugi raz miał przykuć Alberta do ściany, zrobiłby to bez wątpienia. Piotr czuł, że ta władza nad życiem i prawem zniewala go, że poddaje się nienawiści, pragnieniu zemsty. Przychodziły godziny, gdy nie potrafił odnaleźć w sobie dawnych myśli i przekonań o tym, czym naprawdę jest sprawiedliwość oraz człowieczeństwo. Walczył z tym uparcie i miał w tej walce silnego pomocnika – swoje rozumne ja, które zawsze gardziło przemocą i okrucieństwem. Ono wiedziało, że nie powinien być zrobić tego, co zrobił.

Ale wtedy przypominał sobie grotę. A potem Kodeks Solamy, wedle którego sądzony będzie Albert. Planety pracy, obozy resocjalizacyjne, kasacja. Tak, Albert zostanie ukarany. To prawo jednak dawało ciepłe łóżko i jedzenie, i opiekę lekarską, i telewizję.

Nie dawało natomiast strachu. Przerażliwego, obeszładniającego strachu przed śmiercią i bólem, przed zimnem i razami. Pozostawiało życie i nadzieję, nadzieję na wolność. A tam nie było nadziei...

Drugi "Plus" nadleciał w chwili, gdy Piotr zaczął oglądać następną kostkę. Na zewnątrz panowała już noc. Piotr nie włączył reflektora. Zgasił za to światło w kabinie, obserwacja ekranu nie sprawiała mu już teraz żadnych trudności. Chwilę patrzył na mroczny krajobraz ciemnej strony. Wzdrygnął się, gdy wróciło wspomnienie morderczej wędrówki na wschód.

W trzy minuty później "Plusy" przeleciały nad Rzeką Eskimosów, a potem przeszły Wyłom Honseya. Piotr zwiększył pułap. Tu gdzieś krążyć mogli kadeńscy łowcy i choć niepotrafili mu w

żaden sposób zaszkodzić, to nie chciał, by zauważyli planetoloty.

Odłożył na bok notkostki, w chwilę potem komputer poinformował go, że do Wielkiego Obozowiska zostało dziesięć minut lotu.

Na podglądzie pojawił się Uskok Teringa. Przybliżał się znacznie szybciej, niż przesuwał się obraz główny. Piotr dostrzegł ogniska i ciemne nisze skalnych grot.

Kolonia Aranei zasiedliła jaskinie znajdujące się w pionowej, niemal skalnej ścianie. Groty te położone były na różnych wysokościach i połączone ze sobą linami oraz drabinkami. Jedna z grot stanowiła wejście do płataniny korytarza we wnętrzu góry.

W dwóch najwyżej położonych jaskiniach płonęły ogniska. W dni pochmurne, gdy nie widać było gwiazd, służyły za drogowaskazy. Uznawano je również za oznakę potęgi i chwały szczepu z Wielkiego Obozowiska. Mało które plemię mogło sobie pozwolić na ciągłe utrzymywanie ognia, w lodowym świecie po prostu nie było paliwa. Jednakże, w miarę zbliżania się do ognisk, nie rosły one wcale, świeciły wciąż tym samym, nikłym blaskiem. Oba ognie zostały obudowane specjalnymi, kamiennymi balustradami. Dzięki temu ich światło zarówno z bliska, jak i z daleka nie było jaśniejsze niż blask odległych gwiazd, i Kade-nom, którzy wracali do osady, nie groziła utrata wzroku.

Tym razem niebo było czyste. Klarowne, mroźne powietrze pozwalało oglądać świetlistą wstęgę Mlecznej Drogi, Ulmę i Patroklosa – dwie największe planety układu. Można też było dostrzec Słońce. Piotr zagryzł wargi. Jakże bardzo chciałby się znaleźć na Ziemi albo gdziekolwiek indziej, byle daleko, jak najdalej stąd, od tego dręczącego koszmaru. Koszmaru zmuszającego do ciągłej walki, pozostawiającego człowieka w straszliwej samotności, skazującego na podejmowanie decyzji, których skutków nie sposób przewidzieć.

Kiedy obraz na podglądzie niczym, prócz wielkości, nie różnił się od głównego. Piotr zatrzymał obie maszyny. Znajdował się w odległości kilometra od Obozowiska.

Jeszcze raz zażądał od komputera kontroli wszystkich układów, a potem włączył odtwarzacz.

Dwa planetoloty spikowały w dół.

Ryk muzyki zmieszał się z wybuchami odpalanych rac i jazgotem karabinów maszynowych.

Pociski szarpały skałę, odłupywały z niej ostre odłamki, biły w balustrada osłaniające ogniska, w wejścia do grot, wokół kilku stojących u podnóża skał Aranei.

Deszcz barwnych iskier rozprysnął się po niebie. Jeden z karabinów załadowany był tiarami, rąbał prosto w górę, jakby chciał przebić czarną zasłonę okrywającą całą ziemię.

Reflektory uderzyły w skałę smugami jasnego światła, rozcięły ciemność obrysowały wejścia grot i skierowały się ku górze.

Piotr nie chciał oślepić Kadenów, chciał ich tylko nastraszyć. Cóż może być bardziej przerażającego dla ludzi ciemności niż świetlna burza. I narastający łoskot muzyki. Piotr wygrzebał tę kostkę w fonotece Murray, muzyka była stara, ale głośna i drapieżna. Takiej potrzebował. Gdyby jeszcze udało mu się znaleźć rzutnik obrazów przestrzennych...

Kilkunastu Aranei trwało w paraliżującym odrętwieniu, kilku leżało bezwładnie na ziemi, jakby dźwiękowe uderzenie ścięło ich z nóg, dwóch Kadenów przyciskało dłonie do twarzy. Oślepli. Krzyczeli coś, ale łoskot dobywający się z głośników głużył wszelkie słowa.

Ogniste race biły w górę, rozbryzgując się na wysokości trzystu metrów w punkciki drobne niczym gwiazdy, zielone, czerwone, żółte. Barwne smugi znaczyły niebo, kolorowe pióropusze otwierały się,

by po chwili zgasnąć.

Cztery słupy światła z reflektorów zataczały kręgi, ósemki, przecinały się, odskakiwały na boki, zahaczając czasem o szczyty okolicznych skał.

Piotr wyłączył karabiny, ściszył muzykę.

Odczekał chwilę i zaczął mówić. Cicho i powoli.

Tam, na zewnątrz każde jego słowo, przetłumaczone przez komputer i wyplute przez głośniki, uderzało w skalną ścianę, każde było krzykiem rozkazującym i gniewnym.

– Jestem człowiekiem! Przybyłem tu po wasze życie! Przybyłem was zabić! Mam światło, które wypali wasze oczy, mam dźwięki, które zabiją wasze myśli, mam siłę, której nie jesteście w stanie sprostać.

Przerwał na chwilę. Znow rozległa się muzyka, zawarczały karabiny. Laserowy snop rozjarzył powietrze, przeciął wierzchołek jednej ze skał. Lawina kamieni runęła w dół, olbrzymi głaz stoczył się ku ścianie Uskoku Teringa, uderzył w nią z głuchym łoskotem.

– Oto góra rozpadła się na mój rozkaz!

Byłem w waszej niewoli, trzymaliście mnie razem z innymi ludźmi w głębi waszego labiryntu, osaczyliście wojownikami i mrozem, zabraliście światło, które karmi me oczy.

A jednak uciekłem!

Pokonałem was wszystkich! Gołymi rękami zabijałem waszych dzielnych wojowników. Teraz mam wielką broń ludzi, mam ze sobą całą ich moc i siłę. Przybyłem tu, by pomścić śmierć mych przyjaciół, tak jak wy mordujecie tych, co napadli na wasz szczepek.

Jesteście wielkim i sławnym plemieniem. O tym, jak wielu macie łowców, o dwóch wiecznie palących się ogniach, i o mądrości Wiecznie Czuwających, którzy trwają u waszego boku, śpiewają pieśni wszyscy Aranei.

Ale wiecie dobrze, że cała wasza siła nie jest w stanie przeciwstawić się przedmiotom człowieka. Przybyłem, by się zemścić.

Lecz ja potrafię powściągnąć swój gniew, nosić go w sobie, tak jak wy nosicie swój głód.

W waszych lochach trzymacie jeszcze ludzi.

Powstrzymam światło i ogień, ocalę wasze oczy i ciała, jeśli wypuscicie id na wolność. Jeśli przyprowadzicie ich tu w ciągu czasu, w jakim wojownik dogania rabbatę o sześciu kłach.

Gdyby zaś cokolwiek im się teraz stało, mówię wam to ja. Człowiek Któr Widzi w Ciemności, nic nie pozostanie z waszych siedzib i nikt nie ocalej z waszego plemienia!

Ostatnie race wystrzeliły w niebo. Zgasły światła. Dwa "Plusy" wisały na wysokości pięciu metrów nad ziemią. Powrócił przerwany spokój.

Pozornie. Czujniki wciąż poszukiwały celu. Piotr nie mógł odrzucić możliwości, że prócz tamtych czterech na planecie ukrywali się inni ich kompani. Gdyby jakiś człowiek lub Obcy zbliżył się zbyt blisko do planetolotów, miał zostać wytropiony, oślepiiony, a jeśli próbowałby zaatakować – zabity.

Teraz można było tylko czekać. Dał Aranei niecałe dwie godziny. Wystar czające dużo, by przyprowadzić jeńców, ale wodzowie musieli zapewne sk jeszcze zebrać i naradzić. Piotr czekał.

Piotr czekał.

Wpatrzony w skalną ścianę, w czarne jamy grot, kontury szczelin i załomów drżał przy najmniejszym nawet ruchu. Co chwila zdawało mu się, że jakaś sylwetka pojawia się w jednym z

otworów, jakaś postać, czasem zgarbiona pochylona, czasem dumnie wyprostowana. Dwa razy jakiś Kaden wyrzwał przed wyjście z najniższej położonej groty, by zaraz zniknąć. Piotr już po chwili nie wiedział, czy to rzeczywiście był Aranei czy kolejna złuda.

Mijały minuty.

Ilu ich mogło ocaleć? Czy w ogóle ktoś przeżył to ciemne, mroźne piekło?

Minuty zmieniały się w kwadransy.

A jeśli odrzucą układ, jeśli teraz, w tej chwili, gdzieś tam pod ziemią mordują ludzi?

Przecież wiedział, że strasząc ich – kłamał. Nie czuł do Aranei nienawiści, nie chciał się mścić. Czyż można mścić się na rzece, że wystąpi z brzegów, zaleje doliny, zabije ludzi? Kadeni byli jak żywioł, który poruszono. Tego Piotr był pewien. Nie rozumiał jeszcze sensu akcji przeprowadzonej przez Ficiino, ale Aranei, choć pomagali tamtym, nie mogli mieć z nimi wspólnych interesów. Zaatakowali z sobie tylko wiadomych powodów.

Kwadransy zwały się w godzinę.

Piotr wciąż wpatrywał się w ekran.

I w końcu zobaczył ich. Z groty wyszło dwóch Urali i jeden Kaden. Zatrzymali się, gdy ujrzeli cienie "Plusów" wiszące nad ziemią, lecz po chwili ruszyli dalej.

A potem na tle ciemnego otworu groty pojawiła się postać w jasnej kurtce. Za nią druga. Potem jeszcze dwóch, niosących nosze mężczyzn. I trzech następnych. Piotr widział ich twarze, białe brwi, puste oczy, sine policzki. Usta układające się w coś, co miało być uśmiechem radości.

– On umiera – powoli powiedział Pustacz i odwrócił głowę. Henneson, potężny, olbrzymi Raif Henneson leżał pod kloszem automedu zwinięty niczym małe dziecko. Dłonie o palcach białych od odmrożeń były zaciśnięte, nogi podkurczone pod zapadnięty brzuch. Chudy, przeraźliwie chudy, niepodobny w ogóle do dawnego olbrzyma. Spękane wargi, powieki bez rzęs, a włosy i długa broda siwe. Kiedyś włosy Hennesona były czarne jak węgiel.

– On umiera – powtórzył Piotr cicho i teraz dopiero spojrzał na Pustacza.

– Posłuchaj Alek, nic nie możemy już zrobić.

– Przeżył mróz. Przeżył głód i bicie. Przeżył wszystko. I umiera tutaj. W sterylnym powietrzu i pod kloszem. Rozumiesz to. Piotr?

– Co?

– Tę śmierć. Nie, nie patrz tak na mnie. Mówię spokojnie, bo tam byłem. Widziałem, jak umierali jeden po drugim, jak zwała ich z nóg gorączka, pamiętam ten dzień, gdy mniej nas zostało zdrowych niż tych, co umierali. Po twojej ucieczce Kadeni przestali nas bić. Nie wiem dlaczego, ale przestali. Może oni wiedzieli już, że zapadł na nas inny wyrok. Epidemia zaczęła się nagle. Najpierw trzech, potem dziesięciu, potem dwudziestu. Tylko Brotha nie ruszyło, no i tych, co już przeszli chorobę. On musi mieć diabelnie odporny organizm. Gdyby były leki... A ja miałem tylko wodę, zimną wodę i słowa. Czy wiesz, o czym szeptałem im do uszu, gdy umierali? Czy wiesz, jak tam opowiedzieć o wiosnie? Ja też wtedy tego nie wiedziałem.

Ale teraz wiem wszystko, bo wszystko już widziałem.

Powiedz, Piotr, co zrobisz, gdy wszyscy znów staniemy na nogi. Czy dotrzymasz danego Kadennom słowa?

– Ja... Jest nas ośmiu.

– Będzie siedmiu, Piotr – Pustacz znów spojrzał na konsolę automedu.

– Maszyna walczy o każdą sekundę jego życia i przegrywa coraz więcej sekund. Ty nas stamtąd wyciągnąłeś Piotrze, ty będziesz dowodził.

– Ale...

– Żadne ale. Powiedz, co zrobisz?

– Nie chcę krwi Aranei, nie chcę się mścić na nich. Ja tam byłem krótko, wiem, lecz nie chcę...

– Ja też Piotr. Nie patrz tak na mnie, nie chodzi wcale o ich życie. Jest mi równie obojętne, czy będą żyli, czy zginą. Ich śmierć nie ma dla mnie żadnego znaczenia, tak jak i ich istnienie. Więc mogę cię poprzeć, jeśli chłopcy będą mówić inaczej. Chcesz Piotrze?

– Tak – Piotr położył dłoń na ramieniu Pustacza. – Zmieniłeś się. Alek, lecz nie tak bardzo, jak myślisz. Chcę odszyfrować całą prawdę, chcę dowiedzieć się, z jakiego powodu stało się to wszystko. Muszę się dowiedzieć. I chcę też poczekać na tych, którzy tu przylecą. Chcę ich zabić. Sądzę...

Przeraźliwy krzyk rozdarł panującą w budynku ciszę. Krzyk zmienił się w skowyt przerażonego i zaszczutego zwierzęcia.

Wypadli na korytarz.

– To z czwórki! – krzyknął Piotr. – Łomiński.

Dopadli do drzwi, Piotr zapalił światło. W tym samym momencie krzył ucichł.

Kola Łomiński patrzył na nich szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczyma, jego twarz ściągnięta była grymasem upiornego strachu.

– Co się stało?! – Pustacz dopadł do niego.

– Światło... światło – szepnął Kola i nagle jego głos przeszedł w krzyk

– Błagam was! Nigdy nie gaście światła! Nigdy...! Proszę... – krzyk ucichł pozostał tylko szept, płaczliwy, błagalny. Łomiński chwycił Pustacza za rękę

– Obiecuj, powiedz, że nigdy nie zgasisz światła, ja będę... proszę cię.

– Spokojnie, spokojnie – Pustacz delikatnie zdjął dłoń Koli ze swojego ramienia. – Nie dotkniemy wyłącznika, uspokój się, będzie jasno, będzie( światło, czyste światło, niezmacone światło, uspokój się, musisz spać, spać...

Kola miękko opadł na łóżko. Piotr spojrział na wskaźniki na jego medbran solecie. Lśniły jasnym, czerwonym blaskiem. Oczy chorego zamknęły się oddech wyrównał.

– Śpi – szepnął Piotr. Wyszli cicho, nie gasząc za sobą światła.

– Boi się ciemności – Pustacz pochylił głowę. – Musiał się obudzić. Tak na pewno, obudził się i nie zobaczył nic, bo było ciemno. Przestraszył się, że znów jest tam...

Piotr słuchał w milczeniu. Żaden z nich nie był już taki jak dawniej, ni( patrzył na świat tak jak kiedyś. Czy któryś pozostał normalny?

"Czy ja jeszcze jestem normalny?" – Piotr oblizał zeschnięte wargi.

– Chodźmy do Raifa.

Wskaźniki były jeszcze bledsze, niż gdy przed paroma minutami wychodzili

Kiedy planetoloty wylądowały w Murray, Piotr natychmiast zaprowadzi całą ósemkę do punktu medycznego. Dwóm, Hennesonowi i Homickow potrzebna była hospitalizacja. Pozostałym wystarczyły medbransolety. Spał teraz pierwszym od tygodni spokojnym snem, aparaty sączyły w ich organizm leki, odżywki i środki uspokajające. Tylko Broth i Pustacz jako tako trzymał się na nogach.

Pantaron i Rafał przetrzymali chorobę, byli jednak barda osłabieni. Kolę i Momłota dopiero chwyciły pierwsze dreszcze. Piotr sądził jednak, że uda się zapobiec atakom. Broth jako jedyny z ludzi nie uległ chorobie, a Pustacz przeszedł ją dawniej.

Wirus był aranejskim mikroorganizmem, zupełnie niegroźnym w normalnych warunkach, każdy przybywający na planetę człowiek łykał wcześniej odpowiednie szczepionki. Ale być może przez te kilkadziesiąt lat ludzkiej obecności na Araneidzie, pojawiły się jakieś nowe jego szczepy, a może potworne warunki w kadeńskich lochach ułatwiły mu działanie. Wirus dokonał tego, czego zaniechali Aranei. Zabijał powoli, z systematycznością maszyn pozwalając przeżyć chorobę jednemu na dziesięciu.

To umieranie, powolne, nieuniknione umieranie, śmierć, której nie może zapobiec, której nie można znienawidzić, bardziej była okrutna niż zabijanie na ołtarzu. Pustacz obserwował te śmierci najpierw ze wściekłością, potem z obojętnością, z coraz większą obojętnością... Piotr słuchał już jego opowieści o wszystkim, co tam się stało. O Mistensie, który zabił Rocka, żeby zabrać mu jego wodę. O Drugalim, który z gołymi rękami rzucił się na czterech kadeńskich strażników.

Ale Piotr wciąż pytał o Padre. Ksiądz walczył do końca i do końca pomagał ludziom. Nie opowiadał im o Bogu, przynajmniej nie tylko o Bogu. Przede wszystkim o nim, o Piotrze. Każdego dnia ludzie gromadzili się wokół księdza, a on zamykał oczy i mówił: "Dzisiaj Piotr przeszedł następne dwadzieścia kilometrów. Raz drogę zagroziła mu rozpadlina, głęboki i długi wąwóz. Ale jemu udało się zejść w dół i wdrapać na drugą ścianę. To zajęło mu wiele czasu, ale mimo to przeszedł dwadzieścia kilometrów." Ludzie słuchali. Aż nadszedł czas, gdy zaczęli wierzyć w słowa księdza, słuchać ich z taką ufnością, jakby mogły być prawdą, jakby Padre rzeczywiście potrafił ujrzeć wędrującego przez mroźną krainę Piotra. Ci, co przetrwali, przeżyli nie tylko dzięki wytrzymałości swoich organizmów, ale także dzięki tym opowieściom.

Padre. Piotr wciąż nie w pełni rozumiał motywy jego postępowania, ale zdawało mu się, że odkrył część prawdy. Początkowo ksiądz liczył zapewne, że palmollorska kobieta i jej sojusznicy zdobędą wśród Aranei przewagę, że ludzie i tak zostaną uwolnieni. Bał się więc gwałtownych akcji, prób buntów, ucieczek, bo nieścisłe one mogły jedynie śmierć. Potem, gdy jego nadzieje okazały się płonne, po wypadku z Krzysztofem, zmienił się. Ale wtedy Piotr nie oczekiwał już od niego żadnej pomocy i dlatego nie porozumiał się z nim, gdy postanowił uciec. Lecz Padre musiał już wcześniej ustalić z kobietą plan działania i choć ucieczka Piotra zaskoczyła ich wszystkich, to jednak zdołał dla niego uzyskać pomoc.

Padre. Długo walczył ze śmiercią. Zwykle człowiek umierał w kilka dni po ujawnieniu się choroby. Ksiądz żył całe szesnaście dni. Myśleli już nawet, że wydobrzejże. Umarł we śnie. Kadenci szybko zabrali zwłoki, tak jak i wszystkie poprzednie.

Przetrwało ośmiu.

Piotr stał obok Pustacza. Patrzył na jego twarz przeoraną bruzdami zmarszczek, oczy bez brwi i rzęs, nienaturalnie powiększone, na rzadkie włosy. Nie było w niej dawnej pogody, takiej dziecinnej nieco radości ze wszystkiego, z tego, że gra się z kimś w piłkę albo w brydża, że obejrzało się dobry film, że można się z kimś było zmierzyć na rękę.

Teraz zagryzł wargi, przymrużył oczy, jego twarz pozostała zimna i obojętna.

Nagle światełka wskaźników zadrżały, zabłyśły gwałtownie, by potem zgasnąć w ułamku sekundy. Piotr doskoczył do konsoly automatu, wcisnął przycisk kontroli, ale nie zapaliła się ani jedna dioda.



– Alek... – szepnął podnosząc głowę. Urwał w pół zdania. Po policzkach Pustacza spływały łzy.

Piotr zgasił światło, powoli podszedł do łóżka. Położył się, wyciągnął leniwie, zamknął oczy. Chwilę leżał bez ruchu, w stanie półsnu, półjawa oddychając powoli, spokojnie.

I nagle grymas strachu pojawił się na jego twarzy. Piotr otworzył oczy, chciał poderwać się z łóżka. Zamarł, niepewnie rozglądając się po ciemnym pokoju z westchnieniem ulgi opadł na materac.

Na moment, na jedną przeraźliwą chwilę wróciło wspomnienie. Już nie kładł się do snu w przekonaniu, że zły czas minął, że dokonał już wszystkiego co było do zrobienia, że jest wśród swoich. Tam, na wyspie... I teraz, gdy już zaczynał śnić, w jego pełne leniwego, błogiego spokoju myśli wdarł się tamte koszmar.

Przeszłość była koszmarem. Każdy dzień w lochach, każdy kilometr ucieczki, walka na Madagaskarze, odbicie więźniów. Każda chwila odciskała się w pamięci jak wypalone znamię.

Te dni, które minęły... To, że przeżył, że dopiął celu, wydawało mu się teraz nieprawdopodobne, niemożliwe wręcz. Wtedy nie. Wtedy czas zajmowała walka. Walka ze strachem, z zimnem i głodem, ze zmęczeniem. A później, gdy zwycięstwo zdawało się już osiągnięte, z ludźmi. Wtedy myślał o przeżyci każdego kolejnego dnia głużyła strach i przerażenie tym, co dzieje się wokół a teraz...

Nie, nie bał się zimna, ani głodu, ani walki. Lecz samotność, absolutną samotność, niemożliwa do wyobrażenia, gdy się jej nie przeżyło. W tłumie zawsze można znaleźć jeśli nie przyjaciela, to przynajmniej sojusznika. A Piotr był zupełnie sam. Przyroda była jego wrogiem, i Aranei, i ludzie. Walczył swoje życie będąc ostatnim i jedynym, który mógł też walczyć o życie inni. Dręczyła go świadomość, że jego śmierć nie będzie tylko śmiercią pojedynczego człowieka, ale końcem wszystkiego.

Tak, wszystkiego. Piotr wciąż nie mógł pojąć zmian, które w nim same zachodziły, tego powstającego nagle, powikłanego sposobu widzenia świata. Dwa tylko uczucia wypełniały jego myśli w tamte dni, oprócz rozpaczliwego pragnienia przeżycia, a i owo pragnienie im jedynie zapewne zostało podporządkowane. Pierwszym była miłość. Inaczej nie potrafił nazwać tej tęsknoty z opuszczonymi towarzyszami, jaką odczuwał. A przecież tam, gdy razem czeka na śmierć, nie byli sobie bliscy. Może dwóch, trzech, ale reszta... Potem już jednakowo tęsknił za wszystkimi, jednakowo pragnął ich obecności. Po ucieczce z groty nigdy nie myślał o domu, o matce, o dziewczynach... nigdy. Jedyni o czym potrafił marzyć, to ponowne spotkanie z tamtymi mężczyznami.

I nienawidził. Okrutna, bezwzględna nienawiść do tych, co ściągnęli E Murray nieszczęście. Nie do Aranei, nie. Do Ficiino i ludzi. Chciał się zemścić zabić ich, zatnie, zniszczyć. Tak jak tych z łazika.

Uczucie miłości zniknęło, gdy tylko uwolnieni ludzie stanęli na nogi.

Ale nienawiść pozostała. Bo choć uczynił wszystko, co mógł, by uratować ludzi, nie zemścił się jeszcze dostatecznie. Używał słowa zemsta, bo wiedział że tak to wyglądać mogło z boku. Ale jemu chodziło tylko i wyłącznie o sprawiedliwość, najprostszą i łatwą do zrozumienia.

Alberta uwolnił z kajdanków nazajutrz po powrocie z ciemnej strony. Półżywego ze strachu, głodu i zmęczenia zostawił na wyspie. Będzie tam czekał na to, co zdecydują uwolnieni ludzie. Pozostałych wrogów zabił. Wszystkich. Ale przecież wiedział, że to tylko płatki, wykonawcy. Ci, którzy przygotowali akcję na Araneidzie, siedzieli gdzieś daleko, zupełnie bezpiecznie. I ich też musiał dopaść, ich przede wszystkim. Później, później... Najpierw trzeba będzie stoczyć kolejną walkę. Za tydzień, może dwa, trzy, na planetę przyleci statek. Po tych Ficiino i ludzi, którzy już nie żyli, ale przede wszystkim po efekt ich pracy. Ten statek...

Chłopcy musieli dojść do siebie. Henneson umarł. Kola bał się ciemności, bał się zamkniętych przestrzeni, bał się wszystkiego. W jego oczach czaił się cień obłędu. Homick nie władał lewą ręką. Ale pozostali mogli walczyć.

Piotr znów zamknął oczy. Przypomniał mu się Hoens. Hoens, którego chciał zostawić, oddać Aranei. Hoens, który odszedł w najważniejszym momencie i Piotr pamiętał, że wtedy był wdzięczny losowi za tę śmierć. Świadom był teraz tej wdzięczności i owa wiedza przerażała go. A przecież kiedyś był dobrym człowiekiem. Był, na pewno.

– Co z Kolą? – Piotr cicho spytał Homicka.

– Jest spokojny, ale mówi, że nie chce spać. Prosił – zawahał się. – Chciał wam powiedzieć... On wie, że z nim nie jest w porządku. Mogę iść do niego jeśli...

– Nie, zostań Rony – szybko powiedział Piotr. Homick nie władał lewą ręką i lekko powłóczył lewą nogą. Rzadko się odzywał, jakby sądząc, że swoim kalectwem ich krępuje. Całe dni przesiadywał z Łomińskim.

Nie mogli namówić go, żeby pracował z nimi, a przecież na tym etapie ich pracy ważniejsze były głowy niż mięśnie. Rony uznał jednak najwidoczniej, że bardziej im się przyda, jeśli będzie się opiekował Łomińskim.

– A jak z notkosciami?!

– U mnie nic – pierwszy powiedział Pustacz. – Dwie czyste, na jednej gry zręcznościowe.

– Ty. Pantaron?

– Dwie z muzyką, trzecia czyściocha.

– Rafał?

– Na jednej jakieś bzdury, strasznie zgęszczone, ale to chyba tylko proste programy sterujące. Na drugiej z pewnością instrukcje działań, ale jakie i do jakiego sprzętu, nie wiem. Trzecia pusta.

– A ja chyba coś będę miał – powoli powiedział Broth. – Dwie nieciekawe. Za to na trzeciej mapy i plany. Oczywiście, nie wiadomo do czego, nie ma żadnych opisów. To jest chyba to, czego szukamy, musimy obejrzeć zapis z bliska.

– U mnie tablice – Piotr położył kostkę na stole. – Myślę, że to jakaś specyfikacja. Kolejne numery, ilości, może i ceny. Taką interpretację podała maszyna – Broth i Rafał odruchowo spojrzeli na konsolę komputera. – Ale to tylko domysły – moje i maszyny.

– Jasne – mruknął Broth.

Zapadła cisza. Piotr odsunął się od stołu, opadł na fotel. Mało ich było do tej roboty, za mało. Łomiński i Homick wyłączeni z gry. Broth i Pantaron – dwaj silni faceci, nie znający się jednak na niczym innym poza automatami górniczymi. Natury niezbyt skomplikowane i w sprawach bardziej zawitych wiele pomóc nie mogli. Gdyby Pustacz nie powstrzymał ich w ostatniej chwili, byłiby polecili na Madagaskar, żeby zatłuc Alberta. Momłot – pilot planeto-lotu. On będzie potrzebny później. Rafał – szef służby informatycznej Mur-ray. Pustacz – historyk. No i on – Piotr. W Akademii przeszedł wszechstronne przeszkolenie, ale w sumie był jedynie specjalistą od sztucznych elementów światłoczułych. Brakowało im lekarza, łącznościowca, elektronika, techników obsługi sprzętu. A i tak przecież dziwnym zbiegiem okoliczności wśród tych, co przeżyli, było dwóch tylko humanistów – Pustacz i Rafał. Tak jakby technicy łatwiej przystosowali się do tamtego życia i bardziej byli wytrzymali.

– No to co? – przerwał ciszę Pustacz. – Zaczniemy chyba od tej mapy Wrzuć ją do czytnika.

Pierwsze elementy łamigłówek znalazły się na właściwych miejscach. Piotr wiedział już dużo i to, co robili teraz, miało tylko tę wiedzę uzupełnić.

Kiedy Pustacz pomagał chorym wejść do jednego z planetolotów, kiedy nakładał im medbransolety. Piotr mógł porozmawiać z dwoma Kadenami.

Byli wodzami tych szczepów, które pierwsze zgadały się z Ficiino. Z "ludźmi o ośmiu nogach", jak sami ich nazywali. Właśnie z ich osad wyruszyli do innych plemion gońcy z wojennym posłaniem i wezwaniem na radę. Na niej udało się namówić wodzów do wystąpienia przeciw ludziom. Piotr nie w pełni zrozumiał słowa Kadenów dotyczące przyczyn napaści, lecz ogólnie potwierdziły się jego wcześniejsze przypuszczenia.

Ludzie, swą obecnością, profanowali i plugawili krainę światła, Kadeósk Dom Niebieskiego Blasku, ziemię ciepła i jasności. Należało ich więc usunąć z błogosławionego kraju. Ludzie nie byli wrogami Aranei, lecz niemoc i bezsilność raniła dumę kadeńskich wojowników, budząc równocześnie męstwo.

Ficiino, którzy znacznie częściej niż ludzie przebywali na nocnej półkuli szybko musieli pojąć, kim dla Aranei był człowiek. Mogli więc to wykorzystać. Obiecali dwóm wodzom, że dostarczą potrzebnych informacji oraz pomocy i słowa dotrzymali. Lecz przyrzekli też Aranei, że ludzie nigdy już nie powrócą.

W zamian za swą pomoc Ficiino żądali, aby Kadeni pozwolili na swobodne poruszanie się po swych terenach.

Narady i przygotowania trwały wiele lat, to znaczy tyle czasu Ficiino penetrowali ziemię Żyźnego Trójkąta, zdobywając poparcie coraz większej liczby szczepów. Wynikało z tego, że Akcja Ficiino przygotowana była od dawna, realizowano ją przez kilka kolejnych zmian. Natomiast bezpośrednie przygotowanie ataku zajęło pół roku.

O, jakże teraz żalowali Kadeni, że nie posłuchali wcześniej Córkę Swęj Matki, mądrej Ahoo! Jej słowa nigdy przedtem nie mijały się z prawdą. Była przeciwna walce, twierdziła, że Aranei nie zdołają pokonać ludzi, że nawet jeśli zabiją wielu, to przybędzie ich wielokrotnie więcej. Wielu, wielu ludzi uzbrojonych w cudowne przedmioty, zabijające na odległość lepiej niż łuk. Ale nikt jej wtedy nie słuchał, wojenny żar ogarnął serca wszystkich wojowników. W końcu ustalono plan działania i czekano tylko na znak od Ficiino.

Tych dwóch Kadenów przyszło do Piotra po karę, a Urali po to, by wysłuchać jego słów i zanieść je do Osady. Tak działo się zawsze, do tego zmusiły Aranei warunki bytowania.

Żyli w wiecznej groźbie głodu, żołądki zaś napełnić mogli tylko sprawni mężczyźni. A cóż tak nie szczybi plemienia jak wojna? Krwawa wojna, w której ginie wielu wojowników po obu stronach. Każde zwycięstwo okupione być musiało dziesiątkami trupów, tak zwycięzców jak i pokonanych, a to oznaczać musiało biologiczne wyniszczenie plemienia. Dlatego też większość konfliktów między aranejskimi szczepami rozwiązywana była w specyficzny sposób. Do walki stawiali wodzowie lub wyznaczeni przez nich wojownicy. Plemię, którego reprezentant przegrał, ustępowało. Podobnie, gdy przedstawiciel jednego szczepu popełnił jakiś występki przeciw innemu rodowi. Jeśli zażądano jego ukarania, najczęściej wydawano przestępcę.

Tak samo i teraz. Odesłano dwóch wodzów, bo to oni zainicjowali napad na Murray. Odesłano z nadzieją, że ludzie zadowolą się ich ukaraniem, a pozostawią w spokoju resztę Aranei. Musieli się mocno przestraszyć, atak Piotra i jego słowa wywarły na nich wielkie wrażenie.

Kadeni mówili i mówili, jakby powtarzali jakiś wyuczony dawno tekst, a Piotr powoli zaczynał

rozumieć wiele rzeczy. Ficiino przygotowali napad Aranei, żeby przez blisko cztery miesiące móc przebywać na planecie i w spokoju zająć się swoją robotą.

Jaka to była robota, tego jeszcze nie wiedział, a wyjaśnienie tej zagadki wydało mu się bardzo ważne dla przyszłych wydarzeń.

– Do czorta! – Momłot walnął pięścią w stół – Nie ma! No, nie ma, po prostu! Może to w ogóle nie jest mapa?

– Jak nie mapa to co, malarstwo współczesne? – Rafał też już był zmęczony.

– Spokój, spokój – przerwał im Pustacz. – Jeszcze raz dajcie te liczby.

– Masz – Broth podsunął mu kartkę pod nos. Było na niej wypisane sześć ciągów cyfr. Każdy z nich prawdopodobnie oznaczał usytuowanie na mapie głównej sześciu małych planów. Najpierw myśleli, że chodzi o zwykłe oznaczenie długości i szerokości geograficznej poszczególnych punktów charakterystycznych. Momłot i Rafał polecieli nawet w dwa miejsca określone w ten sposób, ale nic nie znaleźli. Zresztą baza Ficiino znajdowała się na dwudziestym stopniu szerokości pomocnej i jedenastym długości wschodniej. Pośród liczb nie było takiego oznaczenia.

– 244376 przerwa 132753 – przeczytał Pustacz. – Może to jednak są symbole czego innego, na przykład czasu, albo współrzędne niebieskie?

– To niczego nie zmienia, nie posiadamy kodu, a maszyna odpowiedniego oprogramowania, nigdy nie miała być przecież deszyfratorem. Pomoże, jeśli damy jej cokolwiek, ale przecież sami nie wiemy, za co się tu złapać – Rafał pokręcił głową. – Za małą dokładność, za dużo możliwości. Trzeba by mieć choć jeden punkt określony dokładnie.

A te mapki... To chyba jakieś jaskinie, wiecie, lochy, grotty. I te liczby oznaczają według mnie wejścia do nich.

– Jasne.

– Sądzę, że powinniśmy polecieć do ich obozu – powiedział Momłot. – Mogłeś coś przegapić, Piotr, jak tam byłeś. A przecież z jakiegoś powodu oni założyli bazę w tym samym miejscu, co kiedyś Palmollorzy. Nie sądzą, żeby chodziło im tylko o piękno krajobrazu.

Las szybko przesuwał się pod brzuchem planetolotu. Las... Takie dziwne słowo. Piotr patrzył w dół, na ten las i na te drzewa, które zresztą z drzewami tyle miały wspólnego, że pięły się po zdrewniałych pniach ku górze, by chwytać jak najwięcej słonecznego blasku. A te, które dostrzegali pod planetolotem, nawet nie ku górze, lecz po skosie, jakby na przekór prawom grawitacji, albo jakby je wiatr jakiś potężny przygiął do ziemi. Lecz one trwały pewnie, nieporuszone, wczepione w grunt potężnymi korzeniami. Krępe, brunatne pnie, rozszerzające się gwałtownie w porośnięte zieloną, mchopodobną tkanką kielichy. Tu słońce zawsze świeciło z jednego kierunku, nie potrzeba było sprężystych, ustawiających się za jego biegiem liści.

-Jak wiele spotykali na Araneidzie takich rzeczy i zjawisk na pozór podobnych do ziemskich, a w rzeczywistości tak bardzo od nich różnych! Dotyczyło to przede wszystkim świata roślinnego i przystosowań do innego niż na Ziemi sposobu chwytania światła, a po ciemnej stronie, w pobliżu licznych ciepłych źródeł i nad morzem, gdzie grzał ziemię prąd Teslinga, także i ciepła.

A ten las... I tak był bardziej podobny do lasu niż na przykład komnatniki Ich kolonie porastały wyspy, jeszcze dalej niż Madagaskar wysunięte m wschód. Tam dziesiątki pni tworzyły kolumnadę, na której wspierał się zielona strop. Zroszone korzeniami i pseudogałęziami, były jednym organizmem olbrzymim i fotosyntezującym aparatem. Gdy wchodziło się między pnie, t( z nagłej jasności wstępowało się w cień i szarość, a nad głową miało się zieloni masę rozpiętą na szkielecie

pseudogałęzi. Tak, życie roślinne Araneidy wyraźnie różniło się od formacji planet dziennonocnych.

Natomiast fauna wykazywała zadziwiające wręcz podobieństwo do form ziemskich. Oczywiście, nie jeśli chodzi o wygląd czy zachowanie osobników poszczególnych gatunków. Konieczność życia w zimnym klimacie nocnej lub gorącym dziennej półkuli, wykształciła wiele interesujących, nieznanymi gdzie indziej, form przystosowań. Mimo to jednak ogólna struktura królestwa zwierząt oraz jego ewolucja była zbliżona do ziemskiej.

Za najbardziej intrygujący objaw tego zjawiska uznano występowanie na Araneidzie gatunków stałocieplnych. W świecie bez nocy, bez zimy, bez gwałtownych zmian klimatycznych wielką szansę rozwoju miały gatunki zimnokrwiste. Istoty stałocieplne w ogóle nie powinny powstać, bo tam, gdzie narodziło się araneidzkie życie – na dziennej półkuli – przyroda nie stworzyła na nie zapotrzebowania. Oczywiście, w warunkach obecnych, gdy większa część lądów planety znajdowała się po jej ciemnej stronie, termoregulacja była niezbędnym warunkiem przetrwania. Lecz przecież kiedyś Atlantyda grzała się w promieniach nigdy nie zachodzącego słońca i istoty zmiennocieplne miały na niej idealne warunki rozwoju. Mimo to przegrały, a po milionach lat właśnie stałocieplne weszły na drogę ku rozumowi.

Piotr myślał o tym wszystkim, by choć na chwilę oderwać się od problemów związanych z odszyfrowaniem zagadkowych kodów. Choć, z drugiej strony, zagadki dotyczące historii, może tej nieco bliższej, miały niewątpliwie związek z bieżącymi kłopotami. Piotra drażniła i dziwiła jednocześnie ilość problemów oraz pytań, na które nie można odpowiedzieć. Łamigłówki dnia dzisiejszego, historia Palmollorów sprzed lat kilkudziesięciu, zagadki sprzed tysięcy lat dotyczące upadku aranejskiej cywilizacji. I sprzed milionów – związane z podziałem na Kadenów i Urali. No i te sprzed dziesiątków milionów lat, o których myślał przed chwilą. Wszystkie one, choć tak od siebie odległe, tworzyły w myślach Piotra przedziwne continuum i mimo iż zdawał sobie sprawę, że postępuje bez sensu, wciąż wiązał je ze sobą.

– Poznajesz już? – Broth trącił go w ramię. Piotr spojrzał na ekran.

– Tak, jeszcze jakieś pięć minut.

Zbliżały się góry, a wraz z nimi obóz Ficiino.

– Co robi Broth? – Piotr podszedł do Rafała.

– Nie wiem. Chyba siedzi w magazynie.

– Jeden, co myśli logicznie – mruknął Piotr.

Nic nie znaleźli. Przeszukali jeszcze raz namioty mieszkalne i magazyn, obeszlili teren, zaglądając we wszystkie dziury. Nie znaleźli nic, co mogłoby im pomóc. Co prawda udało się zlokalizować system małych aparatów ostrzegawczych rozstawionych wokół obozu, ale to nie było nic godnego uwagi. Tamci czterej często chyba zostawiali obóz bez opieki i żeby mieć pewność, że nikt w tym czasie nie szwenda się po terenie, otoczyli swą bazę małymi szpiegam. Ludziom udało się odszukać kilkanaście fototów, a także kilka czujników may. Oczywiście, teraz nie pracowały, choć były sprawne. Prawdopodobnie, sprz<sup>^</sup> żonę z "Krabem", przestały funkcjonować, gdy Piotr go zniszczył.

Piotr i Rafał krążyli wciąż wokół obozu, licząc na jakiś szczęśliwy traf. B przecież szczęśliwe traf, jak stwierdził informatyk nieco wcześniej, zwykły zdarzają się w historiach jak ta, w której oni właśnie brali udział. Broth za zabrał się za robienie spisu żywności. Piotr, będąc pierwszy raz w obozi Ficiino, orientacyjnie tylko określił jej zapasy, by wiedzieć, jaką ilością czas dysponuje. Teraz trzeba było to wszystko zrobić precyzyjnie i ustalić w miar dokładnie czas przylotu statku. Bo że przyleci, wydawało się wszystkim wręcz oczywiste, choć żadnej informacji na ten temat nie było na

notkostkach, nawet jeśli była, nie potrafili jej odczytać. Pozostawał więc sposób pośredni Wyliczyć, na ile dni wystarczy zgromadzonych zapasów żywności.

Piotr wdrapał się do kabiny "Plusa" i wywołał Murray.

– I co? – twarz Pustacza wypełniła cały ekran.

– Nic – Piotr pokręcił głową – Ale mówiłem przecież... Zrobimy jeszcze spis tego żarcia, potem wracamy. Jak tam Kola?

– Obudził się przed kwadrans. Mówi, że czuje się świetnie i chce wziąć się do jakiejś roboty.

– Luksus. Oblazłem cały ten teren, wszędzie to samo, dół, żwir, kamieni( Po drugiej stronie gór identycznie, strasznie ta skała poharatana.

– Co robi reszta?

– Ćwiczą. Pantaron pokazał te lasery i próbują coś z nich trafić. Ale to jest przecież kaliber na słońce.

– I na ludzi – przerwał mu Piotr cicho.

– Dobra – po chwili milczenia odezwał się znów Pustacz – To liczcie te kartony i wracajcie do domu. Trzymaj się. Cześć.

– Czołem.

Piotr zszedł na ziemię, powoli ruszył w stronę magazynu.

– Już prawie kończę – Broth podniósł głowę znad kartki i odstawił na bok kolejne pudło – Jeszcze tylko ta półka. U was dalej nic?

– Widać chyba – Piotr rozłożył ręce. – Ile?

– Zostało około trzystu porcji. To jest dla czterech facetów racja na zawahał się – jakieś dwadzieścia parę dni.

– Dwadzieścia pięć.

– No właśnie. Liczyć jednak trzeba, że mieli jakiś zapas. Mnie się wydaje że będą tu nie dalej, jak za jakieś dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie – powtórzył Piotr. – To wystarczy, zdążymy się przygotować.

Ustaliliśmy już pewne sprawy, tak? – Piotr spojrzał na Brotha.

– Tak. Ale ja bym skurwysynów... – Broth machnął ręką i westchnął ciężko. On w każdej chwili gotów był wsiąść w "Plusa", polecieć na ciemną stronę i spacyfikować Aranei. Wytnie ich wszystkich. Lub przynajmniej co trzeciego, na postrach i ku przestrodze. Gdyby tylko Piotr powiedział "Możesz", zrobiliby to natychmiast. Lecz Broth wiedział, że Piotr nigdy na to nie pozwoli, a słuchał Piotra niczym wyroczni. Piotr uratował mu przecież życie. Piotr sam pokonał przyrodę Kadenów i ludzi. Broth darzył więc go granicznym z uniżonością szacunkiem, w którym splatały się w jedno podziw i wdzięczność. Choć często wyrażał na głos swoje, odmienne niż Piotra poglądy, to jednak zawsze i bezwzględnie podporządkowywał się jego woli.

Inaczej niż Pantaron. On dla Aranei miał tylko dwa uczucia – nienawiść i pragnienie zemsty. Wszystko, co robił, każdą czynność, każde ćwiczenie wykonywał z taką zjadłością, jakby właśnie teraz dobierał się do skóry swoim wrogom. On nie usłuchałby Piotra, ale był sam i w pojedynkę bał się wszczynać spory.

Reszta mężczyzn, nawet Kola, czuła to, co Piotr, przynajmniej uznawała jego racje. Tylko Homick nic nie mówił. Wiadomo było, co myśli, lecz tak jak inni, ściśle wykonywał polecenia. Zrezygnowali

z zemsty na Aranei, Alberta zostawili sądom.

Lecz przecież wrogowie istnieli i nieuniknione było spotkanie z nimi.

Najważniejszym problemem było to, jak mają przyjąć kosmolot, który przyleci po Ficiino i ich pomocników. A także po owo coś, co warte było tyle ludzkich istnień.

– Wydaje mi się – zaczął Piotr – że mamy dwie możliwości. Pierwsza jest bezpieczniejsza i bardziej pewna: po prostu natychmiast nadajemy komunikat o tym, co tu się stało. Być może tamci odbiorą nasz sygnał i w ogóle się na Araneidzie nie zjawią. Oczywiście, może się zdarzyć i tak, że mimo to przylecą, a wtedy... Wtedy będzie tak samo, jakbyśmy pracowali według drugiego wariantu; tracimy oczywiście efekt zaskoczenia. Natomiast zyskujemy pewność, że kiedyś, prędzej czy później, ludzie dowiedzą się o wszystkim, nawet gdybyśmy my...

Możemy też siedzieć cicho. A kiedy przylecą, bo muszą przylecieć, rozwalimy ich. Myślę, że nie jesteśmy bez szans. Mówcie, po kolei.

– Czekać na nich – pierwszy jak zwykle odezwał się Broth. – Czekać i doładować im.

– Też tak myślę – powiedział Momłot.

– Ja też – to Rafał.

Zapadła cisza. Piotr spojrzał na Pustacza, ale ten siedział w bezruchu patrząc gdzieś w bok, unikając wzroku Piotra.

– Nie chcę walczyć – powiedział Homick cicho, ale szybko, tak szybko, żeby już nie mógł cofnąć swoich słów. – Straciłem rękę i nogę, ale jeszcze żyję. Chcę uciec stąd jak najszybciej, znaleźć się daleko stąd, bezpieczny... Chcę doczekać przylotu statku zmianowego, bardzo chcę go doczekać. Wiem,

że i tak na niewiele wam się przydam, ale skoro już tu z wami siedzę, to mo<sup>^</sup> też głosować. Więc jestem za pierwszym wariantem.

– Jasne. Ty Pantaron?

– Nie wiem, nie wiem. Też chcę przede wszystkim przeżyć. Jaką my mac broń? Jednego "Plusa". Diabli wiedzą, czym tamci przylecą, mogą nas róż;

nieść jak mrówy...

– Ale nie muszą – przerwał mu Kola. – Wiecie co? Ich trzeba złapać 2 tyłki, rozwalić albo schwytać przynajmniej. Ja... ja wiem, że ja... Ale jeśli n teraz tego nie zrobimy, to nikomu już się to nie uda. Zbyt wielu naszych tai zostało, zbyt wielu, by to puścić, ot, tak...

– No i co, Pantaron? – znów spytał Piotr.

– A ty?

– Mówiłem już. Chciałbym się z nimi spotkać.

– Dobra, niech będzie.

– Alek?

– Moje zdanie już i tak nie ma znaczenia – Pustacz wreszcie spojrzał n Piotra. – I tak już jest większość, ale oczywiście trzeba czekać. Bo jest to tylk nasza sprawa, nasza, niczyja więcej – zawahał się. – Może jeszcze tamtyc chłopaków.

– Więc ustalone – lekki uśmiech pojawił się na twarzy Piotra, lecz znikn<sup><</sup> natychmiast. – Polujemy. Słuchajcie, myślę, że trzeba rozważyć cztery sytuac<sup><</sup> je. Najkorzystniej dla nas by się stało, gdyby przylecieli statkiem bezpośredni go lądowania, pojedynczym lub rozłączalnym. Ale

najprawdopodobniej będzie to nośnik z jednym modułem ładowniczym. Najgorzej się stanie, gdy nośnik przyprowadzi dwa ładowniki. Mam nadzieję, że taka sytuacja nie nastąpi, ale J też trzeba rozważyć, choć wtedy niezbędne będzie trochę szczęścia.

Ja mam już pewien plan działania, ale nie wiem, czy nie przyjmuję złych założeń. Trzeba go porządnie dopracować.

– Nie da się tego zrobić – Momłot odwrócił się w stronę Piotra. – I znaczy, mogę spróbować, ale nie mam żadnej gwarancji, że moduł pote w ogóle będzie pracował. Nie jestem technikiem, tylko pilotem – rozłóż bezradnie ręce.

– Wiem – mruknął Piotr. Nie udało się rozmontować modułu bojowa tak, by lasery przenieść do drugiego planetolotu. Dysponowali więc tylko jedną maszyną, mogącą stanowić zagrożenie dla celów ruchomych. Niewątpliwie groźną maszyną, ale im zależało bardziej na ilości niż na jakości.

– A jak z montażem laserów górniczych?

– Można to zrobić, można doprowadzić sterowanie do kabiny, ale wiesz i to za siłą ognia. Nadaje się do kruszenia skały, a nie do zabawy w bombowe

– Mimo wszystko... – zaczął Piotr i przerwał, bo usłyszał wrzask Brotha.

– Piotr! Chłopaki! – drzwi otworzyły się, w progu stanął Broth, zdenerwowany, zadyszany.

– Co się stało?

– Rafał... Rafał rozgryzł te cyferki, te pieprzone cyferki! Chodźcie szybko! – odwrócił się i wypadł z pokoju.

Piotr dalej siedział na krześle, jakby nie dotarły do niego słowa Brotha.

– Słyszałeś, wodzu? – Momłot uśmiechnął się szeroko.

– Słyszałem.

– No i co?

– No i już – Piotr zerwał się z krzesła, runął w stronę drzwi. Ale Momłot był szybszy, zastąpił mu drogę i pierwszy wybiegł na korytarz, potem na dwór. Do domku, w którym mieszkał Rafał dobiegli prawie równocześnie. Informatyk siedział na łóżku, w swoim pokoju. W dłoni trzymał napisaną kartkę, a minę miał poważną. Oprócz niego był już Kola i Homick.

– Dawaj! – Piotr chciał chwycić kartkę, ale Rafał schował ją za siebie.

– Spokojnie – powiedział powoli. – Poczekamy na resztę.

– Żeby cię – Piotr westchnął i zaczął bez pośpiechu podchodzić do łóżka.

– Ani kroku dalej! – Rafał zmiął kartkę, zbliżył ją do ust. – Bo zjem papier!

– No mów, cholera – jęknął Momłot. – Bo jak cię palnę...

– Jesteś pewien, że to to? – spytał, już na poważnie. Piotr.

– Tak. Chociaż nie, na sto procent może być człowiek pewien tylko tego, że się kiedyś przekreśli. Ale na dziewięćdziesiąt dziewięć i pół...

– Jestem, reszta też idzie – do pokoju wszedł Broth. – Powiedział już wam?

– Sępi, kanalia! – Piotr machnął ręką. – Czekał na was.

– Jego szczęście – Broth był wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Wloką się jak żółwie – mruknął Momłot. – Żeby cię pokręciło, długo jeszcze będziesz czekał?

– Aż się zejda wszyscy – Rafał trwał przy swoim.



W tym momencie drzwi otworzyły się, do pokoju weszli Pantaron i Pustacz. Zrobiło się ciasno, więc Rafał odczekał jeszcze, aż się pousadzają. Rozpostarł na kolanie kartkę i powiedział:

– Byliśmy do tej pory debilami...

"Plus" znów leciał w stronę Pasma Eurydyki. Szare zbocza gór na ekranie zbliżały się z każdą chwilą.

Piotr siedział w fotelu obok pilota i wciąż nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że nie od razu znaleźli rozwiązanie.

Co prawda pierwsza z jaskiń była pusta. Odszukali ją tam, gdzie znajdować się powinna – w punkcie wyznaczonym przez ciąg liczb. Grota była nieduża, lecz w ścianie znaleźli wąski otwór, niezwykle ciasne dla człowieka przejście do drugiej komory.

Tu zaś zobaczyli półki. A raczej skalne schody o stopniach gładkich i czystych. Schody wyrastały prosto ze ściany, niemało trudu musieli nieznani kamieniarze włożyć w wyszlifowanie tak szerokich i gładkich stopni.

Na ich szaroczonej powierzchni widać było dziesiątki jaśniejszych, kolistych plam – śladów czegoś, co jeszcze niedawno na tych półkach stało. Co to było? I kto wyorał schody w skalnej ścianie? Do starych pytań trzeba było dołożyć nowe. Ale wszyscy czuli, że już niedługo poznają odpowiedź. Spośród sześciu punktów ta pusta grota znajdowała się najbliżej Murray i dlatego tam wylądowali najpierw. Wiedzieli jednak, że to, czego szukają, znajdą na pewno w bazie Ficiino. A raczej tuż obok niej, na zboczu porośniętej lasem Góry Edwardsa. Oznaczenia na mapie nie pokazywały bowiem dokładnie namiotów, tylko punkt przesunięty o cztery kilometry na południowy-wschód.

Liczby... Dlaczego wcześniej nie wymyślili rzeczy tak prostej, tak banalnej?

Ficiino posługiwali się systemem ósemkowym. Wystarczyło więc każdy z ciągów przetransponować na dziesiętny system liczbowy. I wtedy otrzymali współrzędne pięciu punktów leżących w odległości nie większej niż trzysta kilometrów od obozu Ficiino oraz szóstego, położonego tuż obok niego.

Takie proste... Piotr wiedział, co ich zmyliło. Ficiino mieli oczywiście na oznaczenie cyfr swoje znaki i nimi zawsze się posługiwali. Tu tymczasem użyto systemu ósemkowego oraz zwykłych, ziemskich cyfr. I właśnie dlatego, przez półtora dnia ludzie nie mogli znaleźć rozwiązania zagadki.

Planetolot mknął rozcinając z hukiem powietrze, a Piotr marzył, żeby jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Pusta grota poruszyła jego wyobraźnię.

Wkrótce na ekranie pojawiły się trzy namioty.

– Siadamy tam, gdzie poprzednio, wodzu? – raczej stwierdził niż spytał Momłot.

– Jasne.

"Plus" zawisł na wysokości trzydziestu metrów i powoli zaczął się opuszczać. Po kilku sekundach jego stalowe łapy wsparły się o ziemię.

– No, zajechali – Momłot odpiął pasy.

– Wyskakujemy chłopaki! – Piotr otworzył drzwi sekcji towarowej, w której siedział Pustacz, Rafał i Broth. Pantaron miał dyżur, więc został w Murray, a Homick i Łomiński nie chcieli lecieć.

Piotr z Momłotem już byli na dole, gdy tamci zaczęli schodzić. Pustacz zeskoczył z trzeciego od ziemi szczebla drabinki, Rafał z czwartego, a Broth od razu z wjazdu planetolotu. Spadł na szeroko rozstawione nogi, ale nie utracił równowagi i przewrócił się na plecy.

– Kopyta chcesz połamać? – Momłot stanął nad nim, a Broth, jak gdyby nigdy nic, wstał, otrzepał spodnie i powiedział:

– Śpieszy się nam przecież.

– Zostaw go – Rafał uśmiechnął się. – nogi to nogi, ale tyłek sobie chyba nieźle obił.

– Dobra, idziemy! – przerwał im Piotr.

– Prowadź, Piotrusiu – Broth zasalutował.

I poszli.

Minęli namioty, zaczęli piąć się pod górę. Nie odzywali się do siebie, słyhać było tylko chrzęst pękającej pod ich stopami trawy. Trawy... Patykowate porosty, na których końcu wyrastała ustawiając się ku słońcu zielona, mięsista narośl. Tu, w kotlinie, nie było dużych wiatrów, więc łodygi były sztywne i zdrewniałe. Trawa stepowa... Swą giętkością i sprężystością bardziej przypominała ziemską.

Minęli pierwsze drzewa – gigantyczne grzyby rzucające prawie idealnie okrągłe cienie. Ich kora była gładka i śliska, bardzo twarda u podstawy, wyżej cieńsza i delikatniejsza, od strony słonecznej nieco zielonkawa. Po pniach pięły się ku górze powoje Meatemicka, z ich cienkich, oplatających drzewa łodyg zwisały wielkie, zielone płaty liści.

Weszli w las. Tu panował wieczny cień. Wierzchołkowe kielichy drzew przywierały do siebie i nie przepuszczały zbyt wiele światła. Tam gdzie jakiegś smudze słonecznego blasku udało się przedrzeć do ziemi, natychmiast wyrastały gęste krzaki, palety lub młode drzewka. Trawa w lesie była rzadsza niż na łące, ale za to wyższa i mocniejsza. W jej gęstwie puszyły się kwiaty nerwusów, zwijające się, gdy ludzie do nich podchodzili, żółciły gruszkowate purchawki i czerwieniły kapelusze grzybów. Roślinność często ustępowała jednak miejsca gładkiej skale, szaremu, zrytemu i pobrużdżonemu wapieniowi.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Piotr słyszał za plecami ciężkie sapanie Brotha.

– Daleko jeszcze?

– To musi być gdzieś tu – mruknął Rafał.

– I jest! – Momłot skoczył do przodu.

Piotr popędził za nim. Najwyraźniej trafili na wydeptaną ścieżkę, trawa pod ich stopami była połamana, tak samo jak gałęzie krzaków między którymi musieli się przeciskać. Po kilku minutach marszu ścieżka skręciła raptownie, wiodła teraz nie w górę, a po zboczu. Maszerowali po niej gęsiego, mając po lewej stronie stok, a po prawej gęste zarośla.

Momłot, który szedł pierwszy, zatrzymał się.

– Panowie, tam! – wskazał palcem. Jakies dwadzieścia metrów przed nimi, obrośnięte gęstwiną krzaków i powoi czerniło się wejście do jaskini. Ruszyli, ale już się nie poganiali, powoli, krok po kroku zbliżali się do grotty.

Pierwszy do środka wszedł Momłot.

Za nim Piotr. Potem reszta.

– Ciemno, cholera! – jęknął Broth.

– Czy ktoś w ogóle wziął latarkę? – spytał Rafał. Nflrt mu me odpowiedział.

– Ale jaja – Broth parsknął śmiechem.

Piotr zrobił dwa kroki w głąb grotty. Saam. panujący tu półmrok me przeszkadzał i on też pierwszy

zobaczył to, eucyf szulaft. Wryte w skale półki. I stojące na nich wielkie skrzynie. Wielkie, proetopadfotoeane skrzynie z sza-

rego plastyku, z uchwytami w każdej ścianie. Standardowe skrzynie ładunkowe, jakie stosowano do przewozu drobnych przedmiotów.

Piotr omiół wzrokiem całą jaskinię. Pod jedną ścianą stało dziesięć skrzyń, pod drugą siedem. Wszystkie były już zamknięte i zapieczętowane. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, stojącej w samym rogu. Na lekko odsuniętym wieku leżał śrubokręt. Piotr ruszył w jej stronę.

– No co, kochasie – usłyszał za plecami radosny głos Momłota. – Żeby nie wujek Arki, to byście tu ślepią wypatrzyli na wyłot, a ktoś by i tak popedałował na dół.

Snop światła przeciął ciemność, ale Momłot błyskawicznie przełączył zakres pracy latarki więc w grocie zrobiło się tak jasno, jakby stali na dworze.

– Są! – wrzasnął Broth.

– O Boże... – jęknął Rafał – dziesięć parszywych skrzyń...

– Siedemnaście – odruchowo poprawił go Piotr, dopiero po chwili zrozumiał, o co chodziło informatykowi. – Przepraszam... Broth już doskoczył do pierwszego z brzegu pudła.

– Czym to rozwalić?

– Jest zaplombowana – pokręcił głową Momłot.

– Tam jest otwarta – pokazał ręką Piotr. Wszyscy spojrzeli za jego palcem.

Milczący do tej pory Pustacz w trzech susach znalazł się przy skrzyni. Pochylił się nad nią.

– Jest... – sięgnął do środka. I nim zdążyli go otoczyć, wyjął rękę ze skrzyni. Na dłoni trzymał zieloną kulę wielkości ludzkiej głowy.

– Co to? – szepnął Broth. Piotr bezradnie pokręcił głową.

– Utrwalacz – Rafał wyjął Pustaczowi kulę z ręki. – Widziałem już coś takiego. Do przewożenia cennych dupereli. Wiecie, zegarków po dziadku, rzeźb, szkła, wszystkiego, co może się potnie. Zalewa się to czymś tam, nie znam nazwy fachowej. Ale nazywają to utrwalacz, widziałem kiedyś w telewizji.

– I co potem? – Momłot wyciągnął ze skrzyni następną kulę. Była nieco mniejsza od pierwszej. – Zobacz, ich tu jest ze czterdzieści. Myślę, że do takiego pudła wchodzi z sześćdziesiąt.

– Po dostarczeniu na miejsce, moczą to w jakimś rozpuszczalniku i ta warstwa ochronna odłazi – tłumaczył dalej Rafał.

– Wiecie co? – Broth podrapał się w głowę – Chyba wiem, gdzie jest ten rozpuszczalnik. Pamiętasz, Piotr te kubły w magazynie, te z tym śmierdzącym syfem w środku? To musi być to.

– Niech każdy weźmie po jednej kuli – zawyrokował Momłot. – I schodzimy.

Rafał naciągnął długą, gumową rękawiczkę. Ostrożnie zanurzył rękę w kuwecie. Naczynie wypełniała woda z rozrobionym w niej rozpuszczalnikiem i mętną zawiesiną tego, co pozostało z kuli.

Coś stuknęło o dno kuwety, Rafał powoli wyciągnął rękę. A potem postawił rzeźbę na stole.

Patrzyli na nią w milczeniu.

Piętnastocentymetrowej wysokości statuetka, jeszcze mokra, jeszcze lśniąca wilgocią.

– Rzeźba – cicho powiedział Broth.

Piotr patrzył na posążek z szeroko otwartymi ustami. To była figurka Urali, na pewno Urali,

świadczyły o tym jej proporcje i misternie rzeźbiona twarz. Wryta w czarnym kamieniu znaczone złocistymi cętkami, przedstawiała kapłana albo wodza. Ale nie żadnego krwi czarownika z lochów. Urali ubrany był w zwiewną szatę sięgającą kolan, układającą się miękko na ciele. Delikatnymi muśnięciami dłuta zaznaczono na niej misterny wzór – motywy geometryczne i roślinne. Piersi kapłana zdobił wisior, szyję opinała wąska obejma, a czoło diadem. W lewej ręce postać trzymała drewnianą laskę, w prawej coś, co Piotrowi najbardziej przypominało miecz. Krótki miecz, o płaskiej, szerokiej klindze. Na nogach kapłan miał sandały na wysokich koturnach.

Wszystko wykonano z niesamowitą wprost precyzją, każdy szczegół zachwycał starannością rzemiosła – czy to węzeł na rzemieniu sandała, czy ogniwo łańcucha, czy też ułożenie mięśni twarzy. Dumne i władcze oblicze, pewna siebie, surowa, wręcz drapieżna, przynajmniej na tyle, na ile Piotr potrafił ocenić mimikę Aranei.

Statuetka była perfekcyjnie zrobionym cackiem, ale nawet gdyby wykonano ją znacznie topomiej, to i tak kosztować musiałaby krocie. Jeśli w każdym utrwalaczu znajdowało się coś takiego, wówczas wartość ładunku iść powinna w dziesiątki milionów. Piotr nie znał się na sztuce, ale słyszał nieco, jak funkcjonuje jej oficjalny i nieoficjalny rynek.

Figurka musiała być dziełem dawnych Aranei, tych sprzed katastrofy. Dlaczego i kiedy powstały te skalne magazyny-muzea, Piotr nie wiedział. Ale zapewne właśnie w nich zgromadzono wyroby panującej niegdyś na planecie rasy. Wspaniałe statuetki. Jakaś ceramika. Może klejnoty.

Handel dziełami sztuki Obcych podlegał rządowemu monopolowi, odrębne uprawnienia posiadała też Akademia. Stanowiło to źródło wielkich dochodów. Bogaci ludzie, którzy dość już mieli luksusowych willi, jachtów kosmicznych i sal multiprojekcyjnych, ładowali pieniądze w sztukę. Ich prywatne muzea zapełniały artystyczne wytwory ze wszystkich znanych ludziom światów. Każdy z tych zbieraczy, koneserów i snobów gotów byłby zapłacić majątek za dzieło sztuki powstałe przed tysiącami lat, stworzone rękami mistrzów wywodzących się z kultury, która już praktycznie nie istnieje.

Piotr stanął na krawędzi jamy. Jej ściany stromo opadały w dół, miała może piętnaście metrów długości, dziesięć szerokości, a głęboka była na co najmniej pięć. Jej dno pokrywała warstwa żwiru, w jednym rogu zalanego przez kałużę mętnej wody.

Piotr usłyszał kroki, odruchowo odstepił od krawędzi dołu. Zbliżał się Momłot.

– No i co, wodzu – pilot uśmiechnął się. – Kontemplujesz?

– Słuchaj Arki, jaką prędkość można wycisnąć z "Plusa"?

– W atmosferze?

– Tak. Znaczy nie, wszystko jedno. Chodzi mi o to, ile czasu potrzeba na lot stąd do Murray.

– Jasne. Ale wiesz, rzecz nie w prędkości. Chodzi o przeciążenia, jakie potrafisz przetrzymać.

– No, a pusta maszyna?

– Pusta, mówisz... A po cholere? No, dobra – Momłot klepnął Piotra w ramię. – Nie wściekaj się. Czterdzieści minut. Wystarczy. Ale to na mocnym cugu. Nie wiem, ile by potem jeszcze ten "Plus" pociągnął.

– Potem? Po co potem... – Piotr urwał.

– Ty coś kombinujesz, wodzu? – Momłot porozumiewawczo zmrużył oczy.

– Może tak, może nie – Piotr przybrał kamienny wyraz twarzy. – Pogadamy o tym jeszcze dzisiaj. A z ludźmi?

– Co z ludźmi? Acha, tak... Zależy. Zależy z kim. Ja wytrzymam trochę więcej niż ty na przykład.

– Powiedzmy, że obaj siedzimy w środku.

– Drugie tyle. Ale przy każdym zakręcie będziesz miał kiszki w gardle, wodzu.

– Mój żołądek i moje podniebienie. Półtorej godziny... Dobra. Może być. Słuchaj, mam do ciebie prośbę. Ja chcę tu sobie jeszcze połazić, obejrzeć teren.

– W porządku.

– To jeszcze nie koniec. Szybko biegasz?

– A co?

–. No mów, lubisz biegać?

– Tylko jak muszę, ale wyniki mam niezłe.

– Cieszę się. Słuchaj, idź na górę, do jaskini. Włącz stoper i biegnij na dół, do planetolotu. Jak najszybciej.

– Wodzu, bez dodatkowych informacji nie ganiam. Nie będę z siebie robił pajaca.

– Arki, idź proszę – błagalnie powiedział Piotr. – Jeszcze mi się wszystko do końca w głowie nie poukładało. Muszę posiedzieć, połazić. A ty w tym czasie pobiegaj. Innych też możesz zatrudnić, wyznaczycie średnią. No, idź Arki.

– Sam nie wiem, dlaczego to robię – Momłot pokręcił głową. – Ale niech będzie. Tylko pamiętaj, dziś wieczorem karty na stół. Jasne?

Układanka była pełna.

Kiedyś, przed wiekami, a może przed tysiącami lat, Aranei zgromadzili w kilku miejscach wytwory swojej sztuki. Czy uczynili to w dniach świetności własnej cywilizacji? Możliwe. A może stało się to później, gdy niedobitki Urali dotarły jakimś sposobem na te ziemie. Potem wymarU, lecz pozostawili po sobie te cudowne muzea.

Po tysiącach lat na planetę przybyli Palmollorzy. Zupełnie przypadkowo założyli swój obóz w pobliżu jednej z jaskiń. To prawda, przypadek odegrał tu swoją rolę – postawić namioty w jednym z tych sześciu miejsc, mając do dyspozycji cały pas terminatora... Ale przypadkowi można pomóc. Jaskinia znajdowała się w pobliżu żywej, nadającej się do zamieszkania kotliny. Pewnie kiedyś żyli tu Urali, a Palmollorzy też uznali to miejsce za dobre do osiedlenia.

Tak więc dwaj przybysze z Palmolloru odnaleźli jaskinię, do tego, co w niej było, dołożyli skarby zrabowane Aranei. Prawdopodobnie chcieli zgromadzić jak najwięcej wartościowych przedmiotów na wypadek, gdyby na planecie zjawili się ludzie. Korzystając z tego, że w pierwszej fazie kolonizacji globu rządowi rzadko kiedy udaje się kontrolować sytuację, mieliby szansę przekupienia kogoś i wymknięcia się z Araneidy.

Ale oni zginęli i o grocie znów nie wiedział nikt. Być może jednak, było to wielce prawdopodobne, zostawili o niej jakieś zapiski i informacje.

Po następnych sześćdziesięciu latach do kotliny dotarli trzej Ficiino. Odkryli kontener mieszkalny Palmollorów. Potem odnaleźli jaskinię. Od razu też musieli zrozumieć, z jakim skarbem mają do czynienia. Ten, który chciał o wszystkim poinformować władze, zginął. Jego zabójcy po paru miesiącach, gdy skończyła się ich służba, odlecieli z Araneidy. Wtedy rozpoczęły się przygotowania do akcji, do afery, której skala i rozmach były niewątpliwie imponujące.

Ale z punktu widzenia Ficiino konieczne. Dopóki bowiem ludzie normalnie pracowali na planecie, niesposób było wywieźć wszystkich tych skarbów niepostrzeżenie. Wokół Araneidy krążył przecież

satelita, wzdłuż terminatora poruszały się ekspedycje naukowe, prowadzono obserwacje nieba.

Piotr zastanawiał się, czy nie można by wszystkiego załatwić prościej. Po prostu, zniszczyć satelitę albo komputer w Murray, oślepić bazę, odczekać, aż nikt nie będzie się kręcił w pobliżu i wtedy wysłać ładownik. Zabrałby to, co miał zabrać, wróciłby do orbitera, kosmolot by się wyksował i po sprawie. Ten wariant miał na pewno wiele szans powodzenia i to, że nie podjęto działań tego typu mogło zdaniem Piotra świadczyć tylko o jednym: Ficiino i ich wspólnicy już wtedy musieli mieć jakieś informacje o pozostałych punktach, w których zgromadzono aranejskie skarby. Jednak dane były zapewne niekompletne, prawdopodobnie orientacyjnie tylko określały położenie kolejnych skarbców-muzeów. A żeby je odnaleźć, trzeba było czasu – czasu i swobody działania, być może nie dni nawet, a tygodni. Tu już nie mogło pomóc żadne rozwalanie satelity. Należało dysponować wolnym terenem oraz poczuciem bezpieczeństwa.

Należało pozbyć się ludzi.

Ficiino już od dawna podejmowali wiele wypraw na ciemną stronę. Przebywali tam często i długo, prowadząc badania geologiczne i kulturowe. Jak sprawdził Piotr w archiwum, w ciągu ostatnich lat częstotliwość ich wypraw poza terminator znacznie wzrosła.

Snuli sieci.

W końcu udało im się dogadać z kadeńskimi wodzami. Potem zaś tym wodzom udało się przekonać resztę aranejskich przywódców, że możliwe jest zwycięstwo nad człowiekiem, przegnanie go ze świętej ziemi światła, tak by więcej nie powrócił. Aranei połączyli się, by pokonać świętokradców. Ficiino, w zamian za informacje i pomoc w przygotowaniu akcji, dostać mieli to, co im było potrzebne – czas i spokój. Piotr przypuszczał, że prowadzili oni jakąś grę wobec Aranei, prawdopodobnie wykorzystując międzyplemienne waśnie. Dwaj kadeńscy wodzowie byli zapewne jedynymi, którzy wiedzieli o udziale Ficiino w ataku. Sami zaś pozostałych przywódców utrzymywali w przekonaniu, że właściwie oni są jedynymi inicjatorami. Po wszystkim miało im to zapewnić dominację nad Aranei. A Ficiino przed odlotem z planety niewątpliwie staraliby się pozbyć świadków.

Popełnili jednak błąd – zlekceważyli palmollorską kobietę i jej wpływy. Kto wie, czy w ogóle wiedzieli o jej istnieniu. Natomiast na pewno nie mieli zielonego pojęcia o Piotrze i jego możliwościach.

Popchnęli do działania aranejskie szczepy. Najęli kilku ludzi – Eivera, Boyle'a, Alberta, Pokacta i tego, który zginął w "Krabie". Opracowali swój plan dokładnie, perfekcyjnie.

Na drodze stanął im człowiek oraz Palmollor. Piotr zdawał sobie sprawę, że jego rola nie była najważniejsza. Popełnił tak wiele pomyłek i błędów, iż od dawna nie powinien już żyć. To, że jeszcze chodził po ziemi, zawdzięczał staremu księdzu, który swą dobrocią potrafił przełamać nieufność palmollor-kiej kobiety.

Kiedy chorzy, zmęczeni ludzie układali się w kabinie planetolotu, kiedy igły automedów wstrzykiwały w ich ciała środki uspokajające, kiedy zaczynali śnić swe pierwsze na wolności sny. Piotr rozmawiał z aranejskimi wodzami.

– Posłuchaj, człowieku. Mój ojciec nazywał się Kotton-Herego i ja przyjąłem jego imię. Mój ojciec był tym, który pierwszy zaczął rozmawiać z ludźmi o ośmiu nogach. Mój ojciec chciał zabić was wszystkich, chociaż niektórzy mówią, że jesteście bogami. Lecz wy zbeszczyliście to, co dostępne jest jedynie oczom błogosławionych Urali – Stróżów Ognia.

Ja jestem z nasienia Kotton-Herego, ja jestem jego pragnieniem. Ludzie o ośmiu nogach pokazali

nam sposób, a ja zjednoczyłem wszystkie plemiona Aranei.

Lrdybyśmy poznali zakłęcie... Chcieliśmy je od was wydobyć, ale byli też inni, którzy dalej się bali waszej potęgi. Ich głosy wciąż tępiły ostrza włóczy i powstrzymywały nasze ręce.

A teraz, gdy wam ulegliśmy, przychodzimy tu po śmierć, jak każe obyczaj i za twoją sprawą dostąpimy Przejścia. Oddaliśmy ci już twych braci. Człowieku Który Widzisz w Ciemności. Uczyniliśmy to, bo wiemy, że masz moc, która zniszczyłaby nasze plemię. I nie byłoby już dzieci i ciał, które są widomą postacią istnienia. Więc oddaliśmy ci ich i siebie, a ty zrób tak, jak obiecałeś.

Twoim słowom ciężko nam było uwierzyć, bo dla jakiegoż powodu miałbyś powiedzieć prawdę oraz poniechać zemsty. Ale nasi myśliwi odnaleźli ciała trzech wojowników. Tylko ty ich mogłeś zabić i tylko ty umiałeś położyć na ich ciała kamienie. Słów nie należy słuchać, lecz postępek jest dostatecznym znakiem. Pomógł nam ci zaufać.

Kaden umilkł. Stał wyprostowany, dumny, swoimi wielkimi oczyma patrząc na "Plusa". Nieludzka twarz. Duża, wysunięta do przodu szczeka, wał wokół-oczodołowy, uszy przesunięte ku tyłowi czaszki, ponad górną linię oczu. Mięsisty wałek nozdrzy.

Piotr słuchał słów Kadena, starając się ułożyć je w logiczną całość. Aranei wypowiadał się nieskładnie, używał w rzeczywistości niewielkiej liczby wyrazów, to tylko tłumaczący komputer uczynił z jego słów tak zgrabny monolog. Ale Piotr zaczynał z grubsza rozumieć.

Tak jak kiedyś przypuszczał, obecność ludzi na jasnej stronie była dla Aranei świętokradztwem. Rację więc mieli ci naukowcy, którzy twierdzili, że Urali nie przekraczają linii terminatora przede wszystkim ze względów kultowych.

Początkowo Aranei byli bezsilni; w pierwszym okresie kolonizacji planety parokrotnie dochodziło do starć z ludźmi, ale zawsze kończyły się one miażdżącą klęską tubylców. Przestali więc napastować kolonistów i trwali w ukrytej i coraz głębszej nienawiści. A ludzie uznali, że wszystko idzie dobrze.

Potem przybyli Ficiino. Tak jak Aranei, byli istotami ciemności. Dzięki swym empatycznym zdolnościom do wywoływania sugesdii, łatwo dogadali się z Kadenami. Kiedy pojawiła się sprawa figurek, mogli swoje znajomości wykorzystać.

No i kod. Piotr już kiedyś dziwił się, że Aranei, starając się go zdobyć, robią to tak bardzo niekonsekwentnie. Tłumaczył to sobie odmiennością ich psychiki i zachowań. A rzecz była znacznie prostsza. Wśród sprzymierzonych wodzów wielu nie do końca wierzyło w możliwość pokonania ludzi. Prawdopodobnie byli to przyjaciele palmollorskiej kobiety. Ona wiedziała, jaką moc ma cywilizacja, jak łatwo może zniszczyć Aranei i ich świat.

Tak więc częściowo udało się tej grupie przyhamować wojowniczych wodzów, złagodzić, a przynajmniej ograniczyć przymus. Piotr przypuszczał także, że Aranei nie w pełni uzmysławiali sobie sens i znaczenie kodu. Prawdopodobnie ktoś z nich podsłuchiwał jakąś rozmowę Ficiino albo też Ficiino tylko napomknęli o magazynie broni przy jakiejś okazji, nie wyjaśniając sprawy dokładnie. Żeby skierować uwagę Araaei nie ku temu, co oni robią, lecz ku ludziom. No bo przecież gdyby naprawdę chcieli, aby Kadeni dostali nowoczesną broń, to albo sami postaraliby się o szyfr otwierający magazyn, albo też po prostu pokazaliby Kadenom Fichleya, Drugaliego i ich zastępców. Gubernator oraz jedyny na planecie policjant na pewno znali kody.

Lecz nie, Kadeni musieli zdobywać wszystko od początku i Piotr zrozumiał, że dlatego tylko było możliwe uchronienie tej informacji.

Spytał jednak:

– Po co szukaliście kodu? Kto wam o nim powiedział.

– Ludzie o ośmiu nogach rzekli: "Pytajcie ludzi o kod, o szyfr do magazynu broni". To były dziwne, niezrozumiałe słowa. Ale powiedzieli też, że tylko dzięki temu ludzie raz na zawsze odejdą z kraju światła.

– Oszukali was.

– To ty tak mówisz. Nie zdobyliśmy tego, co powinniśmy, więc nas pokonałeś.

Piotr nic nie odpowiedział, bo wywód Kadena rzeczywiście był logiczny, jeśli chciało się przyjąć jego aranejski sposób myślenia.

– Posłuchaj Człowieku Który Widzisz, yznałem już, co chciałem. Twoje pytania nie przybliżą cię do prawdy, bo wiesz teraz wszystko. Lecz mam ci jeszcze coś do powtórzenia. Prosiła mnie o to kobieta. Jej matka była Błogosławioną Opiekunką – nauczała i uzdrawiała. Nie wiem, skąd cię zna, ale kazała ci powtórzyć te dziwne słowa:

– Piotr, ty jesteś człowiekiem. Twoja rasa podbiła świat mej matki, zburzyła miasta, spaliła porty, wymordowała obrońców. Mój ojciec, którego nie znałam, moja matka i ja tutaj skryliśmy się przed wami. Niczego bardziej nie pragnę niż waszej zagłady. Wiem jednak, że to nie Aranei dane będzie was zniszczyć. Nawet gdy udało im się was pochwytać, wiedziałam, że przybędą następni i wymordują ich. A Aranei to wszystko, co mam i kocham. Był więc czas, gdy powstrzymywałam ich przed napaścią na wasze miasto. Potem łagodziłam ich nienawiść, sama nienawidząc coraz bardziej. Wreszcie pomogłam tobie, choć długie są teraz chwile, gdy żałuję tego czynu. Poznałam tylko jednego sprawiedliwego człowieka. On powiedział, że ty powstrzymasz ludzi przed srogą zemstą. Mimo to dalej nienawidzę was i siebie. Ten wybór, którego musiałam dokonać, po stokroć powiększył moją nienawiść. Dla ciebie jednak nie powinno mieć to żadnego znaczenia, pamiętaj, co obiecałeś.

– I co, starczy ci tych blach? – Piotr stanął w drzwiach hangaru, oparł się o framugę.

– Na zrobienie paru konserw z pewnością – Momłot wytarł w spodnie zabrudzone smarem dłonie.

– Tak na serio, mogą być kłopoty. Dużo dziur, przecież nikomu nie zależało, żebyśmy tu zmagstrowali czwartego "Plusa". Mam dwie płyty czołowe, trzy boczne, wszystkie części stateczników i szyby. Ani kawałka dachu.

– Dasz radę?

– Tu są różne blachy, można coś przyciąć, pospawać. Tylko że patrząc z bliska, nikt tego nie kupi.

– Bo i nikogo tu nie zapraszamy.

– Jest jeszcze jeden kłopot. Z napędem.

– Masz jakiś pomysł?

– Mam, wodzu – Momłot wałnął się w pierś zwiniętą w kułak dłonią. – Nawet trzy. Żaden nie za dobry. Najlepiej będzie chyba, jak użyjemy podnośników, tam – wskazał ręką. – Będę wszystko budował na nich. Acha, farby mam. Chłopaki będą mi potrzebni za jakąś godzinę.

– Niezłeśmy się namordowali – Broth odgarnął ręką spocone włosy. – Ale przyjemnie popatrzeć. Jeszcze tylko trochę podpicujemy i, mówię ci, elegancja. Ja jeszcze wrócę, ale niedługo kończymy. A jak tam twoje kuchenne zmagania? Mam nadzieję, że pasza już czeka?

– Będzie żarcie – Piotr uśmiechnął się, lecz Broth już się odwrócił i poszedł w stronę hangaru. Piotr spojrział na Rafała.

– Nie znam się na tym za dobrze Piotr, więc wiesz, jaka to robota. Przekażników wala się od



groma, powinno wystarczyć – położył na dłoni krążek, nie większy niż pół paznokcia. – Znalazłem jeszcze parę innych typów, jednak tych jest najwięcej. Sprawdziłem w katalogu, wydaje się, że parametry mają wystarczające. Zasięg sto metrów, mała moc, ale właśnie dlatego, no i dzięki terlitowej obudowie, praktycznie nie do zlokalizowania. Patrzyłem na mapę. Jeśli wybierzemy to miejsce po drugiej stronie góry, to trzeba będzie około dwustu sztuk.

– Myślę, że tamten dół wystarczy – powiedział Piotr. – Ocenicie na miejscu.

– Jeśli się wyrobiją do kolacji, to lecimy dzisiaj.

– Najlepiej będzie – Piotr skinął głową.

– Słuchaj, Piotr – twarz Rafała na ekranie była monstrualnie wielka. – Obejrzałem już ich przekaźniki. Sądzę, że nadają się do naszej roboty. To rzeczywiście niezły patent, one nie wzbudzą żadnych podejrzeń. Tak więc odpuścimy już sobie te trzy fototy – jak żadnych naszych śladów, to żadnych.

– A grota?

– Jak przystawiłem czujnik, mało mu stali nie zabrakło. Tam, w środku jest i złoto i platyna, i żelazo, i ceramika. Nasze fototy są nie do zlokalizowania, zresztą odpowiednio je rozstawiliśmy.

Słuchaj, dogrzebałem się w katalogu, że na te przekaźniki można wziąć namiary przy sprzyjających warunkach, ale wtedy tylko, gdy zna się parametry ich pracy. Nie sądzą, aby oni to wiedzieli i szukali we właściwych zakresach. Natomiast jeśli wezmą kierunek na "Plusa"...

– Miejmy nadzieję...

– Wiesz, co mówią o nadziei. Ale rzeczywiście, nic nie tracimy.

– Momłot leci do ciebie ze zwirem – Piotr przełączył dwa klawisze. – Jesteś tam, Arki?

– Jestem – twarz Rafała na ekranie zmniejszyła się, za to tuż obok pojawiła się głowa Momłota. – A w ładowni tak mi grzechocze, że zaraz zwariuję. Pantarona zostawiłem, zbiera jeszcze jedną pryzmę.

– W porządku. Lepiej, żeby się przelewało, niż żeby było za cienko – powiedział Piotr.

– Może w ogóle zrobić kopiec?

– Wiatr rozdmucha, poza tym to by jednak trochę dziwnie wyglądało.

– Będę u ciebie za pięćdziesiąt minut – Momłot zwrócił się do Rafała.

– Czekam z utęsknieniem.

– To się okaże, jak będziesz ten żwir musiał wybierać z "Plusa". Bez sprzętu. Mam nadzieję, że zamelinowałeś gdzieś szpadel?

– Dwa. Jeden dla ciebie.

– Nie wiem, w co można z tego wycelować. I to w locie – Momłot poklepał lufę lasera.

– Tylko dziurę w niebie wyrznieś – Rafał spojrzał na Piotra – Równie dobrze moglibyśmy do "Plusa" przykręcić kilof.

– Ciekawe, czy robiłeś kiedyś kilofem? – Pantaron uśmiechnął się lekko.

– Cały czas pracujemy nad sprzężeniem – Rafał wyciągnął z kieszeni bluzy zapisaną notkostkę. – Ale tam brakuje trzech detali, a poza tym nie wiem, czy to w ogóle by działało. Zresztą nie w tym rzecz.

– Ale lepiej by było, jakbyś z lasera mógł przywalić, nie? – Momłot zszedł ze skrzydła "Plusa". – Jak tamci to zobaczą, popękają ze śmiechu.

– O to chodzi, o to właśnie – Piotr podniósł głowę. – Zamontujecie też pozostałe. Może coś z tego będzie, kiedy tak rąbną wszystkie naraz. Jak myślisz Pantaron?

– Śmiech będzie. Widziałeś lasery w module bojowym. No to popatrz na te. Nadają się do łupania skały i szlusu. Czy mam je tak montować, żeby było dobrze widać?

– Jasne.

Piotr wziął do ręki figurkę. To była trzecia spośród tych, które oczyścili z utrwalacza. Młoda, uralaska kobieta. Tylko strój określał jej płeć. Aranei, w systematyce Boshego zaliczono do hominidów, jednakże nie byli ssakami. Ich kobiety nie miały więc piersi.

Hominidy. Jak wiele różnych ras zaliczono do tej jednostki taksonomicznej. I Palmollorów, i Taolów, i Moorów. Traskan i Pocholorinów. Mimo różnic w budowie, sposobie rozmnażania, stopniu ewolucyjnego rozwoju wszystkie te rasy miały jednak pewne wspólne cechy, ogólnie nazywane blokami. Jedną z nich było podobieństwo w budowie układu nerwowego, inną, bardziej nawet istotną – miejsce zajmowane w ekosystemie macierzystej planety.

Podobieństwo budowy mózgu wpłynęło zaś na wiele innych zbieżności – w odruchach, instynktach, zachowaniach społecznych, a także w kulturze, sztuce i religii.

Aranei wierzyli w reinkarnację. Dusze umarłych wstępowały w ciała noworodków następnych pokoleń. Cóż więc znaczyła śmierć pojedynczego osobnika? Nic, może tylko chwilę odpoczynku w odwiecznym trwaniu. Ale zagłada rodu, plemienia, rasy... Ta oznaczała śmierć prawdziwą, bo nie byłoby już przyszłych pokoleń i ciał zdolnych przyjąć dusze przodków. Tego właśnie bali się Kadeni.

Kobieta też się bała. Czuła się równocześnie Palmollorką i Aranei, wiedziała, kim jest człowiek i jaka jest jego moc. To dlatego starała się powstrzymać Aranei przed rozpoczęciem wojny z ludźmi. A potem pomogła Piotrowi, bo to była jedyna, jej zdaniem, szansa powstrzymania ludzi od zemsty.

Piotr wiedział już wszystko.

Kiedy odstawiał figurkę, usłyszał tupot nóg w korytarzu. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Borth.

– Piotr – zmęczony biegiem, ciężko łapał oddech.

– Tak? – Piotr spytał spokojnie, choć widział twarz Brotha. Czerwone policzki, spocone czoło. Drżące wargi. Wiedział, co Indu mu chce powiedzieć, powtórzył jeszcze raz.

– Tak?

– Piotr! Satelita się zgłosił. Oni są w układzie!

Gdy obaj wbiegali do dyspozytorni, byli tam już wszyscy.

Gra jest jak życie. Najpierw trzeba dostrzec wroga, zarejestrować jego obecność. Następnie mózg analizuje sytuację i podejmuje decyzje. Potem jest reakcja. Każdy z tych trzech etapów zajmuje niewiele czasu, ledwie ułamki sekund. Ale to dość, by przegrać grę. Albo stracić życie.

Piotr miał już na głowie czepek bezpośredniego sterowania, ale jeszcze go nie włączył. Za to czepek Momłota pracował już od dziesięciu minut. Sygnały z receptorów "Plusa" przekazywane były bezpośrednio do jego mózgu. Jedną z trzech składowych czasu reakcji skrócono do minimum.

Planetolot szedł w górę pełnym ciągiem.

Piotr siedział w fotelu obok pilota, czepek opinał jego głowę, okrągłe płytki elektrod gniotły skórę. Dłonie oparł na poręczach fotela, ale w każdej chwili gotów był przesunąć je te dwadzieścia centymetrów do przodu, tam gdzie czerwieniły się spusty laserów oraz karabinów maszynowych.

Planetolot ciął powietrze z głuchym łoskotem silników.

Na głównym ekranie widać było obracający się powoli kosmolot. Nadprogo-wiec typu "Komodor", średniej klasy, o dwóch modułach ładowniczych.

Dwóch! Elipsoidalny nośnik między smukłymi korpusami ładowników przypominał tułów monstrualnego owada. Wyrastał z niego, niczym ogon, dwudziestometrowej długości wysięgnik, rozszerzający się na końcu w płaską, kolistą tarczę x-napędu.

Jeśli uda im się zniszczyć tę tarczę, kosmolot nie wydobędzie się już z układu Araneidy.

Piotr zagryzł wargi.

Ruch "Komodora" stawał się coraz wolniejszy, kosmolot usadowił się na swojej orbicie.

– Pięćset kilometrów – powiedział Broth.

– Cholerne dziesięć minut! – Piotr spojrział na niego, ale zaraz odwrócił się z powrotem. Momłot siedział bez słowa. Wpatrzony w ekran, skupiony, zaciskając dłonie na wolantach. To on prowadził maszynę, sprzężony z receptorami stał się jednym z jej elementów. Na jego policzkach lśnił pot.

– Wchodź! – szepnął Momłot. – Wchodź!

Piotr przesunął pozycjometr, poczuł jak sprężyste dotąd, opasujące jego głowę taśmy sztywnieją, czepek zaczyna uciskać czoło. Usłyszał cichy szelest, dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Dostrzegając przed sobą ekran i srebrnobiały kadłub kosmolotu, i widział też ten sam kształt, ale gdzieś obok, inaczej. Widział równocześnie obraz przekazywany "Plusowi" przez satelitę i inny obraz, rejestrowany bezpośrednio przez kamery planetolotu. Te cztery wizje łączyły się w mózgu, nakładały na siebie, przez chwilę trwał ów stan dziwnego niepokoju, przerażającej niepewności własnych zmysłów. Piotr zamknął oczy i już tylko dwa obrazy pozostały w jego mózgu, mrowienie ustało, palce przestały drżeć.

"Komodor" znów drgnął. Rozjarzyły się dysze manewrowe i jeden z ładowników zaczął oddalać się od orbitera. Jego spiczasty dziób skierował się ku "Plusowi".

Planetolot gwałtownie skręcił w bok. Piotr nacisnął spusty. Zajazgotały działka. W tym samym momencie zza orbitera błysnął drugi ładownik. Ku "Plusowi" pomknęły dwa pociski, ale planetolot zszedł im z drogi, tak że przeszły obok, eksplodując po chwili jasnym błyskiem.

Sprężone z działkami celowniki wciąż szukały tarczy x-skoku, czarne lufy wyrzucały sześćdziesiąt pocisków na sekundę. Ale "Komodor" był za daleko. Piotr zdawał sobie z tego sprawę.

Pierwszy "Wilk" leciał wprost na "Plusa". Druga maszyna próbowała podejść z boku.

Momłot dostrzegł to, gwałtownie szarpnął sterami. "Plus" poderwał się do góry, przez moment świat stanął na głowie, a potem maszyna pomknęła w dół. Rufowe działka plunęły ogniem.

Tylko jeden z ładowników ruszył w pościg. Drugi został przy orbiterze, który, bez tej osłony niezbyt zwrotny, mógłby stać się łatwym łupem. Został wszak zaatakowany tylko przez jednego "Plusa", a na planecie powinno ich być trzy.

I wtedy wrota hangaru w Murray otworzyły się. W górę poszedł drugi planetolot, lecz drzwi nie zamknęły się za jego rufą. Pojawił się w nich dziób trzeciej maszyny. Wychylił się z hangaru tylko troszeczkę i zamarł w czujnym bezruchu.

"Plus" pruł na wprost uciekającego planetolotu oraz "Wilka". Odległość między tymi dwoma nie zmniejszyła się ani o metr. Wciąż były za daleko, by użyć laserów, a pociski nie dochodziły celu.

Kiedy drugi planetolot był już na tyle blisko, że mógłby włączyć się do walki, "Wilk" zszedł z ogona "Plusa" i łagodnym łukiem, nie śpiesząc się zbytnio, zawrócił ku wiszącemu na wysokości trzystu kilometrów nośnikowi.

Dwa "Plusy" zbliżyły się do siebie, potem wzięły kurs na Murray.

Piotr zeskoczył na płytę lądowiska i podbiegł do Brotha. – Jak myślisz, udało się?

– Nic się nie wysypało. Wylazł cały i cały się schował. Głowy bym nie dał, że się nabrali, ale może... Nie przyglądali mu się zbyt długo. Wyście też nieźle dali, szczególnie ta salwa na wiwat.

Ale był taki moment, że nieźle się przestraszyłem. Blisko podeszli, cholernie blisko.

– Oni też bali się od razu nas pogonić, jeszcze się nie we wszystkim połapali.

– Zostaw go już – Momłot chwycił Piotra za rękaw kurtki, pociągnął w stronę budynków. – Coś bracie widzę, że ci czepek przestał przeszkadzać.

Piotr zbladł gwałtownie. Podniecenie i radość z udanej akcji na chwilę pozwoliły mu zapomnieć o mdłościach i bólu głowy. Słowa Momłota przypomniały mu o tym natychmiast.

– Tak – powiedział powoli, z trudem, pot pojawił się na jego czole. – Muszę się położyć.

– Warują, bydlaki – Broth podszedł do ekranu. – Ale ciągle boją się ruszyć.

– Boją – Momłot potakująco kiwnął głową.

– Szykują coś, gnojki, na pewno coś kombinują.

"A cóż mogą kombinować?" – Piotr skończył rysować na kartce kolejnego ludzika. Nauczył się już czekać, wiedział, jak znosić czas. To określenie sam wymyślił – "znosić czas". Tak jak ból. Albo cierpienie. Zielone cyfry wyświetlacza zmieniają się powoli. Zbliża się to coś, co ma się wydarzyć i człowiek mądry wie, że to tak jakby już trwało, jakby był już tam – za pięć minut, za dwie godziny, jutro. Człowiek mądry ma nożyce, którymi potrafi przyciąć sekundy, by nie zmieniały się w godziny. Tak, Piotr czuł, że to czekanie go już nie męczy, czuł swoją przewagę na kolegami. Ich wszystkich szarpał niepokój,

nawet milczącego Pustacza, nawet Homicka i Łomińskiego. A jemu czas pozwalał poukładać to wszystko, co gubiło się i plątało w chwilach działania.

Nie udało się zniszczyć tarczy. Niewątpliwie szkoda, ale chyba tylko Broth liczył, że może się to udać. Broth lubił mówić i był optymistą. Taki człowiek jest potrzebny w zespole, taki facet gadający nie za mądrze i dużo. Pomaga rozładować napięcie.

Ficiino strzegą nośnika jak oka w głowie, bez niego nigdy nie wydostaną się z układu. A przecież chcą stąd zwać, z łupem, czy bez, zmyć się, zanim przyleci transportowiec z kolejną zmianą. Mają więc dwa miesiące. Postarają się zrobić wszystko, by zabrać skrzynie; władowali w ten interes mnóstwo pieniędzy. To ich łakomstwo można będzie wykorzystać.

Nie rozwalili x-tarczy. Ale przecież atak nie był bezsensownym rajdem, miał swój cel i Piotr sądził, że ten cel osiągnięto.

"Komodor" wyiksował się w odległości siedmiu godzin lotu od Araneidy. Jego załoga nie mogła nic wiedzieć o wydarzeniach, które rozegrało się na Araneidzie w ciągu ostatnich tygodni, wchodziła do układu w ciemno.

Możliwości były więc trzy. Mogło się zdarzyć, że zainicjowana przez Ficiino intryga nie wyszła, ludzie odparli atak Aranei i ściągnęli pomoc. Wtedy cały układ obsadzony był niewątpliwie wojskiem i "Komodor" niewielkie miał szansę na ucieczkę. No, ale to było ich ryzyko.

W drugim wariantcie, w wyniku wydarzeń na planecie, żadnej ze stron nie udało się zwyciężyć. Ficiino siedzą w swoim obozie, ludzie w swoim, być może walczą, być może nie, to nieistotne. Taka sytuacja uniemożliwiała wprawdzie zatarcie wszystkich śladów operacji, pozostawiała świadków, jednak pozwalała na zabranie z Araneidy łupu.

Wreszcie trzecia możliwość – wszystko poszło zgodnie z planem, trzeba tylko ściągnąć swoich i towar.

W rzeczywistości tamci mieli do czynienia z wariantem drugim. Co prawda swoich kompanów na planecie już nie zastali, ale ludzie nie wezwali pomocy z zewnątrz. Można ich było zabić, zastraszyć, przegonić i spokojnie załadować towar.

Dlatego atak "Plusów" miał przekonać Ficiino, że tak właśnie wygląda sytuacja. Zachęcić ich do podjęcia walki. Pokazali się przecież Ficiino jako dość naiwni i mocno niefrasobliwi przeciwnicy. Przeciwnicy głupi. Tylko głupiec przecież może zamontować na planetolocie górniczy laser i sądzić, że dysponuje dzięki temu bojowym pojazdem. Tylko głupiec może przypuszczać, że zdoła zaskoczyć przeciwnika używając takiego ekranu, jakim dysponuje moduł bojowy "Plusa". Owszem, ekran ten zapewniał niewidzialność, jednakże tylko do pewnej granicy. Zbytne podejście do "Komodora" musiało się skończyć wykryciem. Tylko głupiec pokazuje, gdzie zgrupowane są wszystkie jego, mogące stanowić choćby nawet niewielkie zagrożenie, maszyny.

Oczywiście, rajd przyniósł konkretne korzyści. Przede wszystkim z bliska przyjrano się wrogowi, zapoznano z jego uzbrojeniem.

"Komodor" był statkiem handlowym jakiejś realnie istniejącej firmy. Zwykle używano go zapewne do przewozu legalnych towarów. Aby mógł lądować w rządowych kosmoportach musiał być uzbrojony zgodnie z obowiązującymi przepisami. Żadnych wyrzutni rakiet, pocisków samonaprowadzających, miotaczy wielkiej mocy. Co najwyżej laserowa osłona przeciwmeteorytowa i dopuszczone przez Kartę na statkach handlowych działka pocisków eksplodujących. Moc ognia jednego "Wilka" zbliżona więc była do tej, jaką dysponował "Plus".

"Komodor" to kosmolot średniej klasy. Część nośna była konstrukcją dość nową, natomiast ładowniki należały do popularnej klasy "Wilków". Specyficzna była u niego znaczna specjalizacja modułów nośnych i ładowniczych. W e-przestrzeni sam nośnik okazywał się mało zwrotny i bardzo powolny. Praktycznie nie mógł wykonywać dłuższych lotów. Dopiero, gdy w jego leżach cumował jeden, a jeszcze lepiej oba "Wilki", stawał się maszyną zdolną wykonywać skomplikowane i gwałtowne manewry. Właśnie dzięki jednemu z "Wilków" odbywało się sterowanie "Komodorem" w e-przestrzeni. Z chwilą gdy oba odłączały się od nośnika, wisiał on na swej stacjonarnej, umiejac jedynie lekko korygować położenie silnikami manewrowymi.

Dlatego też tamci nie mogli pozostawić nośnika samego. Piotr był pewien, że przy nośniku zawsze czuwać będzie jeden z "Wilków".

Ataku na Murray raczej nie zaryzykują. Tu ludzie rozstawić przecież mogli lasery naziemne i zdrowo im przywalić. Ficiino mieli wprawdzie przewagę w sprzęcie latającym, jednak nie była to przewaga miażdżąca na tyle, by zaczęli postępować nierozważnie. A to oznacza, że dadzą sobie spokój z zacieraniem śladów i zaczną realizować plan minimum – zabiorą, co mają do zabrania, potem prysną z planety.

Do obozu Ficiino wysłali już sondę. Ludzie mogli obserwować jej lot, dzięki pozostawionym tam czujnikom. Sonda poleciała prosto do groty-magazynu, a tam, tak jak powinny, stały skrzynie z towarami. Potem sonda okrążyła jeszcze parę razy obóz i wróciła do "Komodora". Ten zwiad rozpoczął się dwie godziny po ataku "Plusa". Przybysze zorientowali się, że ich sprzymierzeńcy na planecie przegrali, ale że towar jest, i to nienaruszony. Wiedzieli też, że mają wrogów, lecz nie są to przeciwnicy zbyt groźni. Teraz zapewne zastanawiali się, co robić dalej.

Mijała siódma godzina od powrotu zwiadowczej sondy na "Komodora". Żaden z mężczyzn nie

poszedł spać. Łykali tylko pobudzające tabletki i czekali.

Zegar pokazywał osiemnastą zero siedem. Jeden z "Wilków" odłączył się od nośnika. Przez chwilę trwał nieruchomo, niczym wiszący nad kwiatem owad. A potem, wciąż nabierając szybkości, runął wprost ku nim. Jego sylwetka na ekranie rosła z każdą chwilą.

– Idzie na sputnik!

– Zaczyna się... – szepnął Rafał. Nikt nie powiedział więcej ani słowa do chwili, gdy ekran rozpalił się nagle żółtym blaskiem, potem zgasł.

– Dopadł go – słowa Brotha zagłuszył tupot butów. Ludzie rozbiegli się na swoje stanowiska.

– Osiem minut – powiedział Momłot, jakby sami nie mogli spojrzeć na zegar.

– Osiem – powtórzył Piotr.

Broth milczał.

Planetolot leciał na wysokości dziesięciu kilometrów, z szybkością półtora Macha już od dobrych trzydziestu minut. Przez cały ten czas, raz tylko, na krótki ułamek sekundy, kontaktowali się z ziemią. Raz. Otrzymawszy komunikaty z Murray oraz czujników w grocie, znowu włączyli pola. Mogli mieć tylko nadzieję, że przez te pięć milisekund tamci nie kontrolowali akurat tego kawałka przestrzeni.

Moduł bojowy "Plusa" potrafił zmylić radary, jeśli nie zbliżył się do nich bardziej niż na tysiąc osiemset kilometrów. Potem pola neutralizujące przestawały zapewniać dostateczną osłonę. Zbliżali się właśnie do tego punktu.

– Siedem minut.

Zapewniając sobie niewidzialność, sami stawali się ślepi, nie mogli kontaktować się z Murray ani zbierać informacji o tym, co dzieje się u stóp Góry Edwardsa.

Jednak te pięć tysięcznych sekundy wystarczyło, by zgromadzić konieczne dane. Ficiino byli już w obozie, już załadowali dwie skrzynie do "Wilka", który wylądował w pobliżu namiotów. Druga maszyna utrzymywała się na wysokości pięciu kilometrów, gotowa w każdej chwili spikować w dół lub pomknąć ku nośnikowi. To przekazały czujniki rozstawione w pobliżu obozu Ficiino, a Murray potwierdziło, że stan ten trwa już od jakiegoś czasu.

Na razie nie było żadnych niespodzianek.

Czerwona szóstka przemieniła się w piątkę.

Piotr spojrział na Momłota.

– Sprawdzę wszystko, Arki.

– Sprawdź.

Piotr wdusił dwa klawisze, wywołał komputer planetolotu.

– Kontrola układów.

Po chwili na ekranie pojawił się napis.

"Wszystkie układy sprawne".

– Kontrola sprzężeń. "Zgodne".

– Łączniki modułów. "Norma".

– Cztery minuty – Broth westchnął ciężko. – Wszystko gra?

– W porządku – Piotr odwrócił się do Brotha. – Zaraz się zacznie. Broth nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. Piotr znów odwrócił fotel ku konsolocie. Jeszcze raz sprawdził układ antysprężeniowy, musnął dłońmi pusty laserów i działek, poprawił na głowie czepek.

– Jestem gotów.

– Ja też.

– Dobra – Momłot kiwnął głową – Pamiętaj, włączasz czepek już po zdjęciu ekranów. Bo cię zabije. Dwie minuty.

– Jeśli nas widzą... Cisza.

– Słuchaj Piotr, myślę...

– Minuta.

– Tak słuchaj, to jest taki moment...

– Wiem.

Momłot mruknął coś, położył dłoń na suwakach mocy.

Zielone cyfry sekundnika zmieniały się powoli. Powoli. Bo w ciągu takiej minuty ujrzeć można wszystko. Dawne lata i minione wydarzenia zwarte w jeden obraz przeszłości. I to, co będzie. Nadzieje i obawy, plany i przypadki splecione ze sobą w kształt nie w pełni realny, nie określony do końca.

– Dziesięć sekund – Broth zaczął odliczać głośno.

– Piotr, bądź gotów – Momłot sięgnął ręką do wyłącznika.

– Jestem.

– Pięć.

– Układy przeciążeniowe!

– Trzy.

– Blokady spustów!

– Dwie.

– Uwaga!

– Jeden!

– Jazdaaaa!!!

Momłot zdjął ekrany. W chwili gdy na monitorach pojawił się obraz, powiedział:

– Czepki.

Piotr wdusił klawisz, poczuł, jak taśmy czepka naprężają się.

Cztery obrazy nałożyły się na siebie, zmieszały, lecz po chwili, gdy zamknął oczy, pojawił się ten dziwny dla umysłu porządek, gdy człowiek widzi kilka kadrów jednocześnie, lecz zdolny jest każdy z nich analizować osobno.

I wtedy Momłot zwiększył dag.

""Plus" skoczył do przodu niczym żaglowiec, który dostał nagły podmuch wiatru.

Broth jęknął. Straszliwe przeciążenie wgniotło Piotra w foteL Poczuł ból. Czuł, jak rodzi się OD gdzieś w żołądku, rozpełza w górę i w dół, ogarnia każdy mięsień, szarpie każdy nerw. Piotr nie był w stanie wykonać ruchu, nie potrafił nawet spojrzeć na Aridego. Lecz jego umysł pracował sprawnie, nie zważając na ciężar i bezwład dała.

Wdział wewnątrz groty. Sześć prostopadłościanów pod ścianami i dwóch Fidino stojących obok jednego z nich.

Widział podnóże góry i "Wilka" pośród skalnych rumowisk, namioty i nadajnik.

Widział drugi ładownik, nieruchomo wiszący w powietrzu.

I drugiego "Plusa" startującego z Murray. Ustawiona na lądowisku kamera pokazywała jak maszyna coraz bardziej oddala się od miasta. W rogu obrazu dostrzec można było otwarte wrota hangaru i wystający z nich dziób trzeciego planetolotu.

Broth chciał coś powiedzieć. Wybełkotał tylko dwa niezrozumiałe słowa i zamilkł.

W chwilę potem jednak nacisk zaczął się zmniejszać.

Piotr ostrożnie odwrócił głowę w stronę Momłota.

– Mamy trzy Machy.

– Jeszcze nas nie zobaczyli.

– To zaraz zobaczą. Żyjesz tam, Harry? Harry?

– Z trudem – szepnął Broth.

Piotr znów zamknął oczy. Poczł pierwsze mdłości

W dziesięć sekund potem wiszący w powietrzu "Wilk" gwałtownie spikował w dół. Ze stojącej na polanie maszyny wyskoczył Ficiino. Tamci spostrzegli "Plusy".

Uzbrojony "Plus" ciął powietrze z szybkością trzech machów. Drugi, goniący go, leciał ponad dwa razy szybciej.

Ficiino wypadli z groty, popędzili w dół, wprost do "Wilka". Maszyna wciąż trwała w bezruchu-

– Odpalamy...? – to Broth.

– Jeszcze nie – Piotr pokręcił głową. Minęła już słabość wywołana przeciążeniem, teraz czuł tylko mdłości.

– Drugi "Wilk"!

Ładownik zmienił kurs. Znów poderwał się w górę i ruszył wprost na "Plusa".

"Chce nas przyjąć daleko od orbitera i obozu" – pomyślał Piotr.

Dwaj Ficiino wpadli między namioty. Nie zwalniając ani na chwilę, pobiegli dalej. Otworzył się luk towarowy ładownika, trzeci Ficiino stanął na platformie ładunkowej.

– Będą wyciągać skrzynie!

– Tysiąc pięćset kilometrów!

Piotr zamknął oczy. Znów rejestrował tylko to, co pokazywały urządzenia "Plusa". Tamci nie chcą walczyć "Wilkiem", w którym jest załadowany towar. Zbyt wiele mogą stracić. Mają trochę czasu, więc zapewne wypakują skrzynie i podejmą walkę w pewnej odległości od obozu. Jeden z ładowników leci już naprzeciw "Plusowi". Ficiino są pewni wygranej, mają dwie uzbrojone maszyny, a ludzie tylko jedną. No bo laserów drugiego "Plusa" nie sposób traktować poważnie.

– Wypakowali trzy skrzynie.

– Odpalać?

– Jeszcze nie.

Ficiino zwijali się jak w ukropie. Ich długie kończyny o czterech stawach wykonywały nienaturalne dla ludzkiego oka ruchy, nie płynne, ciągłe, a przerywane, złożone jakby z wielu drobnych poruszeń. Wyciągali skrzynie i ustawiali je na ziemi, jedna obok drugiej.

Nieuzbrojony "Plus" był już blisko. Brakowało mu czterystu kilometrów.

"Wilk" dostatecznie już, w ocenie Ficiino, oddalił się od obozu, bo przestał lecieć ku "Plusom".



Znieruchomiał na wysokości pięciu kilometrów, by poczekać na swego towarzysza.

– Siódma.

– Piotr, może...

– Jeszcze nie.

– Odlecą...

– Nie?

– Osiem. Zostały dwie.

– Pięćset kilosów. Do "Wilka" czterysta.

"Mogą zrezygnować, zostawić te dwie skrzynie w środku. Wtedy będzie za późno".

– Piotr.

– Nie!

Nie. Wyciągają przedostatnią. Trzysta kilometrów do "Wilka". Drugi "Plus" sto za nimi.

Kiedy obaj Ficiino wyszli z ładownika i ustawiali ostatnią skrzynię. Piotr kiwnął głową.

– Startuj go!

Broth westchnął z ulgą.

Czarny dotąd, boczny ekran ożył. Coś drgnęło, jakiś świetlny refleks przeciął powierzchnię.

Piotr widział. Widział "Plusa" dźwigającego się w górę między zwałami żwiru i kamieni, pogrzebanego wcześniej "Plusa", który teraz wracał do życia. Zakopali go dwa tygodnie wcześniej w skalnym rowie po drugiej stronie Góry Edwardsa, dwadzieścia kilometrów od obozu Ficiino.

Żwir osypywał się po pancerzu maszyny, wciąż jeszcze przygniatał, ciążył, ale parła ona niezmordowanie w górę i kamienie musiały ustąpić.

Opór osłabł i wtedy "Plus" wyprysnął ku niebu, natychmiast biorąc kurs na obóz Ficiino.

Teraz już trzy "Plusy" brały udział w walce.

Nawet gdyby spostrzegli go od razu, byłoby za późno. Planetolotowi potrzebne było dwanaście sekund. Po dziewiętnastu sekundach takiego wysił-

ku silniki przestałyby pracować. Ale na szczęście tu potrzeba było tylko dwunastu.

Spostrzegli go w czwartej sekundzie lotu.

Ficiino rzucili się do włazu, a wejście do środka zajęło im następnych sześć sekund.

Może gdyby od razu poderwali "Wilka" i otworzyli ogień. Albo uciekli. Ale w ładowniku siedziały żywe istoty, które potrzebowały czasu na reakcję i nie zniosłyby zbyt dużych przyśpieszeń. W "Plusie" nie było nikogo.

W trzynastej sekundzie planetolot całym swym pędem uderzył w korpus podnoszącego się właśnie z ziemi ładownika.

Odpaliły ładunki.

Na chwilę przed tym Piotr i Momłot odłączyli kanały z "Plusa" od swych czepków.

Huk eksplozji targnął powietrzem, odbite od skał echo odpowiedziało mu raz i drugi. Ogień z dwóch sczepionych ze sobą maszyn buchnął jasnym płomieniem.

Został jeden "Wilk" i dwa "Plusy".

Lecący z tyłu planetolot przestał ścigać pierwszy. Poderwał się i pomknął w stronę nośnika, który czekał na swej orbicie. Nieruchawy i bezradny.

"Wilk" też natychmiast poszedł w górę, by przeciąć tor maszyny. Ficiino zrozumieli już, o co walczą. Ludzie, syci pierwszym zwycięstwem, szli w tej walce na spotkanie.

"Wilk" przyspieszył. Jego działka plunęły ogniem. Pociski nie były groźne dla planetolotu chronionego przez moduł bojowy. Ale dotarły do drugiego "Plusa".

Maszyna gwałtownie zesła z kursu, tracąc prędkość zaczęła spadać gdzieś w bok. Po chwili jednak znów skierowała się ku nośnikowi.

Siedem Machów. Tyle można było wycisnąć z silnika. Sto siedemdziesiąt kilometrów.

Uzbrojony "Plus" zbliżył się do "Wilka", uderzył z boku tak, że pociski poharatały pancierz ładownika. "Wilk" skręcił gwałtownie, jakby niezdecydowany, z którym wrogiem zmierzyć ma się najpierw.

Nośnik drgnął. Przyspieszając powoli, usiłował uciekać, ale w wyścigu z planetolotem był bez szans.

Autopilot prowadzący nieuzbrojonego "Plusa" próbował uciekać przed pociskami, ale nieczęsto mu się to udawało. "Wilk" podchodził z boku i choć nie rozwijał takiej jak "Plus" prędkości, raził celnie.

Gdyby nie to, że musiał walczyć na dwie strony...

Nagła eksplozja targnęła "Plusem". Piotr zobaczył jasny błysk, strzępy pancierza odpadające od maszyny.

Pięćdziesiąt kilometrów.

Piotr wciąż dusił palcami spusty działek, ale "Wilk" znów zszedł z linii strzału. Czas, w jakim pociski pokonywały przestrzeń, był zbyt długi, by oszukać komputer ładownika. Zawsze zdążył je zlokalizować i zejść im z drogi. Równocześnie cały czas próbował razić oba "Plusy".

Dwadzieścia kilometrów.

Nieuzbrojony "Plus" nie był już w stanie uciekać tak szybko. Dopadła go kolejna seria. Przed oczami Piotra przesuwał się ciąg informacji o stanie maszyny.

Chłodzenie silników nie działało.

Prędkość spadała do pięciu machów.

"Plus" zaczął tracić sterowność.

Temperatura stosu zbliżała się do krytycznej.

Pięć kilometrów.

Nośnik był już blisko. Blisko. Ale "Plus" musiał odstąpić, ścigany serią pocisków.

Nośnik przesuwał się powoli, powolutku. Mógł próbować x-skoku. Jednak zbyt wiele obiektów poruszało się w jego pobliżu, by nie skończyło się to katastrofą.

Kolejna eksplozja targnęła "Plusem". Zdawało się przez chwilę, że cała maszyna rozpadła się na drobne kawałki, odleciał ogon, pancierze boczne, podłoga, dźwigary ładownicze.

Ale szkielet nośny wciąż spajał mózg i silnik. I to, co wiózł planetolot.

W tej chwili Momłot wszedł "Wilkowi" na ogon. Ładownik musiał uciekać, nie mógł już przeszkodzić.

"Plus" zbliżył się wystarczająco do tarczy x-napędu. Impuls rozpoczął reakcję łańcuchową.

Błysk zielonego światła na moment rozjarzył ekrany. A potem zobaczyli szczątki "Plusa" uciekające we wszystkich kierunkach i wirujący nośnik, a raczej to, co z niego zostało. Rozszarpana

tarcza x-napędu i zniszczony moduł główny. Opadał ku planecie coraz szybszym ruchem, wirował. Z dysz silników korekcyjnych trysnął ogień, znak, że mózg maszyny jeszcze pracował, jeszcze próbował ją ocalić. Ale wiadomo było, że ten nośnik nigdzie już z układu Araneidy nie odleci.

Pozostawało tylko zabić "Wilka".

I nie dać się zabić jemu.

Przez blisko siedem sekund siedzieli ładownikowi na ogonie. Potem "Wilkowi" udało się umknąć. Pociągnął w górę, nagłym przewrotem przez plecy zmylił Momłota, tak że planetolot stracił swą przewagę.

Thukły działa.

Komputery prowadzące maszyny rejestrowały każdy pocisk, niszczyły go laserową wiązką lub schodziły mu z drogi. Pilot w rzeczywistości wybierał tylko taktykę walki, bezpośrednio prowadził maszynę komputer. Tylko on był dostatecznie szybki, by przeciwstawić się komputerowi przeciwnika. Robił uniki, likwidował pociski wroga, ustawiał działa.

Ale to pilot wybierał kurs i cel uderzenia.

"Wilk" poszedł w dół. „Plus” zanurkował za nim i w tym momencie ładownik znów zmienił kurs. Takie przeciążenia zabiłyby ludzi. Ale Ficiino wytrzymali. Dziób "Wilka" mierzył w nieosłonięty brzuch "Plusa". Planetolot zszedł z drogi pociskom, lasery rozjarzyły powietrze białymi smugami, rozpały błękitne kule ognia. Ale jeden z pocisków doszedł wystarczająco blisko celu. Jego eksplozja wstrząsnęła "Plusem". Planetolot runął w dół przez lewy bok.

"Wilk" nie był zupełnie przygotowany na taką reakcję. Nie zdołał umknąć.

Pociski "Plusa" trafiły w jego ogon.

Błysk.

Ale "Wilk" wciąż trzymał pułap. I choć wyraźnie zwolnił, wciąż raził. Jego druga seria doszła celu.

Lasery "Plusa" przestały strzelać, zniknęła ogniowa zapor.

"Plus" spikował w dół. Szedł naprzeciw "Wilka", który niezdarnie próbował się poderwać. Na próżno. Dosięgła go kolejna seria.

Eksplozja targnęła „Wilkiem”, pchnęła go w dół, ku szafirowej tarczy)7 planety.

– Jeeest! – wrzask Brotha.

I nagle szary, obły kształt wychynał przed ekrany. I zbliżał się, rósł błyskawicznie. Ostatni, zabłąkany pocisk „Wilka”. „PSus” spróbował uniku, ale było już za późno.

Piotr oślepl.

W jednej chwili poczuł gniotący mózg ciężar oraz ból, jakby jakiś robak wdarł się do głowy i szarpał delikatną tkankę.

Piotr oślepl.

Mijały sekundy. A może godziny. Nie wiedział.

– Otwórz oczy! – Momłot krzyknął tuż nad uchem. – Otwórz, cholera! Wzrok powrócił z otwarciem powiek. Lecz wszystko było szare, zamazane, za mgłą.

– Co jest?!

– Rozwalili fototy. Przeszedłem na sterowanie ręczne.

– Kurwa mać... – jęknął i podniósł dłonie do twarzy. Bolało, szarpało pulsującym, targającym

każdy nerw bólem. Jednym szarpnięciem zdarł z głowy czepek.

– Masz wizję?

– Kamery szlag trafił. Tylko bezpośredni obraz.

Na ekranie widać było prawie połowę szafirowego koła, z jednej strony przeciętą krawędzią monitora, z drugiej ciemnością nocnej półkuli.

A na tle tego szafiru spadał ciemny punkt – "Wilk".

Momłot pochylił się nad konsolę. Jego dłonie błyskawicznie poruszały się między suwakami, pokrętłami, przyciskami. Rząd barwnych diod jarzył się jasnym światłem, lecz po chwili diody, jedna po drugiej, zaczęły gasnąć. Paliły się już tylko trzy.

– Działka chodzą. I radar. Rozpieprzyło kamery i silnik, ale jesteśmy sterowni.

– Oni nie za bardzo.

"Wilk" spadał. Jednak wciąż pracował jeden jego silnik i domyślać się należało, że ładownik jest jeszcze w stanie podjąć walkę. Przede wszystkim zaś było widać, dokąd ucieka. Ficiino musieli się zorientować, że "Plus" stracił swe elektroniczne oczy.

– Do diabła!

– Co?

– Spieprza na ciemną stronę. Bez fototów będziemy ślepi.

– Daj pełny ciąg.

– Jest tylko jeden silnik!

– Ile im zostało?

– Szlag by to... nie damy rady!

– Ciągnij do licha!

– Nie daje rady! Słyszysz jak charczy!

– Prawie go mamy.

– Prawie...

– Spierdala, ZWICJC nam skurwiel...

– Harry, reflektory?

– Chodzi tylko jeden. Nic nie widać.

– Nie dojdziemy go.

– Przejmuję sterowanie – Piotr przysunął się do konsoli.

– Co?!

– Biorę stery! Zgaście światło wewnątrz.

– Jak ty...?

– Później będę gadał. Uwaga!

"Wilk" poszedł w górę ostrą świecą – Ficiino nie przeszkadzały ciemności, liczyli więc, że mają przewagę, że "Plus" jest ślepy.

Piotr przez chwilę nie wyprowadzał ich z błędu. Gdy byli dostatecznie blisko, otworzył ogień. "Wilk" uniknął. Odskoczył od "Plusa", jego jedyne, ocalałe działko zaczęło strzelać. Piotr pociągnął w górę. Wreszcie znalazł się jakieś pięćset metrów nad "Wilkiem".

Potem runął w dół. Pociski przecięły drogę ładownikowi. "Wilk" próbował skrócić, ominąć je –

Nie zdążył jednak. Odwieczna ciemność rozstąpiła się nagle, szarpnął nią żółty t<sup>^</sup>y<sup>^</sup>k, huk eksplozji przeszył powietrze.

Gorejące płaty tego, co kiedyś było ..Wilkiem", spadały na ziemię.

Piotr patrzył na ekitin. Widział odlecającą powierzchnię ziemi – step mchu i skał. Widział żółte, złote i czerwone płomienie– Spadały w dół powoli, jednostajnie, to znów odskakiwały od siebie, targnięto podmuchem wiatru. Opadały coraz niżej i niżej, zna< ic tor swego lotu strugą iskier.

I nagle, w tym momencie Pion ujrzał wszystko. Wszystko sobie przypominał.

Rozmowy z Padre, i pułapkę szklarzy, i łódź na brzegu oceanu. Figurki Aranei, planetolot zaspany w hałdzie żwiru, montaż fałszywego "Plusa", który miał tylko wyjeżdżać i chować się w hangarze. Wszystkie te wydarzenia, dni, sekundy stały się jednością, całością spiętą i zamkniętą.

Zrobił wszystko, co mógł zrobić. Wszystko.

Twarze. Padre, Eiver, Pokact, Henneson, Łomiński. Oczy Kadena proszącego o grób, a także dwóch wodzów, gdy powiedział im, że mogą odejść.

Wszystkich.

Wszystko.

Zrobił to, co zrobić chciał i musiał. Każdą rzecz zrobił dobrze. Nie żałował niczego.

Ognie gasły, jeden po drugim. Żaden nie dotknął ziemi.

Planetolot jeszcze chwilę wisiał w powietrzu, po czym obrócił się i wziął kurs na Murray. Gdy odleciał, noc szybko zaleczyła swe rany.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">CZEŚĆ PIERWSZA..</a>	<a href="#">3</a>
<a href="#">CZEŚĆ DRUGA..</a>	<a href="#">32</a>